

BIULETYN IPN

nr 5 (38)/2015

# pamięć **pol**



**Zofia Pilecka o ojcu**

**Ostatni 1 Maja w PRL**

**Rok 1945**

**– koniec okupacji?**

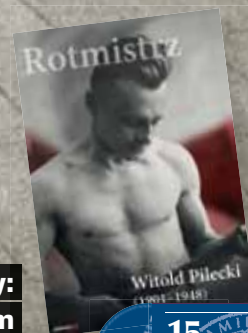
**Cena 6 zł (5% VAT)**

ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521  
nakład 11 500 egz.

**Dodatek specjalny:**  
**plakat z rtm. Witoldem Pileckim**  
**i płyta z cyfrowymi wersjami**  
**publikacji IPN**



Całość floty rzymskiej dzielono na flotyllę (classis), z których każdą dowodził praefectus classis. Ich nazwy zależały od rejonu, w którym stacjonowały. Oprócz jednostek samego Rzymu, w jego flocie służyły też tak zwane flotyllę podobne dostarczane, dobrowolnie lub przymusowo, przez nacje z nim sferderowane. Oprócz okrętów stricte bojowych Imperium rozporządzało także flotą mniejszych jednostek zwiazdowych i patrolowych. W szczególnych sytuacjach różnego rodzaju funkcje pomocnicze, a nawet mniej ważne zadania zbrojne, wypełniała flota handlowa. Większe statki transportowe służyły głównie do przewożenia armii ekspedycyjnej oraz zaopatrzenia i żywności na teren działań wojennych. Wielka ich liczba wyruszyła wraz z całą flotą rzymską (liczącą trzytysięczną flotę) w ekspedycję zbrojną przeciw Kartaginie, zakończoną bitwą morską u przylądka Eknomos w 256 roku przed naszą erą. W czasach republiki naczelne dowództwo nad flotą wojenną leżało w gestii dwóch konsułów. Do sprawowania kontroli nad pojedynczymi flotyllami wyznaczali oni własnych pomocników: trybunów bądź legatów. W 311 roku przez naszą erą z inicjatywy Apuljusza Klaudiusza Caecusa przeprowadzono reformę, w myśl której każdy z konsułów dobiebrał sobie do pomocy jednego oficera floty. Nosił on nazwę duumwiri navalis i był członkiem dwuosobowego kolegium duoviri navales. Począwszy od 267 roku przed naszą erą sprawy finansowymi dotyczącymi floty rzymskiej oraz ochroną morskich szlaków handlowych zajmowali się czterej quaestores classici. W czasach II wojny punickiej, z racji dużej ilości morskich potyczek i bitew, należało stworzyć nowy rodzaj dowództwa. Związane z nim zadania przejął praefectus classis podlegający bezpośrednio konsułom. Pod koniec III wieku przed naszą erą w sprawach morskich zauważalny stał się spadek prestiżu konsula, który ostatni raz dowodził flotą w 218 roku. Jego uprawnienia przejmowali stopniowo inni wysocy urzędnicy, na przykład w trakcie wojny macedońskich całością floty kierował mianowany przez senat legatus pro praetore. Pod koniec II wieku przed naszą erą po raz pierwszy wydzielonym eskadrami dowodzili podlegający temu ostatniemu legati classici. Głównym dowódcą okrętu wojennego był triararchus. Jego rozkazom podlegał centurio classicus, a więc dowódca oddziału żołnierzy pokładowych. Obowiązki szypira, czyli dowódcę mniejszymi jednostkami pływającymi, głównie handlowymi, pełnił nauarchus. Z biegiem czasu, kiedy flota rzymska stała się liczną i znaczącą siłą morską, powołano stanowisko przełożonego szypirów, które pełnił nauarchus princeps. W zależności od rodzaju okrętu wojennego na jego pokładzie znajdowały się mniejsza lub większa liczba żolnierzy. W jej skład wchodził: kadra dowódcza, żolnierze okrętowi (classarii lub marines), wioslarze (remiges), żeglarze (nautae), sternik oraz fletnistą bądź trębacz nadjący odpowiednio tempo wiosłowania. Oficerowie pokładowi, których głównym zadaniem był nadzór nad pracą wiosłarzy oraz wydawanie odpowiednich rozkazów i komend, zajmowali miejsce na niewielkim pokładzie nawigacyjnym umieszczonego na rufie okrętu flagowego. Na jego maszcie wywieszano flagę z typowo rzymskimi symbolami lub – w czasach Imperium – wizerunkiem cesarza (imago). Przebieg przegranej przez Kartagińczyków bitwy u przylądka Eknomos w 256 r. p.n.e. Istotne zadania pełnił na rufie sternik, który manewrował okrętem podczas bitwy oraz odpowiadał za nawigację w czasie żeglugi. Było to możliwe dzięki dwóm zsynchronizowanym wiosłom sterowym, które znajdowały się po obu stronach kadłuba okrętu. Wioslarze i żeglarze dysponowali jedynie lekkim uzbrojeniem zaczepnym (głównie oszczepami, które podczas żeglugi chowano pod ławeczką wiosłańską), aczkolwiek ich zadaniem, oprócz wyprawiania okrętu w ruch i nadzorowania żagli, było również uczestniczenie w bitwie, jeśli tylko wymagała tego sytuacja. Używali oni przeróżnych sposobów walki: począwszy od wylotu procy oraz rzucania oszczepami, aż po pozycję siedzącą. Każdy okręt wojenny, bez względu na wielkość, posiadał na swym pokładzie określoną liczbę legionistów, którzy podczas rejsu zajmowali miejsce w części dziobowej. Przeważnie była to tak zwana centuria classica licząca stu zbrojnych. W okresie późnej republiki oraz pryncypatu classarii posiadali następujące uzbrojenie: tunikę kolczą (lorica hamata) bądź dobrze dopasowany do tułowia pancerz (na wzór „pancerza atlety”) i przytoczone do niego pterygasy, czyli połączone ze sobą skórzane pasy, często laminowane metalem, dla lepszej ochrony podbrzusza; hełm typu beodkiego ze specjalnym rondem opadającym ku dołowi i napoliżkami związanymi pod brodą; oszczep do dwóch metrów długości; krótki miecz (gladius). Ponadto na wyposażeniu żołnierza pokładowych znalazły się owalne tarcze zdobione zawieszonymi morskimi (na przykład harpunami lub podobianami boga Neptuna) i zawieszane na specjalnym pasku na ramieniu. Na podstawie znalezisk archeologicznych w Pompejach i wyobrażeń scen morskich w sztuce rzymskiej można odtworzyć także ubiór legionistów okrętowych. Typowy classarius nosił tunikę, długi płaszcz (przeważnie koloru czerwonego) i sandały. W rzymskiej flocie wojennej służyli także sojusznicy morscy (socii navales). Zaliczali się do nich np. Grecy oraz Italikowie sprzymierzeni z Rzymem. W kontekście planowania morskiej wyprawy do Afryki w czasie II wojny punickiej Tytus Liwiusz zanotował: Ludy Umbrii, a obok nich mieszkający Nurdzi, Reate i Amiternum, a także każdy kraj sabański przyrzekli dostarczenie żołnierzy: Z Marsów, Pelgnow, Marrucynów wielu zgłosiło się na ochotnika do służby na okrętach. Kamertowiec, choć był w przemyśle z Rzymem na równych prawach, przysłał uzbrojony oddział sześciuset ludzi. Z biegiem czasu, korzystając z użamienia wielu plemion barbarzyńskich, do sąsiedzi okrętowych włączono też przedstawicieli podbitych nacji (symmacharii), którzy nie posiadali obywatelstwa rzymskiego i otrzymywali je dopiero po ukończeniu służby wojennej. Zwykle odbywali ją oni jedynie w czasie wojny, otrzymując w zamian wynagrodzenie pieniężne. Symmacharii nie posiadali specjalnego przeszkolenia i walczyli według własnego stylu, właściwego im, do którego pochodzili. Przewodzili im, dla ułatwienia kontaktu między dwoma stonami, nie w pełni zromanizowani wodzowie wywodzący się z terenów podbitych, w całości jednak podlegający dowództwu rzymskiemu. W zależności od rejonu stacjonowania poszczególnych flotylli rzecznych w skład rzymskich żołąg wchodził: Iberowie, Brytwowie, Germanie, Galowie a nawet Maurowie w szereż – mieszkający Afryki Północnej. Symmacharii posiadali typowe, barbarzyńskie uzbrojenie: oszczep, sztylet, okrągłą tarczę wykonaną z drewna i wzmacnioną metalowym ubmem oraz maczug. Charakterystyczną cechą tych zbrojnych był brak pancerza, choć czasami w celu częściowej ochrony tułowia i torsu stosowano wielowarstwowo płócienne tuniki. Wspomniani wcześniej Maurowie w warunkach morskich ubrajali się w kilka krótkich oszczepów do rzucania, okrągłą tarczę niewielkich rozmiarów zakładaną na przedramię oraz wehniającą tunikę. Z barbarzyńców rekrutowały się także jednostki odpowiadająca za walkę na odległość. Zaliczy do nich należy łuczniczków, których często werbowano spośród mieszkających Bliskiego Wschodu – znani ze swych wysokich umiejętności byli przede wszystkim łucznicy syryjscy. Na ich orientalne uzbrojenie składały się: hełm stożkowy, pancerz łuskowy, nakarcznik, łuk refleksyjny, którego ciężew napinano za pomocą specjalnego pierścienia (zakira) nakładanego na kciuk oraz krótki miecz. Mniejsze znaczenie aniżeli łucznikom przypisywano miotaczom kamieni, których należy odróżnić od procarzy. Ci ostatni pochodzili z wysp Balearskich, chociaż zni i cenieni byli także procarze kreteńscy. Na ich uzbrojenie składały się: proca skórzana, luźny płaszcz na pociśki, tunika, hełm i krótki miecz bądź pugnauł. Jako procarze służyli też zwykle Brytwowie, których odróżniało noszenie długich spodni oraz skórzanej torby na amunicję. Używano dwóch rodzajów procy: do rzucania na znaczną odległość przeciw oddziałom skupionym w gęstym szyku na małej przestrzeni (w takiej sytuacji znaczne straty w szeregach wroga były gwarantowane) oraz do rzucania do bliźszych celów indywidualnych. Nośność procy wynosiła do sześciuset stóp rzymskich (jedna stopa rzymska to dwadzieścia dziewięć i sześć dziesiątych centymetra). Rzucano kamiennymi bądź ołowianymi kulami. Generalnie rzecz ujmując, niezależnie od tego, czy mówimy do Greków, Rzymianach lub innych jeszcze ludach, bitwy morskie rozstrzygano na trzy sposoby. Dążono zazwyczaj do staranowania wrogich okrętów (grecki manewr – periplus), zdruzgotania ich wiosł kadłubem (dieklplus) lub abordażu, czyli przeniesienia walki na pokład okrętu nieprzyjaciela. Aby skutecznie dokonać taranowania, okręty ustawiały się w szyk czołowy. Następnie podpyływały do nieprzyjacielskich jednostek na bliską odległość i atakowały taranami ich burty. Później wycofywały się w celu uwolnienia taranów, po czym powtarzały wspomniane czynności. Niekiedy dążono także do okrążenia sił przeciwnika poprzez wykonywanie manewru okrążającego. Będąc w niewielkiej odległości od okrętu wroga można było także zdruzgotać jego wiosła poprzez wpłynięcie na nie, gdy znajdowały się w wodzie. Należało przy tym pamiętać, aby wcześniej podnieść własne wiosła. Atak taki był możliwy po uprzednim ustawieniu okrętów w szyk liniowy, które przepływały następnie ze spora szybkością przez ugrupowanie nieprzyjaciela. Manewr taki mogła zryzykować jedynie flota złożona z szybkich i zwrotnych jednostek. Stosowano także szyk obronny (kyklos) stosowany przez floty słabsze liczebnie od przeciwnika, bądź złożone z powolniejszych okrętów. Wówczas to jednostki tworzyły okrąg, ustawiając się taranami na zewnątrz – frontem do wroga. Rzymianie, znani z walorów swych sił lądowych, ulepszyli znacznie technikę abordażu. Aby ułatwić własnym żołnierzom przedostanie się na nieprzyjacielski okręt i nadać starciu morskemu charakteru walki na twardym gruncie, zaopatrzyli swe okręty w ruchome pomosty, tak zwane kruki (corvus). Miały one jędenaście metrów wysokości i jeden i dwie dziesiąte metra szerokości, z każdej strony były zabezpieczone balustradą, a dodatkowo zaopatrzone były w żelazne dzioby. Każdy taki pomost był przymocowany do osmionetrowego słupa ustawionego na dziobie okrętu. Kolowrotowi, wspomnianemu słupowi oraz linom przewleczonym przez jego wierchołek, możliwe było podnoszenie i opuszczanie opisanej kładki, a także obrócenie jej na dowolną burtę okrętu. Aby cała konstrukcja była stabilna, używano specjalnego kołca bądź haka (coitus) na końcu pomostu.

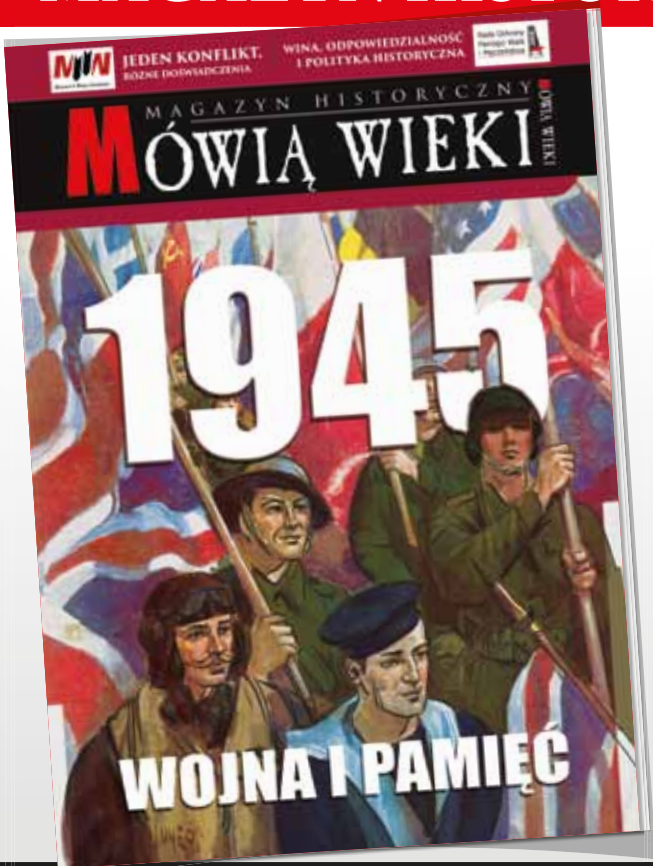
W Internecie  
mamy więcej  
miejsca.



Pierwszy polski portal historyczny

[www.histmag.org](http://www.histmag.org)

# MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI”



Popularyzujemy historię od 57 lat!

## TEMAT MIESIĄCA 1945 – WOJNA I PAMIĘĆ:

- Historia w okowach pamięci
  - Frampol 1939. O pamięci i zapominaniu
  - Druga wojna światowa w amerykańskiej kulturze pamięci
  - Japonia: pamięć wojny – pamięć o wojnie
  - Wiosna zawiedzionych nadziei i rozwianych złudzeń
  - Drogi do Polski
- oraz recenzje i dodatek edukacyjny „Mówią wieki w szkole”

„Mówią wieki” można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u, wersja elektroniczna dostępna na stronie internetowej księgarni Bellony: [księgarnia.bellona.pl](http://księgarnia.bellona.pl). Zamów prenumeratę: [kolportaz@bellona.pl](mailto:kolportaz@bellona.pl)

Zapraszamy także na nasze strony internetowe: [www.mowiawieki.pl](http://www.mowiawieki.pl) oraz [www.facebook.com/mowiawieki](https://www.facebook.com/mowiawieki)



**2** AKTUALNOŚCI IPN

**4** KALENDARIUM

**6** Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON

**8** Krzysztof Gottesman, *Cygara w Rzymie*

STOP-KLATKA

**10** Robert Szcześniak, *Głodówka w obronie więzionych*

Z ARCHIWUM IPN

**14** Grzegorz Wołk, *Majowe absurdy*

WYWIAD

**16** *Tata chciał, żebym była dzielna* – rozmowa z Zofią Pilecką-Optułowicz, córką rtm. Witolda Pileckiego

**20** *Coraz dłuższy cień wojny* – rozmowa z prof. Pawłem Machcewiczem, dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej

SPORY HISTORYKÓW

**25** Marcin Zaremba, *Sowiecka grypa po niemieckiej cholero*

**29** Piotr Gontarczyk, *„Wyzwolenie” gorsze niż potop*

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU

**34** Mariusz Żuławnik, *Odszedł Wódz Narodu*

**39** Dawid Golik, *Doktor Woytas – agent do zleceń specjalnych*



Fot. AIPN



Fot. Tomasz Wierzejski/  
FOTONOVA



Fot. ze zbiorów  
Tomasza Zawistowskiego



Fot. ze zbiorów  
Stefanii Szantyr-Powolnej



Fot. AIPN



Fot. East News/ AKG Images



Fot. NAC

**43** Artur Ossowski, *Pamięć i niepamięć*

**48** Dominika Czarnecka, *Zamach na „pomnik wdzięczności”*

**51** Jakub Szumski, *Ostatni 1 Maja*

PAMIĘTAM JAK DZIŚ...

**56** *W wileńskiej konspiracji* – relacja Stefanii Szantyr-Powolnej

ORZEŁ BIAŁY

**60** Tomasz Zawistowski, *Orzeł z ładownicy Henryka Szczyglińskiego*

Z BRONIĄ W RĘKU

**64** Michał Mackiewicz, *Arsenał getta warszawskiego*

PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU

**68** Jerzy Eisler, *Zwycięstwo*

**71** RECENZJE

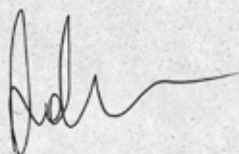
**73** BIBLIOTEKA IPN

Zmarły niedawno prof. Władysław Bartoszewski wspominał: „Po konferencji jałtańskiej w lutym 1945 r. myślałem naiwnie, że być może powstanie możliwość wprowadzenia innej niż przed wojną Polski, zależnej w pewnym stopniu od wielkiego sąsiada, ale przecież rządzonej w sposób wolny i demokratyczny. [...] W lipcu 1945 r. Anglicy, Amerykanie i niemal wszyscy inni cofnęli uznanie rządowi RP w Londynie. Żaden myślący człowiek nie miał wątpliwości, co nastąpi. Nikt nam nie pomoże. [...] Rok 1945 stanowił dla mnie swojego rodzaju przełom psychologiczny — pod wieloma względami trudniejszy niż okres okupacji niemieckiej. Bo dotychczas cały świat stał po naszej stronie, utożsamiał się z naszym prawem do niepodległości — a teraz cały świat obrócił się przeciw nam, przeciw sprawie wolności i demokracji”. Wkroczenie Armii Czerwonej na ziemię polską bez wątpienia oznaczało koniec koszmaru okupacji niemieckiej, ale czy przyniosło Polakom wyzwolenie — takie, jakiego oczekiwali? Czy była to tylko zamiana jednej okupacji na drugą? Choć terror, szczególnie ten odczuwany przez przeciętnych obywateli, niewątpliwie zelżał, to argumentów przeciwko używaniu określenia „wyzwolenie” znajdzie się dużo. I zapewne inaczej wejście Sowietów mogli widzieć Polacy umęczeni niemal sześcioma latami okupacji, a inaczej widzimy to dziś, z perspektywy lat i dalszych wydarzeń. W numerze majowym, w 70. rocznicę zakończenia II wojny światowej, Marcin Zaremba i Piotr Gontarczyk spierają się o charakter wyzwolenia Polski spod władzy niemieckiej. Z Pawłem Machciewiczem, dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej, rozmawiamy m.in. o długim cieniu tej wojny — cieniu, który kładzie się nie tylko na pamięci narodowej, lecz także mentalności, wyborach politycznych i dzisiejszych relacjach między narodami, a także wewnątrz nich. Rozmawiamy też o polityce historycznej i o nowoczesnym muzealnictwie.

W maju przypada zarówno rocznica urodzin, jak i śmierci jednego z bohaterów narodowych, Witolda Pileckiego. Z tej okazji rozmawiamy z Zofią Pilecką-Optułowicz, córką Rotmistrza (choć pośmiertnie został awansowany do stopnia pułkownika, dla mnie i chyba też dla wielu na zawsze pozostanie Rotmistrem). Mam nadzieję, że plakat, który dołączyliśmy, ozdobi niejedno wnętrze, a nasz wybór zdjęcia przyczyni się do jeszcze większej obecności tej wybitnej postaci w świadomości Polaków. Osiemdziesiąt lat temu odszedł zaś inny wielki Polak, jeden z najważniejszych twórców niepodległości Polski w 1918 roku, Józef Piłsudski. O tym, jak doniosłym wydarzeniem był jego pogrzeb w 1935 roku, przypomina Marcin Żuławnik. Osobom pamiętającym jeszcze czasy PRL maj kojarzy się z pochodami pierwszomajowymi, z obowiązkowym entuzjazmem, a pod koniec tej epoki — żalonym socjalistycznym reliktem, którego już nikt nie brał poważnie. Ta wypaczona wersja święta robotników odeszła już do lamusa, a Jakub Szumski w swoim artykule przypomina ostatni 1 Maja w Polsce Ludowej.

W tym roku swoją skromną 15. rocznicę świętuje także Instytut Pamięci Narodowej. Z tej okazji do numeru dołączyliśmy płytę z wyborem publikacji IPN w wersji cyfrowej.

Redaktor naczelny  
Andrzej Brzozowski




■ Znamy już laureatów **VIII konkursu im. Władysława Pobóg-Malinowskiego na Najlepszy Debiut Historyczny Roku**. W kategorii prac doktorskich dwie równorzędne II nagrody otrzymali **Anna Maria Jackowska** za pracę *Polskie świadectwa o terrorze stalinowskim przekazywane francuskiej opinii publicznej w latach 1947–1951* oraz **Piotr Grzelczak** za pracę *Poznański Czerwiec 1956. Walka o pamięć w latach 1956–1989*. W kategorii prac magisterskich I nagrodę odebrał **Jakub Szumski**, autor pracy *Rozliczenia z ekipą Gierka (wrzesień 1980 – grudzień 1981)*, a II nagrodę – **Łukasz Drybłak** za pracę *Mniejszość i emigracja rosyjska w Polsce na przestrzeni lat 1926–1935. Polityka państwa polskiego wobec Rosjan oraz ich działalność polityczna i stosunek do Polski*. Autorzy nagrodzonych prac otrzymają dyplom pamiątkowy, honorarium autorskie oraz możliwość wydania pracy przez organizatorów konkursu. Nagrody przyznała powołana przez prezesa IPN i dyrektora Instytutu Historii PAN komisja w składzie:

prof. Andrzej Paczkowski (przewodniczący), prof. Andrzej Chojnowski, prof. Tomasz Szarota, prof. Jerzy Eisler, prof. Tadeusz Wolsza, dr hab. Marek Kornat, dr hab. Krzysztof Kosiński, dr Władysław Bulhak (sekretarz).

24 kwietnia 2015 roku zmarł w Warszawie **Władysław Bartoszewski**, więzień Auschwitz, działacz Rady Pomocy Żydom „Żegota”, żołnierz AK i uczestnik Powstania Warszawskiego, więziony w okresie stalinowskim, działacz opozycji demokratycznej w PRL i NSZZ „Solidarność”, internowany w stanie wojennym, w wolnej Polsce dwukrotnie minister spraw zagranicznych, kawaler Orderu Orła Białego, w 2004 roku uhonorowany przyznawaną przez IPN nagrodą „Kustosz Pamięci Narodowej”.



Fot. Piotr Życieński

pamięć.pl

Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej  
– Komisja Ścigania Zbrodni  
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurok,  
dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej Korkuć,  
dr Tomasz Łabuszewski,  
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,  
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz,  
dr Waldemar Wilczewski,  
dr hab. Joanna Wojdon,  
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),  
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Andrzej Czyżewski,  
dr Dawid Golik, Krzysztof Gottesman,  
dr Joanna Hytrek-Hryciuk,  
Agnieszka Jaczyńska, dr Konrad Rokicki,  
dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka,  
dr Magdalena Semczyszyn,  
Emilia Świętochowska,  
dr Daniel Wicenty

Redakcja: Andrzej Brzozowski  
(redaktor naczelny, tel. 22 581 87 98;  
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak,  
Jakub Gołębiowski, Andrzej Sujka,  
Karolina Wichowska

Sekretariat: Maria Wiśniewska  
e-mail: maria.wisniewska@ipn.gov.pl  
tel. 22 581 88 19

Korekta: dr Magdalena Baj  
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,  
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska

Skład i łamanie: Sylwia Szafrąńska  
Redakcja techniczna: Marcin Koc

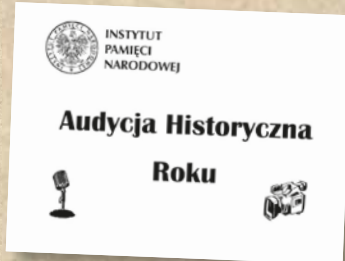
Siedziba redakcji: ul. Postępu 18b,  
Warszawa

Adres do korespondencji:  
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa  
www.ipn.gov.pl

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne  
„Zapolex” sp. z o.o.  
ul. gen. Sowińskiego 2/4, 87-100 Toruń

Redakcja nie zwraca materiałów  
niezamówionych i zastrzega sobie prawo  
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

■ IPN ogłosił **III edycję ogólnopolskiego konkursu Audycja Historyczna Roku**. Zgłoszenia są przyjmowane **do 15 czerwca**. Oceniane będą audycje i filmy, które powstały bądź były emitowane w radiu lub w telewizji między 1 stycznia 2013 a 15 czerwca 2015 roku. Pięcioposobowe jury konkursu, złożone z uznanych dziennikarzy oraz historyków, przyzna nagrody w trzech kategoriach: „Wydarzenie” (Grand Prix Prezesa IPN), „Losy” (Nagroda im. Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego) i „Historia regionalna” (Nagroda Dyrektora Oddziału IPN w Białymstoku). Nagrody mają wymiar finansowy. Zgłoszenia należy dostarczyć w zamkniętej kopercie na adres: Oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Białymstoku, ul. Warsztatowa 1A, 15-637 Białystok, z dopiskiem „Ogólnopolski Konkurs na Audycję Historyczną Roku”. Szczegółowy regulamin i formularze zgłoszeniowe są dostępne na stronach internetowych [www.ipn.gov.pl](http://www.ipn.gov.pl) oraz [www.audycjahistorycznaroku.pl](http://www.audycjahistorycznaroku.pl). Informacje o konkursie ukazują się również na Facebooku (profil: Audycja Historyczna Roku). Nominacje zostaną ogłoszone do 20 października na stronie [www.ipn.gov.pl](http://www.ipn.gov.pl). Laureatów poznamy 26 listopada podczas uroczystej gali, która odbędzie się w Białymstoku.



■ Instytut Pamięci Narodowej zaprasza studentów i pełnoletnich uczniów szkół ponadgimnazjalnych do udziału w **II edycji konkursu „Nie liczby widzę, a twarze... Literacki obraz zbrodni totalitaryzmów”**. Zadaniem uczestników jest napisanie tekstu prozatorskiego ukazującego losy jednostki w systemie totalitarnym. Historia przedstawiona w pracy może być autentyczna lub być fikcją literacką stworzoną na podstawie wydarzeń historycznych. Prace należy nadsyłać **do 1 czerwca** na adres [karolina.kolbuszewska@ipn.gov.pl](mailto:karolina.kolbuszewska@ipn.gov.pl). Laureaci zostaną zaproszeni do udziału we wrześniowym historycznym konwersatorium objazdowym, podczas którego odwiedzą miejsca związane ze zbrodniami totalitaryzmu na terenie Niemiec. Szczegółowych informacji udziela Karolina Kolbuszewska (tel. 22 581 85 95, e-mail: [karolina.kolbuszewska@ipn.gov.pl](mailto:karolina.kolbuszewska@ipn.gov.pl)). Regulamin konkursu i metrykę pracy można pobrać na stronie [www.pamiec.pl/nieliczby](http://www.pamiec.pl/nieliczby).



■ Od 14 maja do 12 czerwca na pl. o. Adama Studzińskiego w **Krakowie** będzie prezentowana **wystawa „Miasto 2015/Wojna 39–45”**.

Autorzy ekspozycji starali się na kilkunastu planszach ukazać okres okupacji niemieckiej w Krakowie z niecodziennej perspektywy. Stosując metodę fotomontażu, połączono w jednym kadrze zdjęcia współczesnego Krakowa i te z okresu wojny. Takie ujęcie pozwala pokazać, że czas, który dzieli współczesnych Polaków od tamtych tragicznych wydarzeń, jest krótszy, niż mogłoby się wydawać. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu na ulicach i placach Krakowa, dobrze znanych dzisiejszym mieszkańcom i turystom, Polacy i Żydzi doświadczali terroru okupacyjnego. Wystawa opowiada o historii Krakowa widzianej zarówno oczami ofiar, jak i tych, którzy w imię ideologii dopuszczali się bestialskich zbrodni.



■ Do 30 maja w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” (ul. Marszałkowska 21/25) w **Warszawie** można oglądać **wystawę „Wojna się skończyła – nie dla wszystkich”**. Ekspozycja prezentuje prace wykładowców i studentów Wydziału Grafiki i Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. To artystyczna wizja wydarzeń maja 1945 roku – końca II wojny światowej, który dla wielu narodów stał się początkiem nowej okupacji.

■ 25 maja w stołecznym Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia” zostanie otwarta **wystawa „Rotmistrz Witold Pilecki 1901–1948”**, przygotowana przez Oddział IPN w Warszawie na podstawie albumu pod tym samym tytułem. Wykorzystano zdjęcia ze zbiorów Instytutu Pamięci Narodowej, Muzeum Powstania Warszawskiego, Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau i osób prywatnych, w tym rodziny Witolda Pileckiego. Na stronach 16–19 publikujemy wywiad z Zofią Pilecką-Optułowicz, córką Rotmistrza.



## POSTAĆ MIESIACA

**6 maja 1945:** 1. Dywizja Pancerna gen. Stanisława Maczka wkroczyła do Wilhelmshaven.

Maczek urodził się w Szczercu pod Lwowem. Studiował filozofię i filologię polską, równocześnie działał w Związku Strzeleckim. W czasie I wojny światowej służył w szeregach armii austriackiej. Otrzymał liczne odznaczenia, dwukrotnie był ranny. W listopadzie 1918 roku wstąpił do tworzącego się Wojska Polskiego. Wyróżnił się w walkach przeciwko Ukraińcom i bolszewikom. Pozostał w armii jako oficer zawodowy. Jesienią 1938 roku objął dowództwo 10. Brygady Kawalerii. Była to pierwsza w Polsce tak duża jednostka zmotoryzowana. We wrześniu 1939 roku brygada mocno dała się we znaki Niemcom. Skutecznie unikała przy tym okrążenia i rozbicia. Po prawie trzytygodniowych walkach przekroczyła granicę polsko-węgierską. Wkrótce Maczek przedostał się do Francji. W czerwcu 1940 roku – już jako generał – walczył w Szampanii na czele odtworzonej 10. Brygady Kawalerii Pancernej. Po klęsce Francji dotarł do Wielkiej Brytanii. Dowodził m.in. 1. Dywizją



Fot. East News

► Generał Stanisław Maczek (1892–1994)

Pancerną, która latem 1944 roku została skierowana na front i w sierpniowej bitwie pod Falaise przyczyniła się do rozbicia niemieckiej 7. Armii. Dalszy szlak bojowy żołnierzy Maczka wiodł przez północną Francję, Belgię, Holandię i Niemcy. Dywizja – nieraz owacyjnie witana przez miejscową ludność – wyzwoliła m.in. Ypres, Gandawę i Bredę. Ostatnim akordem działań bojowych maczkowców były walki o Wilhelmshaven – niemiecką bazę marynarki wojennej. Po II wojnie światowej Maczek pozostał na emigracji w Wielkiej Brytanii. Musiał zarabiać na utrzymanie, pracując jako sprzedawca i barman. Zdominowany przez komunistów Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej RP pozbawił go obywatelstwa polskiego. Należne honory przyszyły późno. 11 listopada 1990 roku Ryszard Kaczorowski, prezydent RP na uchodźstwie, awansował go do stopnia generała broni. Na krótko przed śmiercią Maczek został odznaczony przez prezydenta Lecha Wałęsę Orderem Orła Białego. Spoczął wśród swoich podkomendnych na Polskim Wojskowym Cmentarzu Honorowym w Bredzie.

**2 maja 1940:** Do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen wyjechał pierwszy transport więźniów z warszawskiego Pawiaka.

Obóz Sachsenhausen pod Berlinem istniał od 1936 roku. Trafiali tu początkowo niemieccy przeciwnicy narodowego socjalizmu, później także przedstawiciele grup uznanych przez nazistów za „małowartościowe”: Żydzi, Romowie, świadkowie Jehowy, homoseksualiści czy tzw. aspołeczni, a po wybuchu II wojny światowej – obywatele krajów podbitych przez Niemcy. Jesienią 1939 roku skierowano tu profesorów uczelni krakowskich (kilkunastu zmarło). W transporcie warszawskim z maja 1940 roku znaleźli się również przedstawiciele inteligencji, m.in. adwokaci, działacze polityczni, duchowni i naukowcy – łącznie ponad osiemset (wg części źródeł: ok. 1500) osób. „Więźniowie przewiezieni zostali na rampę Dworca Zachodniego. Zanim jednak dostali się do wagonów, musieli przebiec przez szpalen gestapowców, którzy bili przechodzących [...] żelaznymi prętami i pejcjami, zakończonymi ołowianymi kulami” – czytamy w książce Zdzisława Krzemińskiego *Kartki z dziejów warszawskiej adwokatury*. W sumie w latach 1936–1945 w Sachsenhausen było więzionych ponad 200 tys. osób. Głód, choroby, wyniszczająca praca i sadyzm strażników zbierały śmiertelne żniwo. Do tego dochodziły akcje likwidacyjne – np. jesienią 1941 na terenie obozu zostało rozstrzelanych co najmniej 12 tys. sowieckich jeńców wojennych. Na liście polskich ofiar Sachsenhausen są tak zasłużone postaci jak prof. Stanisław Estreicher (rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego), bp Władysław Goral, gen. Bolesław Roja czy gen. Stefan Rowecki „Grot” – komendant główny Armii Krajowej.

**4 maja 1945:**

Hans Frank został aresztowany w bawarskiej miejscowości Neuhaus am Schliersee.

Jesienią 1939 roku Frank – z wykształcenia prawnik – został mianowany generalnym gubernatorem tej części ziem polskich zajętych przez Niemcy, która nie została włączona bezpośrednio do Rzeszy. Rezydował na krakowskim Wawelu i szybko dał się poznać jako gorliwy wykonawca zbrodniczej polityki Adolfa Hitlera. Był współodpo-



Fot. AIPN

► Hans Frank

wiedzialny m.in. za eksterminację polskiej inteligencji, zagładę ludności żydowskiej i dewastację gospodarczą kraju. W styczniu 1945 roku, gdy do Krakowa zbliżała się Armia Czerwona, Frank uciekł do Górnej Bawarii, zabierając ze sobą zrabowane dzieła sztuki. W Neuhaus am Schliersee zajął pensjonat Bergfrieden i urządził tam filię Generalnego Gubernatorstwa. Choć pozbawiony realnej władzy, miał do dyspozycji kilkusobowy sztab i sprawiał wrażenie, jakby wciąż czuł się „królem Polski”. Tuż przed końcem wojny został aresztowany przez por. Waltera Steina, oficera amerykańskiego wywiadu wojskowego. Dobrowolnie przekazał mu swój dziennik służbowy, w którym drobiazgowo opisywał swoją działalność w GG. Diariusz posłużył później jako materiał dowodowy w procesie norymberskim. 1 października 1946 roku Międzynarodowy Trybunał Wojskowy skazał Franka na śmierć, uznając go za winnego zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości. Wyrok wykonano jeszcze w tym samym miesiącu.



**10 maja 1990:** Weszła w życie ustawa powołująca Urząd Ochrony Państwa.



Fot. Studio Filmowe ZEBRA

► *Psy* Władysława Pasikowskiego (1992): weryfikacja funkcjonariusza SB

Po przemianach demokratycznych 1989 roku coraz trudniej było wytłumaczyć istnienie Służby Bezpieczeństwa. Instytucja ta dała się bowiem poznać jako policja polityczna, która przez lata łamała praworządność, chroniła władzę komunistyczną, zwalczała opozycję i obsesyjnie kontrolowała niemal wszystkie dziedziny życia społecznego. 6 kwietnia 1990 roku sejm przyjął wreszcie ustawę likwidującą SB i powołującą zamiast niej UOP. Do nowej służby specjalnej mieli być przyjmowani tylko ci pracownicy SB, którzy przejdą indywidualną weryfikację. Jej zasady ustalił 21 maja rząd Tadeusza Mazowieckiego. Sprawdzano m.in., czy dany funkcjonariusz „wykonywał swoje obowiązki służbowe w sposób nienaruszający praw i godności innych osób”. Powołano w tym celu komisję ds. kadr centralnych, komisje wojewódzkie i – jako instancję odwoławczą – Centralną Komisję Weryfikacyjną. Zwłaszcza w tej ostatniej dominowało liberalne podejście. Spośród ok. 14 tys. funkcjonariuszy SB, którzy stanęli do weryfikacji, przeszło ją pomyślnie ponad 10 tys., w tym niemal wszyscy funkcjonariusze wywiadu i kontrwywiadu MSW. „W praktyce oznaczało to, że UOP miał się opierać na kadrach byleż SB, ze wszystkimi tego konsekwencjami” – pisze w książce *Reglamentowana rewolucja* prof. Antoni Dudek.

**23 maja 1985:** Przed Sądem Wojewódzkim w Gdańsku ruszył proces Władysława Frasyniuka, Bogdana Lisa i Adama Michnika.

Wszyscy trzej byli działaczami podziemnej opozycji demokratycznej. 13 lutego 1985 roku – w trakcie spotkania z Lechem Wałęsą – zostali zatrzymani w jednym z mieszkań na gdańskiej Zaspie. Oskarżono ich o przynależność do kierownictwa Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” i próbę zainicjowania piętnastominutowego strajku, czyli – jak to ujęto – „działania w celu wywołania niepokoju publicznego”. Proces przypominał te z czasów stalinowskich. Publiczność była starannie wyselekcjonowana – w dużej mierze złożona z funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa. Sędzia Krzysztof Zieniuk nieustannie odbierał głos oskarżonym i usuwał ich z sali rozpraw, uchylał istotne pytania obrońców i odrzucał ich wnioski dowodowe. 14 czerwca zapadły wyroki. Frasyniuk został skazany na 3,5 roku więzienia, Michnik – na 3 lata, a Lis – na 2,5 roku.

Lisowi i Michnikowi Sąd Najwyższy skrócił później kary o pół roku. Latem 1986 roku wszyscy trzej wyszli na wolność na mocy amnestii. Zieniuk po latach poniósł konsekwencje sprzeniewierzenia się niezawisłości sędziowskiej. W 2007 roku wyrokiem Sądu Najwyższego został usunięty z zawodu sędziowskiego i pozbawiony przywilejów emerytalnych.

Fot. ze zbiorów Ośrodka KARTA



**14 maja 1955:** Powołano Układ Warszawski.

W kwietniu 1949 roku w Waszyngtonie dwanaście państw zachodnich utworzyło Organizację Traktatu Północnoatlantyckiego (NATO). Powstał tym samym silny sojusz wojskowy, wyposażony we wspólną koncepcję strategiczną i zintegrowane dowództwo. Sześć lat później do NATO przyjęto Republikę Federalną Niemiec. W odpowiedzi osiem państw bloku wschodniego – ZSRR, Polska, Albania, Bułgaria, Czechosłowacja, NRD, Rumunia i Węgry – podpisało w Warszawie układ o przyjaźni, współpracy i pomocy wzajemnej, tworząc w ten sposób własny blok militarny. Kraje w nim zrzeszone zobowiązały się udzielić sobie „natychmiastowej pomocy” w razie napaści ze strony innego państwa lub grupy państw.

Dominującą rolę w UW odgrywał Związek Radziecki – pozostałe kraje członkowskie były mu ściśle podporządkowane pod względem politycznym i militarnym. Zjednoczonymi Siłami Zbrojnymi Układu Warszawskiego kierował zawsze oficer Armii Radzieckiej – tradycyjnie był to zarazem pierwszy zastępca ministra obrony ZSRR. Taki stan rzeczy pozwolił Sowietom wycofać swych

oficerów z ludowego Wojska Polskiego, nie tracąc nad nim kontroli. Układ Warszawski przestał istnieć w 1991 roku. Była to konsekwencja przemian demokratycznych w Europie Środkowo-Wschodniej.

Fot. PAP/Maciej Billewicz



**30 maja 1960:** W Zielonej Górze doszło do rozruchów w obronie Domu Katolickiego.

W centrum Zielonej Góry, w poniemieckim budynku z początku XX wieku, po II wojnie światowej mieścił się – za zgodą wojewody – Dom Katolicki, użytkowany przez parafię pw. św. Jadwigi. Odbywała się tam nauka religii i prężnie rozwijała działalność społeczno-kulturalna, której głównym animatorem był proboszcz Kazimierz Michalski. W 1960 roku władze centralne postanowiły odebrać Dom Katolicki parafii i przekazać go na potrzeby miejskie. 30 maja podjęto próbę eksmisji. Przed budynkiem i w okolicy zebrano się ok. 5 tys. osób, które liczyły na zmianę decyzji. Do rozproszenia tłumu skierowano milicję i ZOMO, w tym posiłki z innych miast; użyto pałek i gazów łzawiących. Zatrzymano ponad trzysta osób, z których około dwustu stanęło przed sądem. Pierwsze procesy odbyły się już 17 i 18 czerwca 1960 roku. Zapadły surowe wyroki – nawet do pięciu lat więzienia.

Na obrońców Domu Katolickiego nałożono także wysokie kary grzywny. Wiele osób wyrzucono z pracy i wydalono ze szkół. Zajęty budynek przekazano Zielonogórskiej Orkiestrze Symfonicznej. Dziś mieści się w nim Filharmonia Zielonogórska. O wydarzeniach sprzed lat przypomina m.in. nazwa jednej z okolicznych ulic: 30 maja 1960 roku.

Fot. AIPN



CZAS

PRZEKROJ

NR 6 • 20-26 MAJA 1945 • CENA 1 ZŁ

### 17 maja 1922 roku

Po trzech powstaniach na Górnym Śląsku (16/17-24 sierpnia 1919 roku; 19/20-25 sierpnia 1920 roku; 2/3 maja-5 lipca 1921 roku), w których Polacy walczyli o przyłączenie tego regionu do odrodzonej Polski, przedstawiciele Niemiec i Polski 15 maja 1922 roku podpisali w Genewie tzw. konwencję górnośląską. Dwa dni później krakowski „Czas” informował: „Konwencja zawiera z górą 600 artykułów i jest znacznie obszerniejsza od traktatu wersalskiego. Reguluje ona sprawy następujące: Ustawodawstwo o opcyi obywatelstwa, likwidacya majątków niemieckich, kolejnictwo, sprawy węglowe, produkcya górnicza, kwestye celne, pocztowe, sprawy zasilania obszaru plebicytowego w wodę i elektryczność, związki robotnicze, ubezpieczenia społeczne, komunikacye między częściami Górnego Śląska, kwestye walutowe, ochrona mniejszości narodowej w dziedzinie religii, języka, szkolnictwa, wreszcie kwestye kompetencyi komisji mieszanych i trybunału rozjemczego. Równocześnie obaj pełnomocnicy [Kazimierz Olszowski i Eugen Schiffer] podpiszą układ o dworcach kolejowych granicznych, o pocztowym obrocie czekowym. Układy te wejdą w życie jednocześnie z konwencją, której ratyfikacya ma nastąpić najpóźniej do 28 maja b. r.”.

Jak podawała dalej gazeta, Felix Calonder, przewodniczący obrad z ramienia Ligi Narodów, zarazem były prezydent Szwajcarii (w 1918 roku) i późniejszy przewodniczący Górnośląskiej Komisji Mieszanej (w latach 1922-1937), powiedział m.in.: „Olbrzymie znaczenie Górnego Śląska dla wytwórczości środkowej Europy i dla uczuć narodowych pewnych narodów tłómaczą pewne fluktuacye, które miały miejsce przy rozpatrywaniu tej sprawy, owe początkowe spory i wymiany zdań, które poprzedzały redakcyę odpowiednich artykułów traktatu wersalskiego. Traktat wprowadzał plebiscyt. Podczas przejściowego okresu Górny Śląsk został odcięty prawie zupełnie od świata i stał się podobny do zamkniętego obozu, w którym wzbierały narodowe namietności w sposób gwałtowny. [...] Ze wszystkich spraw, których załatwienie zostało odroczone przez traktat wersalski, sprawa Górnego Śląska napewno była najbardziej bolesna i najtrudniejsza” [ortografia oryginału].

Na mocy tej polsko-niemieckiej umowy o podziale Górnego Śląska, obowiązującej do 1937 roku, powstały dwie międzynarodowe instytucje arbitrażowe, które miały rozstrzygać o ewentualnych sporach między Polską a Niemcami. Były to Górnoszląska Komisja Mieszana z siedzibą w Katowicach i Górnoszląski Trybunał Rozjemczy z siedzibą w Bytomiu.

### 20-26 maja 1945 roku

Gruzy, odór zwłok, wygłodniały ludzie – tak Jerzy Putrament, ukrywający się pod pseudonimem Józef Cercha, portretował stolicę Trzeciej Rzeszy w pierwszych dniach po kapitulacji. W artykule *Co słycać w Berlinie?*, opublikowanym w numerze 6 „Przekroju” z 20-26 maja 1945 roku, polski pisarz, publicysta i działacz komunistyczny pokusił się również o uniwersalną refleksję na temat II wojny światowej i jej skutków: „Historia okazała zdumiewająco u niej zmysł sprawiedliwości. Jej wyrok został wykonany w trybie niemal doraźnym: cóż bowiem znaczy dla dziejów pięć i pół lat? Widzieliśmy już niejedno łupieskie imperium, zbudowane na pocie i kościach ludów podbitych. Ale żadne, ani państwo Attyli, ani Dżingis-Chana, czy Tamerlana, nie trwało tak krótko i nie zawałiło się z takim rumorem [jak Trzecia Rzesza]”.

Dalej czytamy: „Ale to, co dla historii okazało się tak krótkie, dla nas się ciągnęło niemiłosiernie długo. Pokażcie mi takiego, który we wrześniu 1939 miał odwagę myśleć, że wojna skończy się w roku czterdziestym piątym. I później, za każdym niemieckim zwycięstwem, odkładaliśmy ich upadek najwyżej na rok, a najczęściej tylko do najbliższej zimy”.

W artykule Putramenta nie ma radości z końca hekatomb: „Zbyt długo i zbyt ciężko czekaliśmy na te dni, aby radość z ich przyjścia miała być bezgraniczna i żywiołowa. [...] Jesteśmy psychicznie wyczerpani wojną, przesiąkliśmy nią, będziemy musieli na nowo uczyć się radości życia. [...] Co gorzej, co dłużej: żadna zbrodnia nie zbudzi w nas tak ostrej reakcji potępienia, jak przed sześciu laty. Życie ludzkie zdewaluowało się silniej, niż jakakolwiek inna jednostka monetarna. [...] I słysząc o czymś złym, co najwyżej powiemy: to prawie tak, jak Niemcy”.

Z szansę na to, że uda się odbudować „normalne człowieczeństwo”, autor upatrywał w najmłodszym pokoleniu – tych, „których wojna nie zdążyła jeszcze w pełni zarazić”. „Nie ładujmy im do głowy zbyt dużo opisów okrucieństw – postulował. – Niech z tej wojny – poza jej przyczynami – [...] wiedzą tylko tyle: kto popełnia zbrodnie, z tym będzie tak, jak z tymi z Berlina”. Krzepiące przesłanie. Chciałoby się tylko dopytać: czy dotyczy również zbrodniarzy komunistycznych?

### Podpisanie konwencji górnośląskiej.

Genewa 16 maja. (OAT) Kancelarya polsko-niemiecka w sprawie Górnego Śląska po sześciu dniach negocjacji podpisała konwencję w sprawie Górnego Śląska. Konwencja zawiera z górą 600 artykułów i jest znacznie obszerniejsza od traktatu wersalskiego. Reguluje ona sprawy następujące: Ustawodawstwo o opcyi obywatelstwa, likwidacya majątków niemieckich, kolejnictwo, sprawy węglowe, produkcya górnicza, kwestye celne, pocztowe, sprawy zasilania obszaru plebicytowego w wodę i elektryczność, związki robotnicze, ubezpieczenia społeczne, komunikacye między częściami Górnego Śląska, kwestye walutowe, ochrona mniejszości narodowej w dziedzinie religii, języka, szkolnictwa, wreszcie kwestye kompetencyi komisji mieszanych i trybunału rozjemczego. Równocześnie obaj pełnomocnicy [Kazimierz Olszowski i Eugen Schiffer] podpiszą układ o dworcach kolejowych granicznych, o pocztowym obrocie czekowym. Układy te wejdą w życie jednocześnie z konwencją, której ratyfikacya ma nastąpić najpóźniej do 28 maja b. r.

### 1939 1945 CO SŁYCHAĆ W BERLINIE?

by wiedzieli, jak duża i jak ciężka praca prowadzi do zwycięstwa. Zbyt długo i zbyt ciężko czekaliśmy na te dni, aby radość z ich przyjścia miała być bezgraniczna i żywiołowa. [...] Jesteśmy psychicznie wyczerpani wojną, przesiąkliśmy nią, będziemy musieli na nowo uczyć się radości życia. [...] Co gorzej, co dłużej: żadna zbrodnia nie zbudzi w nas tak ostrej reakcji potępienia, jak przed sześciu laty. Życie ludzkie zdewaluowało się silniej, niż jakakolwiek inna jednostka monetarna. [...] I słysząc o czymś złym, co najwyżej powiemy: to prawie tak, jak Niemcy. Szansę na to, że uda się odbudować „normalne człowieczeństwo”, autor upatrywał w najmłodszym pokoleniu – tych, „których wojna nie zdążyła jeszcze w pełni zarazić”. „Nie ładujmy im do głowy zbyt dużo opisów okrucieństw – postulował. – Niech z tej wojny – poza jej przyczynami – [...] wiedzą tylko tyle: kto popełnia zbrodnie, z tym będzie tak, jak z tymi z Berlina”. Krzepiące przesłanie. Chciałoby się tylko dopytać: czy dotyczy również zbrodniarzy komunistycznych?







legami, na randkach z dziewczynami. Mieszkania młodych polskich inteligentów na Ursynowie w latach siedemdziesiątych to obowiązkowe fotele Kon Tiki i półki z książkami. Przy mocnej herbacie i czerwonym winie z Tunezji lub Bułgarii słuchali oni Okudźawy i rozmawiali o nowościach literatury iberoamerykańskiej.

To był taki sielski obrazek. Szczęśliwej krainy i mądrych ludzi. Stworzony przez publicystę, można by powiedzieć, który nie bardzo rozumie współczesność, jej potrzeby i technologie. Kiedyś to było dobrze, a teraz to jest beznadziejnie. Ktoś nie wiedział, że to przecież lulki, a nie cygara palili w karczmie Rzym i od razu wielkie rzeczy. Więc pora przejść do odwrotnej strony tego medalu. Bo niestety jest i ona, mniej piękna i chwalebna. I publicysta doskonale o niej wie, bo osobiście jej także doświadczył.

Przy całej grozie gwałtu i represji, w Polsce Ludowej rzeczywiście dokonała się wielka rewolucja kulturalna. Wkrótce po wojnie tysiące ludzi uzyskały możliwość szerokiego udziału w kulturze, w wielotysięcznych nakładach drukowano wybitne dzieła literatury polskiej i obcej. Choć na lichym papierze, to jednak dzieła Prusa, Stendhala, Zoli, Dostojewskiego i wielu innych trafiały naprawdę do szerokiej rzeszy czytelników, którzy je czytali. Do dziś jest u mnie w domu na półce *Wybór pism Mickiewicza* z 1951 roku z przedmową Bieruta. A kilka tygodni temu kupiłem w antykwiariacie wybór opowiadań *Opowieści zasłyszane* Jarosława Iwaszkiewicza wydany w roku 1954 w nakładzie 20 tys. egzemplarzy. Cena – 8,60 zł.

Kończę teraz czytać *My, ludzie z Marca. Autoportret pokolenia '68* Piotra Oseki, fascynującą opowieść opisującą słowami głównych bohaterów, jak rodziło się jedno z najważniejszych pokoleń Polski Ludowej. Wśród wielu powodów tych narodzin – mówiąc w największym skrócie – najważniejszym chyba była niezgoda na fałsz i zakłamanie realnego socjali-

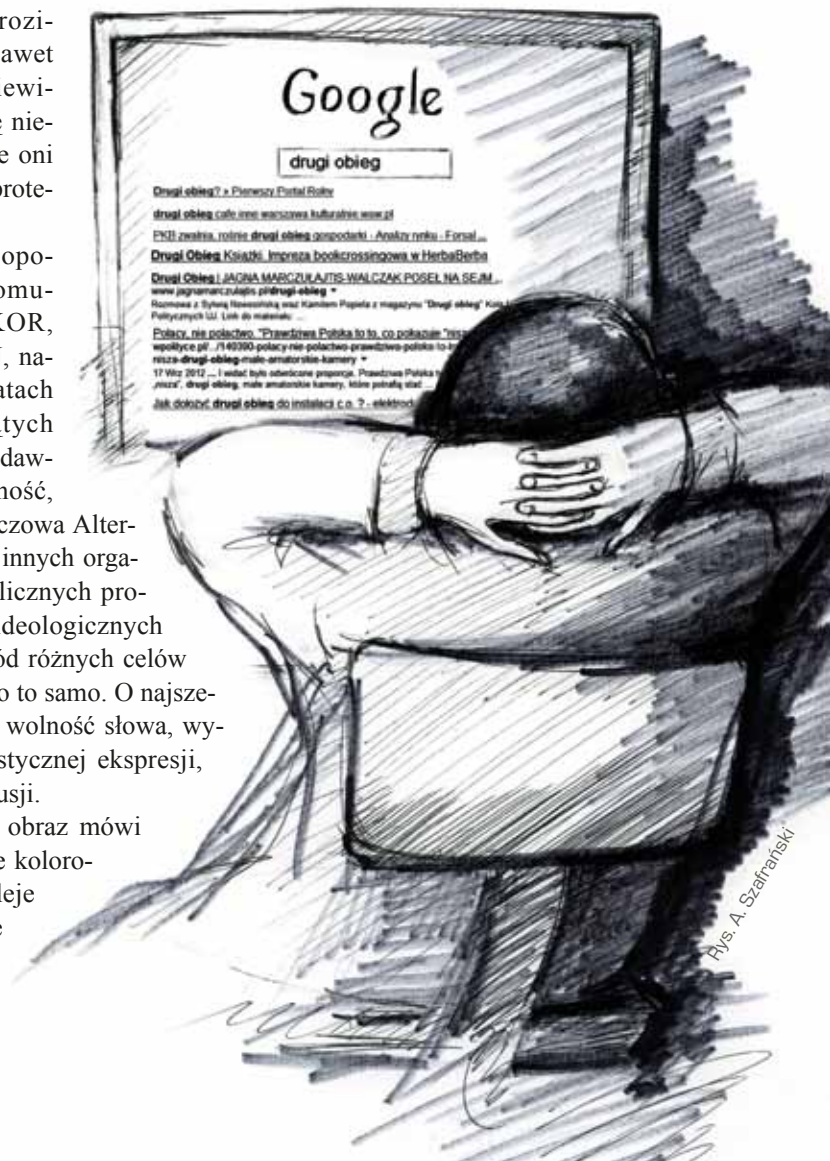
zmu budowanego nad Wisłą. Ludziom, którzy w Marcu wyszli zaprotestować najpierw na wyższych uczelniach, a później na ulicach wielu polskich miast, przestało już wystarczać, że coś mają. Te książki, o których pisałem wcześniej, wydawane w wielkich nakładach, pobudziły tylko ich intelektualny i polityczny apetyt. Zaczęło ich zastanawiać – i przeciwko temu zaprotestowali – że czegoś nie mają. A nie mieli przede wszystkim prawdy. Zauważyli, że w ich życiu istnieją także książki zakazane. O świecie, w którym żyją, o jego gospodarce, kulturze, historii. Nie mogli czytać o Kacym, o eksporcie węgla do Związku Radzieckiego. Książek Miłosza, Dżiłasa, Hemara, Hłaski, Orwella, Sołżenicyna, zachodnich pisarzy i socjologów nie mogli po prostu kupić w księgarni. Gorzej – za ich posiadanie groziły represje. Nawet *Dziady* Mickiewicza okazały się niecenzuralne. Nie oni jedyni zresztą protestowali.

Późniejsza opozycja antykomunistyczna, KOR, ROPCio, KPN, narodzony w latach siedemdziesiątych drugi obieg wydawniczy, Solidarność, NZS, Pomarańczowa Alternatywa i wiele innych organizacji – przy licznych programowych i ideologicznych różnicach, wśród różnych celów – walczyły też o to samo. O najszerzej rozumianą wolność słowa, wypowiedzi, artystycznej ekspresji, naukowej dyskusji.

Który zatem obraz mówi prawdę? Czy te kolorowe majowe Aleje Ujazdowskie

z uśmiechniętymi tłumami czytelników, twórcami rozdającymi autografy, rozchodzącymi się w dużych nakładach dziełami wybitnych pisarzy? Czy też ten z cenzurą tropiącą wszelki przejaw niezależnej myśli, z zakazanymi książkami równie wielkich pisarzy jak ci wydawani przez PiW i inne wydawnictwa, z drukowaną w podziemiu bibułą? Odpowiedź jest banalna. Oba te obrazy są prawdziwe. Nawet więcej. Bez tego pierwszego, narodziny drugiego mogłyby być trudniejsze. Ale tylko ten drugi niósł w sobie pełną prawdę i dlatego zwyciężył. A za to, że w telewizyjnym teleturnieju ktoś nie wiedział o palonych w karczmie lulkach, odpowiadamy wszysej po trosze. 📖

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN



• Rzecznik protestujących, Tadeusz Mazowiecki, z jednym z organizatorów głodówki, Bohdanem Cywińskim; w tle jedna z franciszkanek



# Głodówka w obronie więzionych

Robert Szcześniak

**Bezprecedensowy protest w geście solidarności z więzonymi uczestnikami Czerwca '76 podjęli w maju 1977 roku członkowie i współpracownicy KOR. Okolice warszawskiego kościoła św. Marcina, w którym trwała głodówka, SB naszpikowała kamerami. Głodujący mieli świadomość, że są obserwowani.**

**D**rastyczna podwyżka cen żywności, wprowadzona w czerwcu 1976 roku przez rząd Piotra Jaroszewicza, doprowadziła do licznych wystąpień społecznych. Najgwałtowniejszy charakter przybrały one w Ursusie i Radomiu. Demonstracje zostały brutalnie stłumione przez oddziały milicji i ZOMO. Zatrzymano około 2,5 tys. ludzi, z których ok. 230 skazano w trybie doraźnym, blisko pięciuset postawiono przed sądami.

We wrześniu 1976 roku powstał Komitet Obrony Robotników, który rozpoczął organizowanie pomocy prawnej i materialnej dla zatrzymanych oraz

zwalnianych z pracy robotników i ich rodzin. W lutym 1977 roku władze ogłosiły amnestię dla uczestników wydarzeń z czerwca 1976 roku, jednak nie wszyscy opuścili więzienia. Wśród pozostawionych za kratkami był Czesław Chomiczki, który został skazany na dziewięć lat. Przebywający w więzieniu we Wronkach Chomiczki na wieść, że nie zostanie wypuszczony, rozpoczął głodówkę protestacyjną. Miała ona przebiegać w stugodzinnych turach z krótkimi przerwami (historię Chomiczkiego opisał Arkadiusz Kutkowski w „Pamięci.pl” nr 6/2014).

7 kwietnia 1977 roku na spotkaniu członków KOR w mieszkaniu Jana Jó-

zefa Lipskiego doszło do dyskusji, której tematem była m.in. głodówka protestacyjna. W ten sposób chciano wymóc na władzach uwolnienie więzionych osób oraz odpowiedzieć na zaostrzającą się kampanię propagandową władz wobec organizacji. Za zorganizowaniem głodówki opowiadali się m.in. Jacek Kurowiński, Antoni Macierewicz, a także Bogusława Blajfer – inicjatorka głodówki, która przygotowywała się do niej prawdopodobnie już w marcu. Sceptyczni wobec pomysłu byli m.in. Jan Józef Lipski i Aniela Steinsbergowa.

Postanowiono całą sprawę przedyskutować w szerszym gronie. Okazją do tego było zebranie KOR, które odbyło się 15 kwietnia w mieszkaniu Heleny i Witolda Łucywowów (przybyło 28 osób). Mimo że spotkanie zostało przerwane przez wejście milicji, zapadła decyzja o zorganizowaniu głodówki. Miała się odbyć w jednej z warszawskich świątyń (brano pod uwagę kościoły św. Anny, św. Krzyża i św. Aleksandra). Oczywiście

ście wcześniej planowano uzgodnić akcję z hierarchią kościelną. W tym miejscu należy wspomnieć, że już na początku kwietnia Służba Bezpieczeństwa orientowała się w zamiarach środowiska korońskiego, ale z braku konkretów nie podejmowała żadnych działań.

Kiedy ruszyły przygotowania do protestu, wśród działaczy i sympatyków KOR oraz rodzin osadzonych wytypowano grupę osób, która miała wziąć udział w głodówce. Początkowo zdecydowano, że głodować będą sami mężczyźni (około dwudziestu), jednak wobec głośnych protestów pań, m.in. Bogusławy Blajfer, Barbary Toruńczyk czy Grażyny Kuroń, kobiety również zostały do tej grupy włączone. Wszyscy zostali przebadani przez lekarza, który orzekł o zdolności do podjęcia tej formy protestu (np. Jan Józef Lipski nie został dopuszczony z powodu choroby serca).

25 kwietnia Czesław Chomicki zakończył siódmą turę swojej głodówki. W rozmowie z żoną powiedział, że jeżeli do 25 maja nie zostanie zwolniony, to zaostriże formę protestu i będzie głodował w turach dwustugodzinnych. Informacja ta za pośrednictwem Danuty Chomickiej dotarła do organizatorów warszawskiego protestu i przesądziła o dacie jego rozpoczęcia. SB, inwigilująca środowisko korońskie, na początku maja uzyskała informację, że głodówka rozpocznie się po 20 maja. Parę dni później, tj. 15 maja, wiadano już, że początek jest zaplanowany na 25 maja, jednak nie wiadano, gdzie.

W tym czasie organizatorzy protestu wybrali kościół św. Marcina przy ul. Pivnej. Po pierwsze, kościół miał odpowiednią infrastrukturę w postaci wewnętrznego przejścia do sąsiedniego klasztoru sióstr franciszkanek, gdzie znajdowały się łazienki, oraz wyjście do przyklasztornego ogrodu. Po drugie, rektor kościoła, ks. Bronisław Dembowski, osobiście znał wielu członków KOR oraz był duszpasterzem warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej.

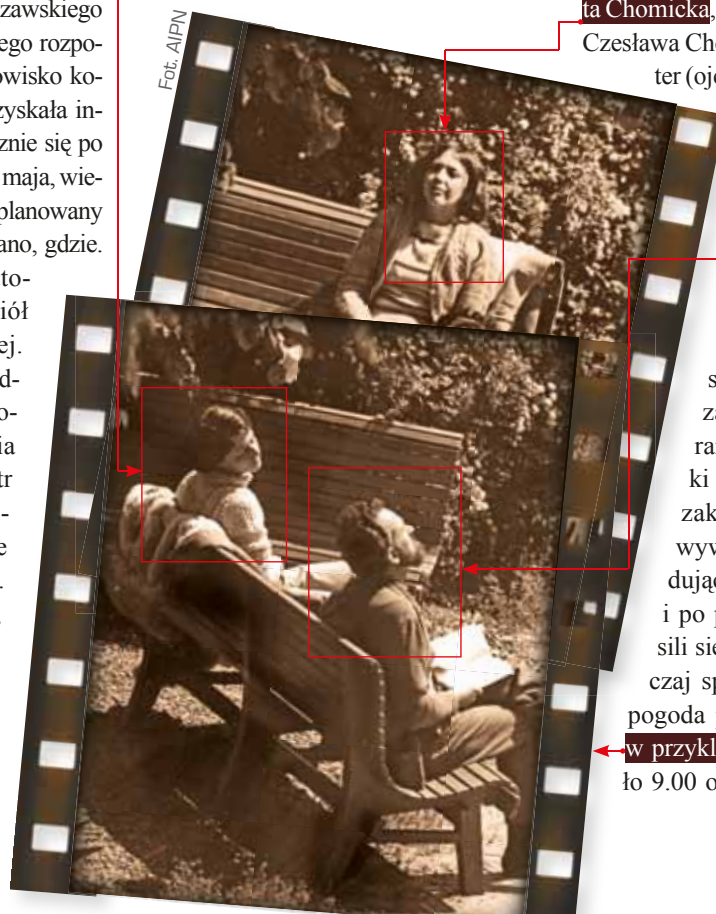
Na początku maja związany z KIK Bohdan Cywiński odbył z ks. Dembowskim rozmowę w sprawie głodówki. Przyszły biskup włocławski się zgodził, choć zastrzegł, że nic oficjalnie nie wie, i prosił o uzyskanie zgody prymasa. 20 maja Cywiński spotkał się z kardynałem Stefanem Wyszyńskim. Podczas rozmowy oznajmił, że za aprobatą ks. Dembowskiego zostanie zorganizowana w kościele św. Marcina głodówka protestacyjna. Wyjaśnił jej cel i podał prawdopodobny skład głodujących. Prymas wyrażnej zgody nie dał, ale również w sposób zdecydowany nie zakazał, co odebrano jako przyzwolenie.

Między 14 a 19 maja aresztowano m.in. Adama Michnika, Jacka Kuronia, Mirosława Chojeckiego, Jana Józefa Lipskiego, Seweryna Blumsztajna oraz innych działaczy i współpracowników KOR, z których część prawdopodobnie zamierzała wziąć udział w głodówce. Mimo tego ciosu zaplanowana akcja się odbyła. 24 maja ok. 20.00 sześć osób – Bogusława Blajfer, Bohdan Cywiński, Henryk Wujec, Barbara Toruńczyk, Jerzy Geresz i dominikanin, o. Aleksander Hauke-Ligowski – weszło do kościoła

i oznajmiło ks. Dembowskiemu, że zamierzają rozpocząć tygodniowy protest głodowy w kaplicy św. Franciszka.

Rozpoczęcie protestu dzień wcześniej, niż zaplanowano wynikało z obawy, że milicja może nie dopuścić ich do kościoła i aresztować, nim akcja wystartuje. Miejsce protestu cały czas było utrzymywane w tajemnicy, uczestnicy dowiedzieli się o nim w przeddzień akcji. Poza tym Bohdan Cywiński kilka dni wcześniej rozpowiadał, że głodówka odbędzie się w kościele sióstr wizytek. Na drugi dzień Cywiński, o. Hauke-Ligowski oraz Tadeusz Mazowiecki zredagowali komunikat, w którym informowali, że rozpoczęto protest głodowy w geście solidarności z nadal więzionymi uczestnikami wydarzeń czerwca 1976 roku oraz w obronie tych, którzy im pomagali, a obecnie zostali również uwięzieni. Oryginał tekstu Tadeusz Mazowiecki – rzecznik prasowy protestujących i ich łącznik ze światem zewnętrznym – przekazał do Rady Państwa, kopie zaś do episkopatu Polski, Polskiej Agencji Prasowej oraz dziennikarzom zachodnim i krajowym. W kolejnych dniach do głodujących dołączały kolejne osoby – 25 maja: **Danuta Chomicka**, Lucyna Chomicka (siostra Czesława Chomickiego), Ożjasz Szechter (ojciec Adama Michnika), Eugeniusz Kloc; 26 maja: Joanna Szczęsna; 27 maja: Stanisław Barańczak, Zenon Pałka i **Kazimierz Świton** (dowiedział się o głodówce z Radia Wolna Europa).

Uczestnicy protestu spali w zakrystii. Dzień zaczynał się około 6.00 rano. Sygnałem do pobudki było krzatanie się siostry zakonnej, która przygotowywała poranną mszę. Głodujący zwiłali swoje posłania i po porannej toalecie przenosili się do kaplicy, gdzie zazwyczaj spędzali cały dzień. Jeżeli pogoda pozwalała, **przesiadawali w przyklasztornym ogrodzie**. Około 9.00 o. Hauke-Ligowski odpra-



wiał mszę dla głodujących. Podczas pobytu w kaplicy protestujący rozmawiali mało, półgłosem, aby nie zakłócać spokoju kościoła. **Czytali** m.in. życiorys Mahatmy Gandhiego, fragmenty Biblii czy *Wyznania* św. Augustyna. W ogrodzie dzielili się na dwu-, trzyosobowe grupy, w których dyskutowali na różne tematy. Po zamknięciu kościoła przenosili się do zakrystii, gdzie czytali prasę przyniesioną przez Tadeusza Mazowieckiego, rozmawiali, słuchali radia i wkładali do flakonów kwiaty, których ludzie przynosili do kościoła całe mnóstwo, i stawiali je pod kaplicą. Do kwiatów były dołączone listy z wyrazami poparcia, pisane często na biletach kolejowych czy PKS. Codziennie głodujących odwiedzał lekarz kontrolujący ich stan zdrowia. Ustalono, że jeżeli komuś górne ciśnienie tętnicze spadnie poniżej 90 mm Hg, przerywa głodówkę. Dwa dni przed zakończeniem głodówki Bohdan Cywiński miał wynik 85. Wiedział o tym jeszcze lekarz, Piotr Krasucki, ale obaj zachowali informację w tajemnicy i Cywiński dotrwał do końca protestu.

Od początku głodówki aktywna była SB, która różnymi metodami próbowała doprowadzić do zakończenia protestu. 25 maja już ok. 9.00 do ks. Dembowskiego przybyło dwóch wysokiej rangi funkcjonariuszy: ppłk Romuald Będziaż i mjr M. Jasiński (przedstawili się jako por. Karczewski i Jankowski). Prośbami i groźbami chcieli skłonić go do tego, aby wyprosił protestujących z kościoła, czego ksiądz oczywiście nie uczynił, a intruzów odesłał do kurii. W kolejnych dniach obaj esbecy co dzień, i to czasami po kilka razy, odwiedzali ks. Dembowskiego.

We wnętrzu kościoła przebywało wielu funkcjonariuszy po cywilnemu, którzy obserwowali kaplicę św. Franciszka i robili zdjęcia osobom składającym kwiaty. Próbowano je również po cichu usuwać. Z relacji uczestników głodówki wynika, że podejmowano także próby wtargnięcia do kaplicy. W odpowiedzi na to protestujący zabarykadowali oba wejścia ławkami.



Fot. AIPN

► Stanisław Barańczak

Ponadto funkcjonariusze od początku obstawili kościół, ale z nieznanых przyczyn nie zatrzymano osób, które do głodówki dołączyły. Ani razu też nie zatrzymano Tadeusza Mazowieckiego, który codziennie odwiedzał głodujących. Ponadto okolice kościoła – ulice Piwna, Rycerska, Podwale, pl. Zamkowy oraz ogród na tyłach klasztoru – znajdowały się pod okiem kamer bezpieczeństwa. Nie wiadomo, kiedy rozpoczęto tę obserwację. Z materiału dostępnego w IPN można wnioskować, że miało to miejsce 29 maja. Jednak – zważywszy na to, że na zachowanych fragmentach

filmów widać osoby, które przybyły do kościoła 27 maja – można też sądzić, że rejestracja trwała od tego momentu. Nie możemy również wykluczyć, że filmowano od początku głodówki. Kamery lub kamery SB ustawiono w oknie lub oknach Zamku Królewskiego i stamtąd filmowano to, co się dzieje na **ul. Piwnej**, pl. Zamkowy oraz w wylocie ul. Podwale. Inna kamera znajdowała się w oknie kamienicy usytuowanej **naprzeciw wejścia do kościoła**. Stamtąd nagrywano osoby wchodzące do kościoła i z niego wychodzące. Kamera umieszczona w kamienicy przy ul. Podwale 8 (prawdopodobnie) rejestrowała wydarzenia i osoby znajdujące się w okolicy pomnika Jana Kilińskiego oraz na fragmentach ulic Podwale, Rycerskiej oraz u zbiegu ulic Rycerskiej i Piekarskiej. Najważniejsza z kamer znajdowała się w pomieszczeniach żłobka przy ul. Rycerskiej. Okna budynku wychodziły na ogród przyklasztorny i stąd było najłatwiej filmować głodujących. Dodatkowo był przynajmniej jeden (choć nie można wykluczyć większej liczby) zakryty punkt obserwacyjny, umieszczony w samochodzie dostawczym typu Nysa. Działał on **w rejonie ul. Podwale**, głównie obok pomnika Kilińskiego. Z fragmentów filmów zachowanych w zasobie IPN oraz wspomnień uczestników głodówki wynika, że przebywające w ogrodzie osoby zdawały sobie sprawę z tego, że są filmowane. Nie dowiemy się prawdopodobnie nigdy, czy głodujący zauważyli kamerę w oknie żłobka przez nieuwagę funkcjonariusza, czy też SB specjalnie nie ukrywała swojego działania, żeby wyrzucić dodatkową presję na głodujących. Na zachowanych fragmentach można znaleźć **kilka ujęć świadczących niezbicie o tym, że uczestnicy głodówki, choć doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że są filmowani, to zachowywali dobry humor**.

Władze, dążąc do zakończenia głodówki, wywierały również naciski na hierarchię kościelną. Wiązało się to m.in. z niechętnymi i krytycznymi opiniami części kleru o zaistniałej sytuacji, co skrzętnie w swoich sprawozdaniach od-



Fot. AIPN



▶ Bogusława Blajfer, Zenon Pałka, ks. Bronisław Dembowski, o. Aleksander Hauke-Ligowski

notowywała bezpieka. Sprawą tą z ramienia władz zajął się prezydent Warszawy Jerzy Majewski, zwracając się z prośbą o interwencję do bp. Jerzego Modzelewskiego, sufragana warszawskiego. W trakcie rozmów padła m.in. propozycja pomocy w siłowym wyprowadzeniu głodujących z kościoła. Biskup Modzelewski odniósł się do tej propozycji bez entuzjazmu i odwołał się do decyzji prymasa, z którym miał rozmawiać. Kardynał Wyszyński, który przez długi czas nie wypowiadał się na ten temat, ostatecznie kazał się uspokoić hierarchom i czekać do zakończenia głódówki. Tym samym przesądził o jej kontynuacji.

Początkowo władze chciały protest przemilczeć. Ze sprawozdań SB można wywnioskować, że głódówka była traktowana jako lokalny incydent, o którym niewiele osób wiedziało. W rzeczywistości o proteście było głośno, skoro władze postanowiły włączyć do działania swoją propagandę. 27 maja ukazały się w „Życiu Warszawy” i „Trybunie Ludu” artykuły, w których wyeksponowano wątki antysemickie i ośmieszające akcje oraz

sugerujące, że głódówka jest pozorowana. W odpowiedzi ks. Dembowski wywiesił w wejściu do kościoła informację na temat protestu, jednocześnie uzasadniając podjętą przez siebie decyzję. Na drugi dzień, na wyraźne żądanie funkcjonariuszy bezpieki, kartkę zdjęł. Jednocześnie odmówił odwołania publicznej mszy zaplanowanej na następny dzień, w której mieli uczestniczyć głodujący.

Wobec zbliżania się głódówki do końca, zastanawiano się, jak protest zakończyć. Obawiano się, że w chwili wychodzenia z kościoła dojdzie do incydentów, które mogłyby zakłócić dotychczasowy godny i spokojny przebieg protestu. Ostatecznie postanowiono opuścić kościół bocznym wyjściem (od ul. Rycerskiej). Pomysł poparli ks. Dembowski oraz funkcjonariusze SB Będziak i Jasiński. Ponadto obiecali, że jeżeli głodujący wyjdą od ul. Rycerskiej, nikt nie zostanie aresztowany.

31 maja uczestnicy głódówki wraz z liczną grupą wiernych wzięli udział w nabożeństwie majowym. Następnie pożegnali się z siostrami, które przez

cały czas serdecznie się nimi opiekowały. Wieczorem ok. 19.30 **głodujący zgodnie z przyjętym planem opuścili kościół wyjściem od ul. Rycerskiej**. Odprowadzał ich ks. Dembowski. Na rogu Piekarskiej i Rycerskiej stali funkcjonariusze Będziak i Jasiński. W okolicach pomnika Kilińskiego **czekała na głodujących grupa zwolenników**. Całość była filmowana przez esbeckie kamery. Podczas wyjścia Bogusława Blajfer oraz **Zenon Pałka** prawdopodobnie nawet w stronę jednej z nich pomachali.

Nie wiemy, w jaki sposób głódówka wpłynęła na władze oraz w jakim stopniu przyczyniła się do ogłoszenia w lipcu 1977 roku amnestii, dzięki której wszyscy uczestnicy wydarzeń Czerwca '76 roku oraz członkowie KOR opuścili więzienie. Warto natomiast podkreślić to, że głódówka solidarnościowa w kościele św. Marcina była pierwszym tego typu protestem podjętym przez ludzi wolnych. Dotychczas bowiem głódówki podejmowano zazwyczaj w więzieniach. 🇺🇸

**Robert Szcześniak** – pracownik Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

▶ Nysa, w której był zakryty punkt obserwacyjny



**Przed II wojną światową 1 Maja był świętem ludzi pracy. Obchody organizowała głównie Polska Partia Socjalistyczna. Po wojnie 1 Maja został przejęty przez komunistów, stając się jednym z najważniejszych świąt państwowych. Nie tylko w PRL, lecz w krajach całego bloku.**

**D**o oficjalnego kalendarza Święto Pracy wprowadzono dopiero w 1950 roku, ale nowa władza organizowała uroczystości już od 1945 roku. Od samego początku nadano im masowy charakter. Największe odbywały się w stolicy, jednak niewiele mniej okazałe świętowano w innych miastach czy nawet w wioskach. Zwłaszcza w okresie stalinizmu obecność na uroczystości była obowiązkowa. Scenariusz co roku był podobny: trybuna honorowa, przed którą maszerowali przedstawiciele „świata pracy”, prężąc dumnie sylwetki i dzierżąc w dłoniach transparenty z treścią weryfikowaną wcześniej przez cenzurę. Nie było miejsca na jakąkolwiek spontaniczność, a osoby zakłócające oficjalne uroczystości mogły być pewne wizyty funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa i dalszych kłopotów, łącznie z pobytem w więzieniu.

1 Maja był starannie zaplanowanym przedstawieniem, którego wzorce przeniesiono wprost z ZSRR. Rozstawienie notabli na trybunie honorowej ściśle odzwierciedlało ich pozycję w hierarchii państwowej. Także kolejność zakładów pracy, a nawet wielkość i format niesionych transparentów były z góry określone. W niektórych zakładach urządzano próby przed zbliżającym się świętem. Historyk Piotr Osęka pisał: „Pierwszomajowe manifestacje partia traktowała ze śmiertelną powagą – niemal jak obrzęd magiczny, gwarantujący trwałość ustroju. Wszelkie zakłócenia ceremoniału urastały do rangi świętokradztwa”.

Co dla działaczy PZPR było świętem „klasy robotniczej”, dla robotników bywało smutnym obowiązkiem. Zganiani z fabryk ludzie, nierzadko pod groźbą kary za nieobecność, często nie potrafili wykrzesać z siebie ra-

dości podczas przemarszu. Zadanie to przypadało wówczas aktywistom partyjnym. Wraz z końcem stalinizmu kary za zakłócanie pochodów pierwszomajowych stawały się coraz niższe. Jednak wciąż było to święto masowe, a obecność na nim była sprawdzana w zakładach pracy.

Wraz z pojawieniem się grup jawnie zwalczających system coraz trudniej było zapewnić pełną kontrolę, zwłaszcza nad przebiegiem pochodu stołecznego, który zawsze był centralnym punktem uroczystości. Już w drugiej połowie lat sześćdziesiątych główny przemarsz zakłóciła grupa, do której przyłączyła się nazwa „komandos”. O ile w 1966 roku służby porządkowe złożone z aktywistów studenckich zdołały zabrać „komandosom” transparenty „antysocjalistyczne”, o tyle już dwa lata później udało im się przemaszerować przed trybuną honorową. Jednak to, co wcześniej było pojedynczymi wyskokami niewielkiego grona opozycjonistów, w latach osiemdziesiątych stało się niemal regułą. Milicjanci i tajniacy, chociaż liczni, nie byli w stanie wyłapać wszystkich transparentów o „wrogich” treściach.

Do tak licznych przejawów protestu doprowadziła rewolucja Solidarności. W maju 1981 roku działacze związkowi brali udział w oficjalnych uroczystościach zarówno w Warszawie, jak i w innych miastach. Po wprowadzeniu stanu wojennego zakłócanie oficjalnych obchodów stało się dla działaczy podziemia punktem honoru. Przypominali w ten sposób o swoim istnieniu i walce o przywrócenie zdelegalizowanego związku. Urządzali akcje ulotkowe, bojkotowali oficjalne obchody, niekiedy organizowali kilkudziesięcymilionowe kontrpochody, które bywały rozbijane przez oddziały ZOMO. Władze starały

się przeciwdziałać tej aktywności opozycji, zatrzymując przed 1 maja niektórych jej działaczy, organizując naloty na podziemne drukarnie i konfiskując sprzęt potrzebny do produkcji ulotek.

Z biegiem lat podziemie solidarnościowe było jednak coraz skuteczniejsze. W 1986 roku obniżyło znacznie frekwencję w czasie oficjalnych obchodów, wykorzystując... katastrofę w Czarnobylu. Podszuwając się pod lokalnych przedstawicieli władz, opozycjoniści informowali, że pochód został odwołany.

O tym, że zaangażowanie służb porządkowych doprowadzało czasami do absurdalnych sytuacji, pokazuje prezentowany dokument. Opisuje on pewien epizod z ostatniego centralnego pochodu pierwszomajowego (w 1989 roku władze poprzestały na krótkim wiecu). Aktywiści Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, będącej młodzieżową przybudówką PZPR i kuźnią jej kadr, zostali wyprowadzeni z oficjalnego pochodu za to, że nieśli transparent z czcionką przypominającą krojem tzw. solidarycę, z której układano napis „Solidarność”. To wystarczyło niezbyt lotnym działaczom PZPR, by potraktować kolegów z ZSMP jak „wichrzycieli” i oddać ich w ręce milicji.

Wybuchł skandal, z którego musiało się tłumaczyć kierownictwo bezpieki. Prowadzona później wymiana korespondencji między urzędami pokazuje, że milicjanci, nie zatrzymując członków koła ZSMP im. Che Guevary, wykazali więcej zdrowego rozsądku niż aktywiści partyjni. Sytuacja pozostaje jednak niejasna. Działacze ZSMP nie legitymowano, ale zatrzymano ich transparent, który wedle zeznań milicjantów po pochodzie zniszczono.

Nie znamy dalszego ciągu tej historii. Nie wiemy, czy dokonujący zatrzymania aktywiści PZPR ponieśli jakieś konsekwencje i czy musieli przeproszać zatrzymanych studentów, ale i tak zawarta w dokumencie historia wydaje się żywym wyjętą z filmów Stanisława Barei, który w mistrzowski sposób potrafił wydobyc absurdy toczące PRL. ■



**W nagłówku nie dopisano, że chodzi o zastępcę szefa Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych ds. SB**

**Numer kancelaryjne nadane w Departamencie III Ministerstwa Spraw Wewnętrznych**

**Klauzula tajności i numer egzemplarza dokumentu**

**Miejsce i data wytworzenia dokumentu**

**Numer karty w teczkę nadany w archiwum IPN**

**Dekretacja płk. Majchrowskiego: „Tow. Jęrzyl Podolski”; ppłk Jęrzyl Podolski był wówczas naczelnikiem Wydziału I Departamentu III MSW (ogólnoinformacyjnego)**

**Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej – młodzieżowa organizacja utworzona w 1976 roku, działająca jako przybudówka Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej**

**Ponadprzeciętnie zaangażowani członkowie PZPR, do ich zadań należało m.in. pilnowanie porządku podczas imprez partyjnych, tworzenie swego rodzaju „służby porządkowej”**

**Komitety Dzielnicowe PZPR – działały na poziomie dzielnic i zrzeszały wszystkich członków PZPR z danej dzielnicy miasta**

**Przejęte transparenty o „wrogich” treściach były zachowywane i służyły jako dowód w sprawie sądowej bądź przed kolegium ds. wykroczeń**

**Informacje techniczne o dokumencie: w ilu egzemplarzach go wytworzono, inicjały maszynistek, numer druku**

**Krzysztof Majchrowski (1929–2000) – w latach 1952–1990 funkcjonariusz UB/SB; od stycznia 1987 do kwietnia 1990 roku dyrektor Departamentu III MSW, następnie Departamentu Ochrony Konstytucyjnego Porządku Państwa MSW**

**Numer kancelaryjny i data wysłania pisma, w którym zwracano się z prośbą o wyjaśnienie incydentu; najprawdopodobniej była to reakcja na skargę członków ZSMP, która wpłynęła do MSW**

**Che Guevara, właśc. Ernesto Guevara (1928–1967) – argentyński rewolucjonista, jeden z przywódców powstania komunistycznego na Kubie; symbol popkultury i skrajnych ruchów lewicowych**

**Najprawdopodobniej mowa o charakterystycznej czcionce, tzw. solidarycy – aktywiści uznali, że wykonano nią napis na transparentie niesionym przez członków ZSMP**

**Za wrogie treści uznawano w okresie PRL wszelkie hasła krytycznie odnoszące się do władz, ustroju oraz ZSRR**

**Grzegorz Baranowski (ur. 1940) – w latach 1962–1990 funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, od sierpnia 1985 do lipca 1990 roku zastępca szefa SUSW ds. SB**

# Tata chciał, żebym była dzielna

Ojciec każdego dnia przekazywał mi i bratu wartości, którymi mieliśmy się kierować w życiu. Nazywał mnie „diedziczką świeżego powietrza”. Tłumaczył, że tego, na co patrzę, co jest takie piękne – może kiedyś zabraknąć. I że trzeba się do tego przystosować – wspomina **Zofia Pilecka-Optułowicz**, córka rtm. Witolda Pileckiego, w rozmowie z Karoliną Wichowską



Fot. Piotr Życiński

**Zanim włączyłam dyktafon, usłyszałam historię o tym, jak uratowała Pani życie małej kotce ze swojego osiedla i nazwała ją „Rotką” – na cześć Rotmistrza. Czy wrażliwość na los słabszych istot, na przyrodę w ogóle, to jedna z wartości, które przekazał Pani ojciec?**

Jak najbardziej. Tata zawsze podkreślał, że wszystko, co żyje, ma ogromny sens istnienia. Tłumaczył mi, że jeśli się przerwie łańcuszek, to on przestanie funkcjonować. Kiedyś spacerowaliśmy razem. W ostatniej chwili tata dostrzegł biedronkę pod moimi nogami, której ja nie spostrzegłam. „Jak ty nie uważasz! Zgniotłabyś biedronkę – powiedział do mnie. – Weź ją i połóż na listek. Tam będzie bezpieczna”. Przekonywał mnie też, że koń to wyjątkowe zwierzę, które ma duszę. Dlaczego? „Otóż koń jest tak mądry – mówił tata – że kiedy raz zdarzyło mi się galopować na mojej kłacz, Bajce, do naszego dworku w Sukurczach, kłacz nagle się zatrzymała. W pierwszej chwili zdawało się, że bez powodu. Okazało się jednak, że na ziemi leżało dziecko, którego z wysokości konia nie dostrzegłem”. To był dla taty dowód na to, jak wyjątkowymi istotami są właśnie konie. Wszystko to świadczy o jego wielkiej wrażliwości. Staram się wcielać w życie te wartości, dlatego mam teraz pod

opieką nie tylko bezdomne koty, ale nawet okoliczne sikorki i gołębie. Przez wiele lat miałam ukochanego psa. Tata odczuwał przyrodę całym sobą. Zastanawiałam się później, jak to możliwe, że z tą swoją ogromną wrażliwością zdołał przeżyć obóz w Auschwitz... Czy on sobie zdawał sprawę z tego, że idzie do takiego piekła? To był człowiek obdarzony niesłychaną liczbą talentów, których nie zakopywał pod kamień, ale rozwijał je na każdym kroku. Napisał poemat o Sukurczach, którego część później odnalazłam. Przepięknie malował: nad łóżkiem małżeńskim namalował biało-niebieski fresk z Matką Boską karmiącą, dla dzieci – krasnoludki tańczące wokół grzybka. Coś pięknego!

**Kraży też anegdota, że aby zdobyć serce Pani mamy, galopując konno, wrzucił jej do domu bukiety bzu przez otwarte okno.**

Rzeczywiście, tak było. Ojciec miał ułańską fantazję. I nie stracił jej po ślubie. Mama była nauczycielką w miejscowej szkole. Kiedy wracała zmęczona z pracy, zawsze czekała na nią jakaś



atrakcja: ojciec przebierał mnie i mojego brata Jędrka np. za damę i ulana albo za Japończyków, albo za postaci bajkowe.

**To zupełnie nie pasuje do stereotypu starswieckiego, przedwojennego oficera – surowego, zasadniczego, skoncentrowanego na karierze. A tu – urodzony pedagog!**

To trafne określenie. Każdego dnia przekazywał nam wartości, którymi mieliśmy się kierować w życiu. Z dzisiejszej perspektywy mam wrażenie, jakby się spieszył. Jakby czuł, że ma niewiele czasu. Nazywał mnie „diedziczką świeżego powietrza”. Pytałam go, co to znaczy. Tłumaczył, że tego, na co patrzę, co jest takie piękne – może kiedyś zabraknąć. I że trzeba będzie się do tego przystosować. Mówił, że muszę być „generalką” – dzielną osobą, która radzi sobie w każdej sytuacji. Ogromną wagę przywiązywał do wychowania fizycznego. Kiedy uciekł z obozu w 1943 roku, miałam 10 lat. Przebywał w Warszawie, a my mieszkaliśmy u babci, w Ostrowi Mazowieckiej. Przyjeżdżałam do niego i meldowałam o wszystkim, co osiągnęłam w sporcie: już umiem robić szpagat, już biegam na setkę, jestem w drużynie siatkówki, pływam... „O, to świetnie, że pływasz, to bardzo ważne! – pochwalił mnie za to. – Gdybym nie potrafił pływać, nie uciekłbym z obozu, bo musiałem przepłynąć Sołę. Nigdy nie wiesz, kiedy ci się przyda taka umiejętność”. Uczył mnie też zachowań konspiracyjnych. Jeździliśmy po Warszawie tramwajem. W pewnym momencie wysiadaliśmy. Zadawał mi takie ćwiczenie: trzeba ostrzec człowieka idącego za mną, że z przeciwka idzie żandarm. Miałam podejść do ściany lub wystawy, jeśli zobaczyłam żandarma. To miał być znak dla osoby idącej za mną. Czasem też tata przyjeżdżał do nas do Ostrowi. Wtedy przeważnie zamykał się sam w pokoju. Najwyraźniej opracowywał plany konspiracyjne, gdyż od 1944 roku działał w organizacji „NIE”. Raz podglądałam go przez dziurkę od klucza, mając nadzieję, że gdy złapie klamkę, to będę go miała tylko dla siebie. Zauważyłam wtedy, że co jakiś czas wyciągał z kieszeni skórki od chleba i żuł powoli. Widocznie został mu taki nawyk z czasów obozowych...



Fot. ze zbiorów rodzinnych

► Ulańska fantazja Witolda Pileckiego skradła serce Marii Ostrowskiej

Swoją relację z ojcem mogę porównać do procesu edukacji. Najwcześniejsze dzieciństwo – to przedszkole. Czasy okupacji niemieckiej – pierwsze lata szkoły podstawowej. A to, co było po jego aresztowaniu i straceniu – to już zupełnie inny etap, studia wyższe.

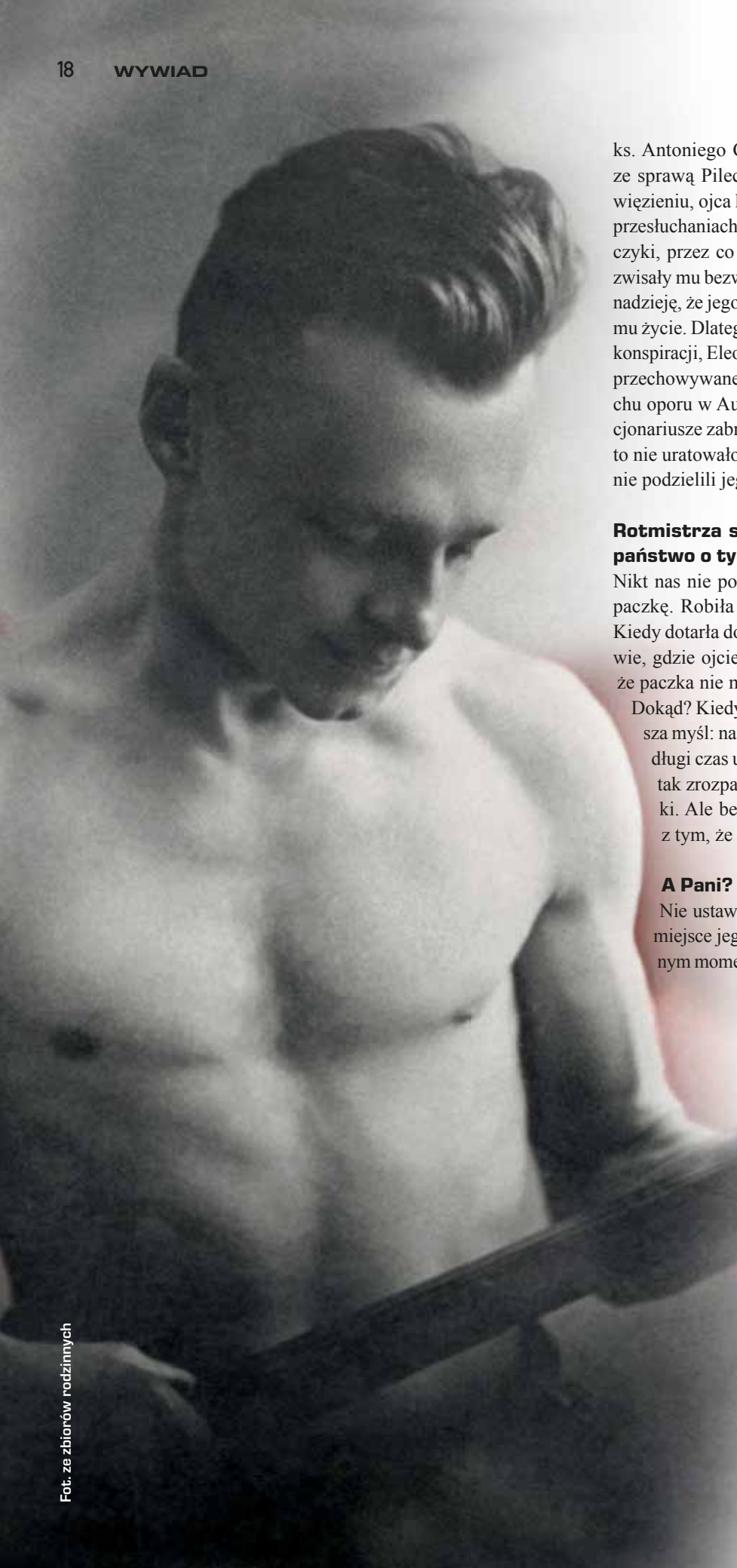
**Kiedy ojca aresztowano, Pani miała czternaście lat.**

To był 1947 rok. Każdego 8 maja, w imieniny Stanisława, ojciec przyjeżdżał do Ostrowi, żeby złożyć życzenia mojemu wujowi. 8 maja 1947 roku, kiedy przyjechał ostatni pociąg z Warszawy, okazało się, że nie ma w nim taty. Zmartwiłam się, ale myślałam, że może tylko coś niespodziewanego mu wypadło. Jednak w nocy usłyszałam głośne uderzenie, jakby w szybę. Podbiegłam do okna, ale nikogo tam nie było. Mama myślała, że może któryś z kolegów zrobił mi kawał. Takie uderzenia powtarzały się później prawie codziennie przez parę miesięcy. Wierzę, że w jakiś niezbadany sposób ojciec chciał mi przekazać, że dzieje się z nim coś złego – najpierw, że został aresztowany, a potem, że jest torturowany. Był katowany tak strasznie, że w pewnym momencie podczas widzenia powiedział mamie, że już nie może dłużej żyć. Że Oświęcim to była igraszka w porównaniu z tym, co robili komunistyczni śledczy. Według relacji ►



Fot. ze zbiorów rodzinnych

► Na wracającą z pracy żonę Rotmistrza często czekała atrakcja, np. przebrane dzieci



ks. Antoniego Czajkowskiego, aresztowanego w związku ze sprawą Pileckiego i przetrzymywanego w tym samym więzieniu, ojca katowano szczególnie okrutnie. Po ostatnich przesłuchaniach – jak twierdził ksiądz – miał połamane obojczyki, przez co nie mógł utrzymać głowy w pionie, a ręce zwisały mu bezwładnie wzdłuż tułowia. Mimo wszystko miał nadzieję, że jego działalność konspiracyjna z Auschwitz ocali mu życie. Dlatego poprosił szwagierkę, również uczestniczkę konspiracji, Eleonorę Ostrowską, żeby przedstawiła śledczym przechowywane przez nią relacje dotyczące organizacji ruchu oporu w Auschwitz. Eleonora spełniła tę prośbę. Funkcjonariusze zabrali wszystkie materiały. Niestety, życia tacie to nie uratowało, ale być może dzięki jego postawie myśmy nie podzielili jego losu.

### **Rotmistrza stracono w maju 1948 roku. Jak się państwo o tym dowiedzieli?**

Nikt nas nie poinformował. Mama pojechała zawieźć ojcu paczkę. Robiła to co miesiąc, bo częściej nie pozwalano. Kiedy dotarła do więzienia przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, gdzie ojciec był przetrzymywany, usłyszała od straży, że paczka nie może zostać przyjęta, bo „Pilecki wyjechał”.

Dokąd? Kiedy? Oczywiście ani słowa na ten temat. Pierwsza myśl: na pewno został wywieziony na Syberię. Mama długi czas usiłowała dowiedzieć się czegokolwiek. Była tak zrozpaczona, że w końcu udała się nawet do wróżki. Ale bezskutecznie. W końcu jednak pogodziła się z tym, że męża nie odnajdzie.

### **A Pani?**

Nie ustawałam w poszukiwaniach. Chciałam odnaleźć miejsce jego pochówku za wszelką cenę. Mama w pewnym momencie zaczęła mi mówić, że jestem nawiedzona,

**Witold Pilecki** (1901–1948), pseudonimy: „Witold”, „Druh”; nazwiska konspiracyjne: Roman Jezierski, Tomasz Serafiński, Leon Bryjak, Jan Uznański, Witold Smoliński – rotmistrz kawalerii Wojska Polskiego, współzałożyciel Tajnej Armii Polskiej, żołnierz Armii Krajowej, więzień i organizator ruchu oporu w KL Auschwitz. Autor raportów o Holokauście, tzw. Raportów Pileckiego. Oskarżony i skazany przez władze komunistyczne Polski Ludowej na karę śmierci, stracony w 1948 roku. Oskarżenie anulowano w 1990 roku. Pośmiertnie, w 2006 roku, Witold Pilecki otrzymał Order Orła Białego, a w 2013 roku został awansowany do stopnia pułkownika.

żebym już przestała szukać. A ja traktowałam swoje poszukiwania jako dar dla ojca. Uważałam, że im więcej trudności, to nawet tym lepiej, bo dar będzie cenniejszy. Uważałam, że mój wysiłek musi być jak największy, jeśli robię to dla kogoś tak mi bliskiego. Kogoś, kto sam przeszedł w życiu niewypowiedziany ogrom cierpień.

### **Jaką cenę przyszło Pani zapłacić za upór?**

Nie chcę opowiadać o trudnościach, które przechodziłam podczas poszukiwań, bo to tak, jakby komuś dać prezent, a następnie wypominać, jaki był drogi.

### **Musiała Pani zrezygnować ze studiów.**

Rzeczywiście. Po maturze dostałam się na Politechnikę Warszawską, na budownictwo wodne. Wszyscy asystenci byli „czerwoni”. Jeśli ktoś miał niesłuszne z ich punktu widzenia poglądy, nie zaliczali mu ćwiczeń i tym samym nie można było dostać się na egzamin do profesora. Pewnego razu jeden z profesorów poprosił mnie do siebie i powiedział: „Moje dziecko, zrezygnuj ze studiów. Bo tylko zszarpiesz sobie nerwy. Może jeszcze będą kiedyś inne czasy...”. I tak zrobiłam. Byłam już wtedy narzeczoną, wkrótce zostałam też żoną i matką.

### **A wcześniej, w szkole w Ostrowi Mazowieckiej, nie spotykała się Pani z ostracyzmem?**

Wręcz przeciwnie. Tam nawet w najstraszniejszych chwilach, po aresztowaniu ojca, mogłam liczyć na wsparcie rówieśników i nauczycieli. Do dziś pamiętam, jak z głośnika na szkolnym korytarzu podczas dużej przerwy słychać było audycję propagandową Wandy Odolskiej. Spikerka mówiła o procesie Witolda Pileckiego, nazywając go zdrajcą ojczyzny i szpiegiem. Nauczycielka zapytała, czy to mój ojciec. Ptwierdziłam i dodałam, że jestem z niego dumna. Profesorka nie skomentowała tego, co w tamtych warunkach wymagało sporej odwagi.

Dopóki mieszkaliśmy w Ostrowi, mama prowadziła miejscową księgarnię. Dzięki temu mieliśmy za co żyć. Kiedy jej siostra wróciła z obozu w Ravensbrück, przejęła prowadzenie księgarni, a my przenieśliśmy się do Warszawy. Mama miała nadzieję, że w wielkim mieście znajdzie pracę w zawodzie nauczycielki. Niestety, ta nadzieja okazała się płonna. Z konieczności miała się różnych zajęć, łącznie z pracą herbaciarki i sprzątaczką. Mieszkaliśmy pod Warszawą w pokoju z kuchnią, w domku letniskowym. Jeśli w zimie brakowało pieniędzy na węgiel, trzeba było zbierać szyszki, żeby ogrzać izbę. Później ja sama długo nie mogłam znaleźć pracy, ostatecznie jednak zatrudniono mnie w przedsiębiorstwie INCO, związanym ze Stowarzyszeniem PAX. Formalnie miałam etat pracownika fizycznego, a wykonywałam pracę biurową. Pensja była niezbyt wysoka, ale pozwalała przeżyć.

### **Dzięki kontaktom w PAX udało się Pani pod koniec lat osiemdziesiątych spotkać z Józefem Cyrankiewiczem,**

### **byłym już wówczas premierem PRL, w czasie okupacji więźniem Auschwitz. Miała Pani nadzieję, że Cyrankiewicz pomoże Pani w ustaleniu, co się stało ze zwłokami ojca?**

Ogromnie na to liczyłam. Podczas spotkania Cyrankiewicz był dla mnie bardzo uprzejmy. Przywitał mnie grzecznie, wręcz entuzjastycznie, jakby ucieszył się na mój widok. Posługiwałam się nazwiskiem męża: Optułowicz, nie mam więc pewności, czy wiedział, kim jestem. Powiedziałam od razu, że moja wizyta będzie bardzo krótka, gdyż chciałam jedynie prosić o pomoc w ustaleniu, gdzie spoczywają szczątki mojego ojca, Witolda Pileckiego. On na to: „Witold Pilecki? A kto to jest ten Witold Pilecki?”. Zawrzało we mnie! Odpowiedziałam, że skoro tak, to nie mam więcej pytań. Musiałam mieć bardzo srogą minę, bo Cyrankiewicz starał się jakoś załagodzić sytuację. Powiedział, że popyta, „gdzie trzeba”, i spotka się ze mną jeszcze raz. Nie doczekałam się jednak żadnej wiadomości. Wkrótce Cyrankiewicz zmarł.

### **Kiedy w 2011 roku IPN, Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Ministerstwo Sprawiedliwości rozpoczęły program poszukiwań nieznanymi miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego, pojawiła się realna szansa, że uda się odnaleźć szczątki Pani ojca. Była Pani jedną z pierwszych osób, które oddały materiał genetyczny do badań porównawczych. Domyślałam się, że nie wahała się Pani ani chwili, czy to zrobić.**

Nie miałam wątpliwości, czy oddać materiał. Chociaż muszę przyznać, że czasami jestem bliska pogodzenia się z tym, że ojca nie uda się odnaleźć. Słyszałam relacje, według których specjalnie go zaprowadzono na egzekucję do kotłowni. Innych osób tam nie zabierano. A więc możliwe, że został wrzucony do pieca. Z drugiej jednak strony wierzę w to, że może być pochowany na Powązkach, bo tam zaprowadziła mnie moja córka, urodzona w 1958 roku Ania Krysią. Była całkiem zdrowa, ale niespodziewanie zmarła drugiego dnia po urodzeniu. Lekarka uchyliła drzwi do sali i oschle rzuciła: „Dziecko pani zmarło”. Takie to były czasy. Pochowaliśmy ją w powstającej wówczas kwaterze dziecięcej, na cmentarzu komunalnym (Powązkach Wojskowych). Jak się później okazało, było to w bezpośrednim sąsiedztwie „Łączki”. Jestem przekonana, że to tata mnie tam zaprowadził. Dlatego, mimo wszystko, nie tracę nadziei. Niezależnie zresztą od tego, że na „Łączce” poszukiwano mojego ojca, jeździłam tam podczas prac tak często, jak tylko mogłam. Czasami pakowałam do plecaka pączki i napoje, żeby ludzie poszukujący szczątków nie pili byle jakiej wody. Jestem zafascynowana pietyzmem, z jakim ten zespół pracuje. Podziwiam ich szacunek dla najdrobniejszej kosteczki: każdą z nich przesiewają i zanoszą medykowi sądowemu. Trzeba to zobaczyć, żeby przekonać się, z jakim uszanowaniem człowiek żyjący odnosi się do kości tego, który już nie żyje. 🍀

# Coraz dłuższy cień wojny

To, czego się dowiadujemy o II wojnie światowej z perspektywy zwykłych ludzi, jest ważne także dla naszej współczesności. Paradoksalnie wojna okazuje się wydarzeniem wciąż żywym, i to niekiedy budzącym większe kontrowersje i emocje teraz niż kiedyś – mówi **prof. Paweł Machcewicz**, dyrektor Muzeum II Wojny Światowej, w rozmowie z Andrzejem Brzozowskim i Pawłem Sasanką

## Jakie jest główne przesłanie muzeum?

Muzeum opowiada o wojnie, ale potraktowanej szerzej: o drodze do wojny, jej konsekwencjach, o tym, w jakim stopniu – i w jakim znaczeniu – jest aktualne doświadczenie wojny. Muzeum zostało powołane po to, by utwalić doświadczenie i pamięć pokolenia, które już odchodzi, ale też po to, by stworzyć opowieść o wojnie z perspektywy polskiej i wpisać ją w narracje europejskie i światowe. Przez okres zimnej wojny rozwijały się one bowiem oddzielnie. Była narracja zachodnia, w której prawie nie było nic o tym, co się działo w Europie Środkowo-Wschodniej – a jeśli było, to tylko w kontekście Holokaustu. Dotyczy to nie tylko historiografii, lecz także pamięci historycznej w szerszym wymiarze: mediów, muzeów. Doświadczenie polskie – jak np. pakt Ribbentrop–Mołotow, wspólna agresja Niemiec i ZSRR na Polskę, Katyń, wywózki na wschód, a także brutalny charakter okupacji niemieckiej w Polsce – jest tu bardzo słabo zaznaczone, a właściwie nieobecne poza kręgiem specjalistów. Zresztą nawet pewnie niewielu naszych rodaków wie, że na ziemiach wcielonych do Rzeszy tyl-

## prof. Paweł Machcewicz

(ur. 1966) – historyk, pracownik Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, od 2008 roku dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, od 2012 roku członek Międzynarodowej Rady Oświecimskiej. W latach 2000–2006 był dyrektorem Biura Edukacji Publicznej IPN.



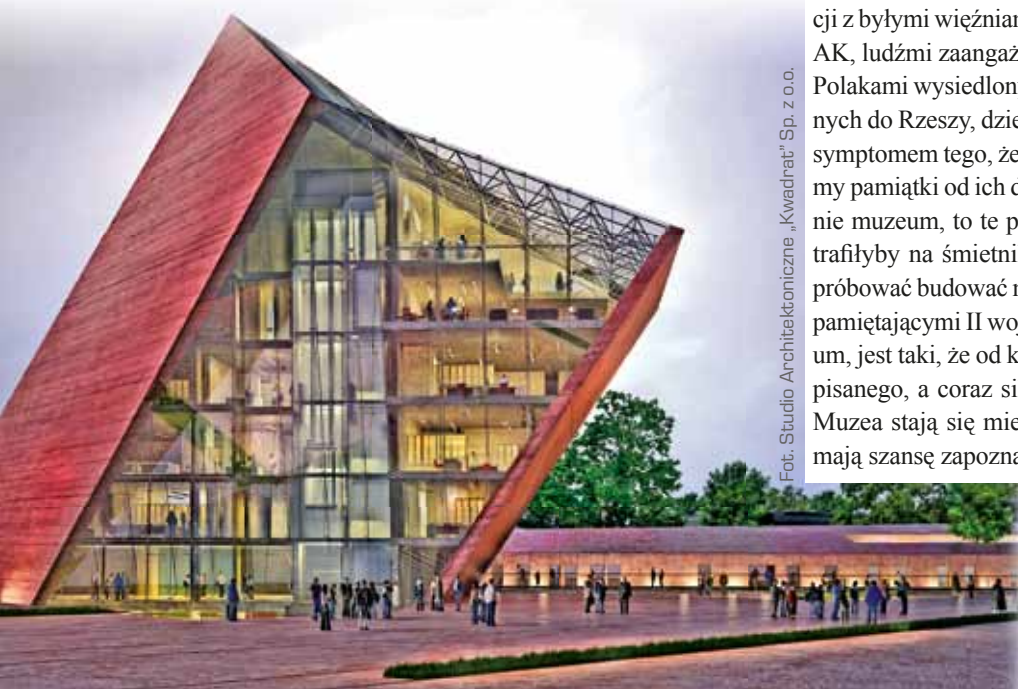
Fot. Renata Dąbrowska/ Agencja Gazeta

ko w 1939 roku Niemcy zamordowali ok. 50–60 tys. Polaków. Tworzenie muzeum w Gdańsku ma też tę zaletę, że nie będzie to narracja tylko z perspektywy Generalnego Gubernatorstwa.

Powszechnie znany na Zachodzie jest głównie Holokaust, który z kolei często się przedstawia bez związku z innymi wydarzeniami, rozgrywającymi się w tym samym czasie i miejscu. Moim zdaniem, jest to wielki błąd intelektualny, bo nie da się wyjaśnić drogi do eksterminacji Żydów bez pokazania tego, co robili Niemcy wcześniej także wobec innych grup ludności, zarówno własnej (np. psychicznie chorych), jak i podbitej – głównie Polaków. To muzeum powołano po to, aby stworzyć opowieść, która byłaby zrozumiała także dla ludzi z innych krajów, atrakcyjna i pokazywała polskie doświadczenie wojny.

## Stopniowo odchodzą świadkowie II wojny światowej i coraz aktualniejsze będzie pytanie, jak przekazywać to doświadczenie kolejnym pokoleniom. Jak zmierzy się z tym muzeum?

Mamy program nagrywania notacji – nagraliśmy ok. 100 relacji z byłymi więźniami obozów koncentracyjnych, żołnierzami AK, ludźmi zaangażowanymi w Polskie Państwo Podziemne, Polakami wysiedlonymi w głąb ZSRR czy z obszarów wcielonych do Rzeszy, dziećmi poddanymi germanizacji. Pośrednim symptomem tego, że to pokolenie odchodzi, jest to, że dostajemy pamiętki od ich dzieci i wnuków. Mam poczucie, że gdyby nie muzeum, to te pamiętki leżałyby gdzieś na strychach lub trafiłyby na śmietnik. Być może to jest ostatni moment, by próbować budować muzeum, które zachowa łączność z ludźmi pamiętającymi II wojnę. Drugi powód, by tworzyć takie muzeum, jest taki, że od kilkunastu lat kurczy się cywilizacja słowa pisanego, a coraz silniejsza staje się cywilizacja obrazkowa. Muzea stają się miejscami, gdzie ludzie, którzy nie czytają, mają szansę zapoznania się z historią. Muzea nie powinny się



Fot. Studio Architektoniczne „Kwadrat” Sp. z o.o.

► Wizualizacja budynku Muzeum II Wojny Światowej

poddawać tej cywilizacji obrazkowej, ale powinny ją wykorzystywać do własnych celów.

**Muzea aspirujące do miana nowoczesnych stawiają na bardziej bezpośredni kontakt zwiedzających z tym, co chcą pokazać – niekoniecznie nawet z samym eksponatem, ale ze sposobem jego pokazania, z doświadczeniem. Czy odwołują się Państwo do jakiegoś wzorca?**

Istnieje oczywiście wiele muzeów zajmujących się wojną, ale żadne nie ma tak dalekosiężnych planów jak my, tzn. nie podejmuje próby opisanie II wojny światowej we wszystkich jej najważniejszych aspektach. Istnieją placówki skupiające się na kwestiach militarnych, jak Imperial War Museum, opowiadające także o innych wojnach, w których brali udział Brytyjczycy; we Francji jest wiele muzeów pokazujących lądowanie w Normandii od strony militarnej, muzeum w Nowym Orleanie w 99 proc. pokazuje militarny udział Amerykanów w II wojnie. Muzea postsowieckie – najważniejsze to Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej w Kijowie (które pewnie teraz zmieni nazwę) i muzeum w Moskwie na Pokłonnej Górze – też koncentrują się na aspekcie militarnym: muzeum moskiewskie pokazuje triumf ZSRR, a kijowskie, zukrainizowane po uzyskaniu niepodległości, pokazuje wojnę z perspektywy Ukraińców. Są też muzea poświęcone Holocaustowi, jak waszyngtońskie i Yad Vashem. Nie ma natomiast żadnego, które podejmowałoby próbę pokazania pełnego obrazu. Oczywiście zawsze będzie on pewną konstrukcją, bo nie mamy ambicji stania się encyklopedią – byłoby to nudne i zniechęcające do zwiedzania.

**Jakiego rodzaju będzie to konstrukcja: zwiedzający będzie mógł wyłącznie podążać za narracją stworzoną przez autorów ekspozycji czy otrzyma wiedzę ze znakami zapytania, do samodzielnej interpretacji?**

Każde muzeum powinno szukać własnej drogi. Nasza polega m.in. na tym, że pozostając muzeum narracyjnym, jesteśmy w opozycji do silnego trendu w muzealnictwie przełomu XX i XXI wieku – do fascynacji multimediami, elektroniką. To prowadziło do lekceważenia roli artefaktów i powodowało, że powstawały przestrzenie, które tylko z trudem można zaliczyć do muzealnych, w których przecież z definicji powinny być eksponaty. Multimedia też oczywiście będą – takie są współczesne oczekiwania. Tradycyjne muzealnictwo skupiało się na pokazaniu jak największej liczby przedmiotów, np. prezentowano wiele pasiaków z obozów koncentracyjnych, ale niekoniecznie starano się zrekonstruować historię człowieka, który nosił ten pasiak. Chcemy pokazać eksponaty, za którymi kryje się konkretna historia, np. chusta należąca do Bolesława Wnuka, na której napisał ostatni list do rodziny z więzienia w Lublinie. Wiedział, że będzie następnego dnia rozstrzelany, żegna się z bliskimi. Chustę pokazujemy w części poświęconej

eksterminacji elit przez Niemców i Sowieców. Jest eksponatem towarzyszącym opowieści o dwóch braciach: Bolesławie i Jakubie – jeden został zamordowany na Zamku w Lublinie, a drugi w Katyniu przez Sowieców. Obok, w sali poświęconej Katyniowi, pokazujemy przedmioty z mogił.

Nowe w naszym podejściu jest także to, że to będzie muzeum wojny, ale nie koncentrujemy się na wymiarze militarnym, lecz pokazujemy losy ludności cywilnej. Po pierwsze, II wojna światowa była inna niż wcześniejsze, ponieważ głównie dotyczyła ludności cywilnej – zginęło przecież więcej cywilów niż żołnierzy, prowadzono celową politykę eksterminacji określonych grup ludności cywilnej. Po drugie, we współczesnym świecie zachodnim, do którego i my przynależymy, nie ma właściwie poboru do armii, a co za tym idzie – nie ma powszechnego doświadczenia wojska. Jeżeli chcemy, żeby opowieść o wojnie była zrozumiała, żeby było jasne, że to, co opowiadamy, to są dylematy, przed którymi widz także mógłby stanąć, to musimy opowiedzieć wojnę przez losy zwykłych ludzi, takich jak zwiedzający. Po trzecie wreszcie, chcemy pokazać Polskie Państwo Podziemne – to będzie bardzo rozbudowana część ekspozycji – które przecież nie było tylko strukturą militarną, lecz państwem w wymiarze politycznym i społecznym, składającym się także z tysięcy oddolnych inicjatyw. Perspektywa ludności cywilnej będzie znakiem szczególnym naszej ekspozycji.

**Wspomniał Pan, że muzeum będzie pokazywało wojnę z perspektywy polskiej – co znaczy, że nieuchronnie wejdziemy na pole konfliktów pamięci, które dotyczą nawet tak prozaicznej kwestii, jak cezury czasowe. Dla nas są one oczywiste: wojna zaczęła się 1 września 1939 roku, skończyła 8 maja 1945. Ale np. dla Rosjan II wojna – o ile w ogóle ją tak nazwą – zaczyna się kiedy indziej. Inna jest także perspektywa Japończyków, Chińczyków czy nawet Amerykanów. Jak to rozwiązać?**

W przypadku ZSRR – czy teraz Rosji – używanie określenia Wielka Wojna Ojczyźniana i daty początkowej 22 czerwca 1941 roku służy ukryciu współodpowiedzialności Stalina i Związku



Radzieckiego za doprowadzenie do wojny, sojusz z Hitlerem, rozbiór Polski, zaatakowanie Finlandii, agresję wobec państw bałtyckich i represje wobec ludności polskiej i innych podbitych terenów. Jest to nie tylko konflikt pamięci, lecz także polityki. W przypadku Amerykanów uderzające jest to, że np. muzeum w Nowym Orleanie w oficjalnej nazwie jest rok 1941 jako początkowa data wojny. Polska perspektywa m.in. na tym polega, że pokazujemy, gdzie wojna się zaczęła, i będzie dużo o wydarzeniach, które rozgrywały się na ziemiach polskich. W opowieści muzealnej o tak wielkim wydarzeniu jak II wojna światowa wybieramy pewne wątki, nie można pokazać wszystkiego. Muzeum będzie zmierzało do pokazania pełnego obrazu wojny w tym sensie, że chcemy wyeksponować to, co czyni opowieść o wojnie kompletną, przez ukazanie najważniejszych sensów i wymiarów, a nie wszystkich wydarzeń. Polska perspektywa polega na tym, że opowiadamy szczegółowo o żądaniach Hitlera wobec Polski; mamy sekcję w ekspozycji, która nazywa się „Umierać za Gdańsk” i pokazuje Wolne Miasto Gdańsk jako bufor między Polską a Niemcami i jeden z powodów, dla których doszło do ataku Hitlera na Polskę. Z kolei sekcja o roku 1939 to dobry przykład tego, jak staramy się wpisać narrację o polskich wydarzeniach w uniwersalną opowieść o wojnie. Pokazujemy wrzesień '39 jako początek wojny na wyniszczenie. Nawet w Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie mówi się o tym, że był to początek polityki ludobójstwa, która wkrótce potem doprowadziła do Zagłady. Polska inteligencja była pierwszą grupą, która została skazana na eksterminację, a potem ten sam mechanizm – tylko w większej skali – dotknął Żydów. Ataki na ludność cywilną, bombardowania miast, zbrodnie na jeńcach wojennych – pokazujemy załączki wojny na wyniszczenie, które zostały rozwinięte później. Wielu historyków zachodnich uważa, że o wojnie na wyniszczenie w wydaniu Niemców możemy mówić dopiero od agresji na ZSRR. I to jest nasza polemika, nasza perspektywa – pokazujemy, że to się zaczęło we wrześniu 1939 roku. Zaznaczamy to nawet w naszym adresie internetowym: [www.muzeum1939.pl](http://www.muzeum1939.pl).

Oczywiście polska perspektywa to nie tylko pokazanie zbrodni niemieckich. Jest to też opowieść o terrorze sowieckim: wy-

wózkach, eksterminacji polskich oficerów – to również będzie coś nowego dla zachodniego odbiorcy, a na pewno także dla wielu Rosjan, którzy zresztą tłumnie odwiedzają Gdańsk, przyjeżdżając z obwodu kaliningradzkiego.

### Jak architektura muzeum będzie wspierała przesłanie wystawy głównej?

Rozpisując konkurs na projekt budynku, mieliśmy już rozstrzygnięty konkurs na scenografię wystawy. W związku z tym warunki konkursu architektonicznego były takie, że projekty mają w jak największym stopniu uwzględniać wystawę. Przede wszystkim w wymiarze przestrzennym (aby przestrzeń nie była podzielona na małe sale, które trudno się zwiedza i które ograniczają ekspozycję), m.in. dlatego wygrał projekt, który prawie całą wystawę schował pod ziemię, gdzie możemy robić wszystko, bo funkcje biurowe, edukacyjne i komunikacyjne zostały wyniesione na wyższe kondygnacje, a tam jest tylko przestrzeń wystawiennicza. Ponadto współczesne wystawy potrzebują jak najmniej naturalnego światła, które jest raczej przeszkodą. Architekci przedstawili też wyjaśnienie ideowe: pod ziemią jest wystawa o wojnie – piekło wojny, potem teraźniejszość, czyli poziom zero – tam będzie wejście, budynek biurowy – i wieża, która symbolizuje przyszłość, przezwyciężenie wojny. Tam będą sale edukacyjne, wieża będzie przeszklona, będzie punkt widokowy na Główne Miasto, które zostało odbudowane z wojennych ruin. Ważnym motywem jest czerwony ceglany kolor, który nawiązuje do gdańskiego gotyku.

### Mówiliśmy o konfliktach pamięci międzynarodowych, ale też mamy własne, polskie, jak choćby ten – nieprzypadkowo przecież rozmawiamy właśnie teraz – czy rok 1945 przyniósł nam wyzwolenie, czy nową okupację. Czy widzi Pan już takie kwestie, które powodowałyby potrzebę przedstawiania opinii dwóch stron, dwóch ras? W jaki sposób to pokazać i czy muzeum powinno takie problemy rozstrzygać?

Opowieść muzealna powinna być spójna. Nie można sugerować, że są dwie równorzędne prawdy na temat zakończenia wojny. W historiografii – ale także w muzealnictwie – istnieje imperatyw odtwarzania prawdy przez maksymalnie wierne rekonstruowanie wydarzeń. Nie mamy nigdy pewności, jak bardzo do tej prawdy się zbliżyliśmy, ale naszym obowiązkiem jest dążenie do niej. Z drugiej strony – opowieść spójna niekoniecznie musi być jednoznaczna. Koniec wojny w 1945 roku był bardzo niejednoznacznym wydarzeniem dla Polaków. Dla ZSRR był, owszem, jednoznaczny, był to największy triumf







► Wystawa plenerowa „Westerplatte: Kurort-Bastion-Symbol”

tego państwa i narodu rosyjskiego jako najważniejszego w ZSRR. Tę niejednoznaczność chcemy pokazać na wystawie głównej i na wystawie, którą otwieramy 6 maja w Gdańsku „45. Koniec wojny w 45 eksponatach”. Niewątpliwie Armia Czerwona przyniosła wyzwolenie od niemieckiego ludobójstwa. Jestem przeciwny mówieniu, że nie się nie zmieniło i jedna okupacja zastąpiła drugą. Otóż nie: gdyby trwała okupacja niemiecka, to biologiczny byt narodu polskiego byłby zagrożony. ZSRR dążył do sowietyzacji Polski, ale nie do zniszczenia Polaków. O tej różnicy nie można zapominać. Pokazujemy, że było to wyzwolenie i tak było odbierane przez Polaków – przez zdjęcia pokazujące, że ludzie na ulicach Lublina wiwatowali na widok żołnierzy radzieckich. Ale jednocześnie armia radziecka przyniosła nowe zniewolenie. Opowiadamy obszernie o represjach wobec żołnierzy Armii Krajowej, o gwałtach popełnianych przez czerwonoarmistów, głównie na Niemkach, ale także – choć w mniejszym stopniu – na Polkach; o procesie Szesnastu, o losach tych Polaków, którzy wracali ze Związku Radzieckiego dopiero w połowie lat pięćdziesiątych, a także o tych, którzy w ogóle nie wrócili. Pokazujemy podziemie niepodległościowe, które też jest znakiem tego, że Armia Czerwona nie przyniosła wolności. Mamy też jednak opowieść o konkretnym żołnierzu, który zdobywał Berlin. W ostatnich latach jest wręcz wypierana pamięć o tym, że doszliśmy do Berlina – to byli przecież polscy żołnierze! Wprawdzie pod dowództwem radzieckim, ale Polacy. Paradoks polega na tym, że byliśmy w obozie zwycięzców, ale to zwycięstwo nie przyniosło nam niepodległości, nie zagwarantowało integralności terytorialnej ani systemu demokratycznego. To jest właśnie ta polska perspektywa. Bardziej skomplikowana niż przekaz rosyjski czy zachodni. Także inna niż Słowaków, Węgrów i Rumunów, którzy byli sojusznikami III Rzeszy. Z Czechami jest bliższa analogia, bo też byli okupowani przez Niemców – choć ta okupacja nie była aż tak brutalna.

**Ostatnia część planowanej ekspozycji stałej nosi tytuł „Długi cień wojny”. Wspomniał Pan o działalności podziemia antykomunistycznego już po „dniu zwycięstwa” – kiedy ta wojna się kończy z naszej perspektywy? I jak długi jest cień wojny? Wydłuża się coraz bardziej?**

Jeden z przekazów naszego muzeum jest taki, że dla Polaków wojna skończyła się w 1989 roku. Nie w sensie działań militarnych, ale w takim, że dopiero wtedy zostały przekreślone konsekwencje wojny. Państwa środkowoeuropejskie odzyskały niepodległość i mogły wprowadzić demokrację – czyli to, czego zostały pozbawione wraz z takim, a nie innym końcem II wojny światowej. To też nie do końca jest zrozumiałe dla zachodnich Europejczyków. Ostatnia część ekspozycji pokazuje skutki wojny w sensie straszliwych zniszczeń, strat ludzkich, a także świat podzielony, zimną wojnę i żelazną kurtynę. Jeszcze dwa lata temu zakładaliśmy, że film kończący wystawę będzie się kończył na 1989 roku, na scenach pokazujących przekreślenie długofalowych skutków wojny. Natomiast teraz dodaliśmy sceny z konfliktów późniejszych w różnych częściach świata, z naciskiem na Ukrainę. To nie jest działanie propagandowe. Nie chodzi nam tylko o pokazanie kolejnej rosyjskiej agresji, lecz o to, że zagrożenie wojną może być wciąż aktualne. Przesłaniem naszego muzeum jest to, że doświadczenie wojny, o którym opowiadamy, postaw ludzkich, wyzwania, wobec których stali zwykli ludzie, jest uniwersalne: znów możemy znaleźć się w sytuacji, w której będziemy musieli bronić swojej wolności, niepodległości czy godności. Wobec takich zagrożeń stoją dziś Ukraińcy i nikt nie może nam zagwarantować, że my także wobec nich nie staniemy. To, czego się dowiadujemy o II wojnie z perspektywy zwykłych ludzi, ważne jest także dla naszej współczesności.

**Czy z biegiem czasu ten cień wojny nie będzie się jednak wydłużał? Weźmy chociażby niedawną uchwałę parlamentu ukraińskiego, dotyczącą zmiany narracji: zamiast o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej będzie się tam teraz mówić o II wojnie światowej – mając świadomość symboliki tej zmiany, można się jednak zastanawiać nad tym, że wciąż zajmujemy się wydarzeniem sprzed 70 lat.**

To na razie tylko zmiana nazwy, na zmianę narracji trzeba będzie jeszcze pewnie poczekać. Paradoksalnie II wojna okazuje się wydarzeniem wciąż żywym, i to niekiedy budzącym większe kontrowersje i emocje teraz niż kiedyś. Kiedy zostałem dyrektorem Biura Edukacji Publicznej IPN w sierpniu 2000 roku, byłem przekonany, że IPN, który dopiero trzeba ►

było stworzyć, będzie się zajmował głównie badaniem historii komunizmu i PRL. Ustawa mówiła o przejmowaniu i udostępnianiu archiwów aparatu bezpieczeństwa. Oczywiście też i o II wojnie światowej, ale mnie się wydawało, że te sprawy są przebadane i w dużej mierze zamknięte. Pierwsze zaś tygodnie mojej pracy to Jedwabne, książka *Sąsiedzi* Jana Tomasz Grossa i konieczność zmierzenia się przez instytut – w wymiarze śledczym, naukowym i edukacyjnym – ze sprawą mordu na Żydach w Jedwabnem, Radziłowie i innych miejscach, których, jak się okazało, było więcej. Potem wybuchły polsko-niemieckie kontrowersje wokół przesiedleń Niemców po wojnie i działalności Eriki Steinbach. Pamiętam też polsko-ukraińskie spory wokół oceny tego, co się działo na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, relacji podczas wojny i po niej (akcja „Wisła”). Zatem II wojna była czymś ważnym, żywym, a na początku istnienia IPN nawet chyba ważniejszym niż spuścizna czasów komunistycznych. Tworząc muzeum, widzę, że te spory wciąż są niezwykle istotne. Spieramy się ciągle o ocenę stosunków polsko-żydowskich w czasie wojny. Trwają nie tylko spory polsko-rosyjskie, lecz także spory Rosji z krajami nadbałtyckimi. Wciąż musimy się z tym wydarzeniem konfrontować.

**Polska dyskusja o tych trudnych sprawach, m.in. o stosunku do Żydów, jest ewenementem w tej części Europy. Takiej dyskusji nie ma np. na Litwie, Łotwie czy w Estonii.**

Dotknęli panowie fundamentalnej sprawy. Z punktu widzenia prawdy historycznej nie ulega dla mnie wątpliwości, że jeśli w IPN znajdowały się dokumenty na temat zbrodni w Jedwabnem czy Radziłowie, to należało je ujawnić. Nie wszyscy tak bynajmniej uważali: były głosy, że w imię polskiej racji stanu należy sprawę wyciszyć. Ale moim zdaniem właśnie w interesie polskiej racji stanu w wymiarze długofalowym jest uczciwe rozliczanie się z tymi wydarzeniami. Jako współcześnie żyjący Polacy nie ponosimy bezpośredniej odpowiedzialności za to, co robili Polacy w Jedwabnem, ale ponosimy odpowiedzialność historyczną, wynikającą z tego, że jeśli uważamy się za członków tego narodu, to dziedziczymy spuściznę rzeczy zarówno dobrych, jak i złych. Sprawa Jedwabnego jest uważana w skali światowej za wzorcową pod względem otwartości, uczciwości w rozliczaniu się z trudną przeszłością i jestem przekonany, że państwo polskie tylko na tym zyskało, wbrew silnym obawom wielu środowisk.

**Wspomniał Pan, że nawiązanie do aktualnych wydarzeń na Ukrainie nie jest posunięciem propagandowym, ale jednak dotyka bieżącej polityki. Czy muzeum może – i czy powinno – się stać narzędziem polityki historycznej i jak to ma się do edukacji? Czy polityka historyczna i edukacja historyczna wzajemnie się wykluczają?**

Termin „polityka historyczna” został ukuty w określonych realiach politycznych i stał się, moim zdaniem, narzędziem bardzo konfrontacyjnej polityki, która zamiast tworzyć wspólno-

te, próbowała niektórych Polaków, o innych poglądach, z niej wykluczać. Między innymi dlatego wiele osób odrzuca w ogóle to pojęcie, co uważam za błąd, ponieważ zjawisko, które nazywano w ten sposób, jest dużo starsze. Polityka historyczna polega na tym, że np. Lech Kaczyński podjął decyzję o wybudowaniu Muzeum Powstania Warszawskiego, Donald Tusk zdecydował o wybudowaniu Muzeum II Wojny Światowej, rząd polski współfinansował budowę Europejskiego Centrum Solidarności i Muzeum Historii Żydów Polskich, rozpoczął budowę Muzeum Piłsudskiego w Sulejówku – to były decyzje polityczne. Natomiast tworzenie muzeum nie jest polityką historyczną. Pracujemy z zespołem specjalistów, muzealników, historyków, scenografów i nigdy żaden polityk nie próbował mi czegośkolwiek sugerować, jeśli chodzi o treść muzeum. Politycy powołują instytucje, finansują je, uznając za ważne dla państwa, narodu, świadomości historycznej czy nawet bieżącej polityki. Bo nie ma co ukrywać, że do pewnego stopnia nasze muzeum miało też być odpowiedzią na Widomy Znak, czyli muzeum „wypędzonych” tworzone w Berlinie. Ale musi istnieć fundamentalny rozdział pomiędzy historykami a politykami polegający m.in. na tym, że politycy nie mogą ingerować w treść wystaw historycznych, książek. Minister kultury ma prawo poddawać naszą pracę recenzji, niemniej oceny powinno dokonywać grono wybitnych historyków czy muzealników, specjalistów.

**Jak funkcjonuje muzeum bez siedziby?**

Kilka poprzednich lat to m.in. ogromna praca nad projektem wystawy głównej, który jest już prawie gotowy. W tej chwili pracujemy jeszcze nad filmami i prezentacjami multimedialnymi, które będą jej częścią. Poza tym regularnie przygotowujemy wystawy, m.in. stałą, plenerową na Westerplatte otwartą 1 września 2009 roku, podczas obchodów rocznicy wybuchu II wojny światowej. W zeszłym roku zaprezentowaliśmy podczas Zjazdu Historyków w Szczecinie wystawę o losach ludności cywilnej w 1939 roku. W tym roku 6 maja otworzymy w Gdańsku wystawę „45. Koniec wojny w 45 eksponatach”. Organizujemy też konferencje naukowe (m.in. w lutym wraz z IPN poświęconą konferencji jałtańskiej); wydajemy książki – do tej pory już kilkadziesiąt, prowadzimy działania edukacyjne: zwiedzanie Westerplatte, wykłady otwarte, pokazy filmowe, współpracujemy z grupami rekonstrukcyjnymi. Podobnie od lat działa Muzeum Historii Polski, a jeszcze do niedawna także Muzeum Historii Żydów Polskich. Ogromnie czasochłonne i najważniejsze dla powodzenia całego przedsięwzięcia jest prowadzenie samej budowy, przetargów, negocjacje z wykonawcami, co nie jest w ogóle widoczne z zewnątrz.

**Na kiedy zaplanowano otwarcie muzeum?**

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to powinno nastąpić jesienią 2016 roku. To gigantyczna budowa, niemal jak budowa metra. Wymagająca różnego rodzaju zezwoleń, odbiorów – zawsze coś nieprzewidzianego może się wydarzyć. ❀

# Sowiecka grypa po niemieckiej cholerozie

Marcin Zaremba

**Spór o obecność Armii Czerwonej na ziemiach polskich – wyzwolenie lub nowa okupacja – ma swój kontekst polityczny. Nie sądzę, żeby w najbliższym czasie dało się wypracować jakąś płaszczyznę porozumienia. Jedyne, co można sensownie zrobić, to spróbować opisać, jak Polacy postrzegali sytuację w roku 1944 i 1945.**

**P**ytanie o to, czy sytuację na ziemiach polskich z przełomu lat 1944 i 1945 można nazwać wyzwoleniem, brzmi trochę jak rozmowa w pokoju nauczycielskim w *Ferdydurke* Witolda Gombrowicza: „Staniało? Chyba podrożać!”. W uproszczeniu: ci, którzy uważają, że mieliśmy do czynienia z nową okupacją, są zwolennikami prawicy, o wyzwoleniu mówią zwolennicy lewicy lub osoby o przekonaniach centrowo-liberalnych. Dlatego też nie sądzę, żeby ten spór mógł kiedykolwiek zostać rozstrzygnięty, ani żeby miał naukową zasadność. Po prostu coś nazywamy jakimś słowem dzisiaj, ale w 1944, 1945 roku mogło ono zupełnie co innego znaczyć, a całe wydarzenie mogło być zupełnie inaczej odbierane przez różne grupy społeczne. W związku z tym chciałbym uciec od argumentów ideologicznych czy politycznych. Odsuwam od siebie ten spór i spróbuję ocenić *sine ira et studio*, jak Polacy widzieli to w roku 1944 i 1945. ▶

▶ Sierp i młot pokonały swastykę: żołnierz sowiecki wiesza flagę ZSRR na budynku Reichstagu, Berlin, maj 1945 roku



## Między Wilnem a Poznaniem

Wyzwolenie – czy też wyparcie Niemców z terenów przedwojennej Polski – zaczęło się w lipcu, po ofensywie z czerwca 1944 roku. W lipcu wolne od Niemców były już Wilno, Lublin, Lwów i duża część prawej strony Wisły. W lutym 1945 roku prawie cały teren II Rzeczypospolitej był już wyzwolony.

Zaistniałą sytuację inaczej widzieli mieszkańcy Krakowa, a tym bardziej Wielkopolski czy Pomorza, inaczej – mieszkańcy Kresów Wschodnich. Ci pierwsi bowiem w 1939 i 1940 roku nie mieli żadnych doświadczeń z Armią Czerwoną, za to bardzo świeża była u nich pamięć o okrucieństwach Niemców. Na przykład o spaleniu więźniów w Radogoszczu, którego dopuścili się Niemcy uciekający z Łodzi. Polacy mieszkający w tym mieście włączonym do Rzeszy byli obywatelami drugiej kategorii. I dla nich wejście Armii Czerwonej było prawdziwym wyzwoleniem. Ich radość, łyż, szczęście – były autentyczne. Podobnie było w niektórych innych regionach Polski, przede wszystkim tam, gdzie poziom represji ukraińskich, litewskich czy niemiecko-ukraińskich był najwyższy. Polacy, inaczej niż Niemcy, nie uciekali przed Armią Czerwoną. Nie było ewakuacji, choć Niemcy namawiali do niej mieszkańców Grodna, Krakowa czy Poznania. W tych pierwszych miesiącach ludzie bez szemrania udzielali noclegów oficerom radzieckim. W związku z tym możemy powiedzieć, że przez dużą część społeczeństwa polskiego wejście Armii Czerwonej było odbierane jako wyzwolenie.

Była jednak i taka część, która żyła w niepewności: co to będzie, jak przyjdą ci Sowietci? Jakaś część żyła lękiem przed tym, co się może wydarzyć. Ten lęk był silniejszy na ziemiach wschodnich, których mieszkańcy mieli doświadczenie wywózek z 1940 roku. Im dalej na zachód – tym był on mniejszy.

Poziom strachu zależał również od pozycji społecznej zajmowanej przed wojną. Osoby takie, jak dyrektorzy przedsiębiorstw, ziemianie, przedstawiciele elit finansowych, być może także politycznych – na pewno odczuwały strach, przeczuwając, że może dojść do reformy rolnej czy nacjonalizacji przedsiębiorstw. Poczucie niepewności niekoniecznie musiało natomiast rosnąć wraz z wykształceniem. Pamiętajmy bowiem, że część przedwojennych elit była zniechęcona do sanacji. Poza tym – jak opisuje Czesław Miłosz

w *Zniewolonym umyśle* – część Polaków, co pokazuje np. postawa Tadeusza Borowskiego, po doświadczeniach Majdanka czy Auschwitz, uważała, że już nic gorszego nie może się wydarzyć.

Niektórzy zapewne myśleli tak:



► Mieszkańcy Krakowa odebrali wejście Sowietów jako wyzwolenie od Niemców; nastroje na Kresach były inne

od niemieckiej „cholery” lepsza jest sowiecka „grypa”. I takie były, jak sądzę, dominujące nastroje: mieszanina radości z wyzwolenia i lęku – to rosnącego, to malejącego. Oczywiście, inne, bardziej krytyczne, było spojrzenie ludzi świadomych politycznie, mających wiedzę i kompetencje, działających w strukturach podziemia. Ale ile było takich osób? Jeden procent? Cała reszta była zawieszona między radością (słabszą czy silniejszą) a lękiem (mniejszym czy większym), niemniej cieszyła się z tego, że ta okupacyjna noc, jak się wtedy mówiło, już się skończyła.

### Głodny przednówek

Jednak już po kilku miesiącach to uczucie radości zniknęło. Czytelną oznaką jej słabnięcia był brak silniejszego entuzjazmu związanego z zakończeniem wojny w maju 1945 roku. Nie było całowania się na ulicach jak w Nowym Jorku. Nie było tańców jak w Paryżu. Owszem, organizowano tu i ówdzie potańcówki, ale nie było to spontaniczne, powszechne

wychodzenie na ulice miast. Wiązało się to przede wszystkim z pierwszymi pięcioma miesiącami (jeśli liczyć od stycznia; w przypadku Lublina – od lipca) pobytu Armii Czerwonej na ziemiach polskich. Nowy reżim już w październiku 1944 roku bardzo mocno przykręcił śrubę (mówi się o tzw. zwrocie październikowym) – doszło do masowych aresztowań, w niektórych miastach także łapanek.

Później pojawił się chaos wyzwolenia. Polacy marzyli o tym, że jak się skończy wojna, to dadzą swoim dzieciom bułkę z masłem. Białe pieczywo z masłem – niewielkie oczekiwania. A tymczasem – głód na przednówku. Kwatermistrzostwa Armii Czerwonej rozdawały wprawdzie żywność, ale głównie w dużych miastach. No i – nie oszukujmy się – ich bardziej interesowało zaopatrzenie żołnierzy maszerujących na Berlin niż żywienie ludności polskiej. Do tego doszła jeszcze w styczniu 1945 roku wymiana pieniędzy obowiązujących w Generalnym Gubernatorstwie, co poskutkowało tym, że przez kilka miesięcy ludzie nie mieli czym płacić. Jedna dorosła osoba (bez względu na to, czy bezdzietna, czy mająca dzieci) mogła bowiem wymienić maksymalnie równowartość pięciuset złotych. A tyle kosztował jeden dolar! Ludzie mieszkający w małych





Fot. PAP/CAF

► Radość z wyparcia Niemców zwłaszcza na początku była silniejsza od strachu przed nowym porządkiem

miejscowościach zresztą nawet i takiej kwoty często nie byli w stanie wymienić, bo nie jest łatwo dojechać w zimie do większego miasta do banku, zwłaszcza jeśli przechodzi front. To z tego m.in. wynikały poszukiwania złota w Treblince – ludzie po prostu nie mieli za co żyć. Pauperyzacja narastała.

Nową władzę postrzegano jako słabą, niemającą legitymacji. Gdy w maju, czerwcu 1945 roku toczyły się w Moskwie rozmowy w sprawie powołania Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, nastąpiło w zasadzie zawieszenie: nikt nie zakładał, że władza, która reprezentuje Polskę, będzie tą ostateczną. Dominowało zdecydowane poczucie tymczasowości.

Kolejny problem maja i czerwca 1945 roku to fala najróżniejszego typu przemocy ze strony żołnierzy Armii Czerwonej. O ile w 1944 roku byli oni jeszcze dość zdyscyplinowani, o tyle wiosną 1945 roku nastąpiło zupełne rozprzężenie. Liczba gwałtów, kradzieży, napadów na pociągi, innego rodzaju aktów przemocy była w tym czasie największa. One były tak makabryczne, że aż trudno je opisywać. Nikt nie wie, ile osób zginęło przejechanych przez pijanych kierowców, nierzadko złośliwie. W związku z tym, jeśli jakaś część Polaków w styczniu i lutym 1945 roku cieszyła się i myślała o tym, że nastąpiło wyzwolenie, to pięć miesięcy później wcale nie musiała tak uważać. Mówili: my chcemy kogoś innego, nie chcemy tych radzieckich, tych sowieckich, tych lubelskich, tylko chcemy naszych z Londynu.

### Nadzieja na stabilizację

Latem i wczesną jesienią 1945 roku, kiedy powrócił z emigracji Stanisław Mikołajczyk, pojawiła się nadzieja, że może sprawy pójść w dobrą stronę. Wtedy większość Polaków bez

wątpienia miała poczucie, że jednak doszło do wyzwolenia – bo nie strzelają na ulicach jak za okupacji niemieckiej, bo nie ma łapanek, bo otwierają teatry, bo dzieci poszły do szkoły, w której uczą się po polsku. W sylwestra 1945/1946 roku ludzie urządzali zabawy. Oprócz tego latem i jesienią 1945 roku na krótko poprawiło się zaopatrzenie. Od tego momentu zdecydowana większość Polaków w kraju i tych wywiezionych na roboty do Niemiec uznawała, że sytuacja jest w miarę stabilna. Duża część tych drugich postanowiła wracać.

Później przekonanie o tym, że w 1944 i 1945 roku doszło do wyzwolenia, będzie ewoluowało. Po ogłoszeniu kolektywizacji w połowie 1948 roku znaczna część mieszkańców wsi uważała, że znowu przysła „cholera”. Że sprawdziło się to, czym straszyla propaganda niemiecka, mówiąc o tym, co się będzie działo po wkroczeniu Armii Czerwonej. Powszechnie wiadano o torturach, które stały się synonimem NKWD, a potem UB. Symbolem polskiego strachu w tym czasie było słowo „Syberia”. Z drugiej strony, takie wydarzenia jak proces Szesnastu były czymś, co nie dotyczyło bezpośrednio ogółu Polaków. Nie było permanentnego poczucia zagrożenia. Częściej problemy wyglądały tak, że przyszedł Sowiec, ukradł krowę, zgwałcił córkę, która jechała rowerem, i jeszcze zabrał ten rower. Albo przyjechali pijani Rosjanie, wdarli się do pociągu – takie były najczęstsze doświadczenia Polaków w tym czasie. Poczucie, że w Polsce stacjonują „Ruscy”, było powszechne do 1956 roku. Zniknęło po dojściu Gomułki do władzy, bo wtedy już w zasadzie nie było ich widać na ulicach, poza Legnicą. Inaczej było np. w NRD, gdzie Sowieców można było spotkać na każdym kroku.

## Inni mieli gorzej

Nie ma sporu co do tego, czy lepiej by było, gdyby to nie Armia Czerwona wyzwalała ziemie polskie spod okupacji niemieckiej. Każdy przytomny człowiek przyzna, że byłoby lepiej, żeby po wojnie wrócił rząd londyński, odbyły się normalne, uczciwe wybory, a Polska była krajem demokratycznym. Warto jednak sobie zadać pytanie, czy komunizm w Polsce był inny niż w pozostałych demokracjach i samym Związku Radzieckim, a jeśli tak, to dlaczego. Odpowiedzi jest bardzo wiele: można wskazać rolę Kościoła, polskich chłopów, doświadczenia z okresu zaborów, słabe poparcie dla komunistów przed wojną. Nie jest również wykluczona odpowiedź, że to sami polscy komuniści byli trochę inni niż u sąsiadów. A może różnica w powojennych realiach wynika z tego, że Polska od początku była w obozie aliantów? Przecież w Rumunii czy na Węgrzech po wojnie przeprowadzono bardzo surowe czystki. W Rumunii np. z uniwersytetów zwolniono wszystkich. W Polsce tak się nie stało. Chociaż zatem bez wątpienia lepiej by było, gdyby to nie Armia Czerwona wypierała Niemców z Polski, to możemy stwierdzić, że w innych krajach skutki jej obecności były gorsze niż u nas. 🇵🇱

dr hab. Marcin Zaremba – historyk, pracownik Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk i Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, zajmuje się historią społeczną PRL, autor m.in. książki *Wielka Trwoga. Polska 1944–1947. Ludowa reakcja na kryzys* (2012)

Wysłuchała Karolina Wichowska

# „Wyzwolenie” gorsze niż potop

Piotr Gontarczyk

Rozważania na temat tego, czy rok 1945 przyniósł Polsce wyzwolenie, należy zacząć od określenia, o której Polsce mówimy. Jeśli o tej w granicach z 1939 roku, to dla ludności mieszkającej na Kresach nie ma mowy o jakimkolwiek wyzwoleniu. Bo jeśli „wyzwoliciele” od razu, z automatu przywłaszczają sobie znaczącą część kraju – to cóż to za wyzwolenie? I na tym można by zakończyć dyskusję. Po wojnie miała jednak powstać Polska z granicami wyrysowanymi w Jałcie i to ją spod okupacji niemieckiej wyzwalała czerwonoarmiści i żołnierze Berlinga. ➤



**O**braz pierwszych dni po przejściu frontu fałszuje dyskusję na temat tego, czy było to wyzwolenie, czy nowa okupacja. Nie wszyscy jeszcze wiedzieli, co ich czeka i na czym polega ten system. Wiele osób cieszyło się z odejścia hitlerowców, odetchnęło po kilku latach aresztowań, wywózek na roboty do Niemiec i do obozów, rozstrzeliwań na ulicach. Zmiana idąca wraz z frontem była oczekiwana – wydawało się, że cokolwiek przyjdzie, będzie lepsze. I pod wieloma względami rzeczywiście tak było. Kiedy przyszli Sowieci, nastąpił pewien spokój: nikt nie prześladował już tylko za to, że jest się Polakiem, nie groziła łapanka i egzekucja na ulicy. Oczywiście, pojawiło się maruderstwo i wynikające z niego problemy, których nie było w czasie okupacji niemieckiej – tu różnica była cywilizacyjna: żołnierz niemiecki na ulicy na ogół był grzecznym człowiekiem ze szczoteczka do zębów w kieszeni, a nie brudnym, pijanym obdartusem w łapciach, kufajce, zdolnym w każdej chwili rozbić butelką głowę lub zastrzelić, zgwałcić kobietę czy dziecko.

Powitań wkraczającej Armii Czerwonej, które znamy z licznych peerelowskich obrazów propagandowych, nie było. Na ziemiach, które do 1941 roku znajdowały się pod okupacją sowiecką, np. na Podlasiu, doskonale wiadomo, czym jest Armia Czerwona, i tam ludzie nie mieli żadnych złudzeń co do możliwości odzyskania niepodległości, a podziemie niemal automatycznie przeszło do konspirowania wobec kolejnej okupacji. Na wschodzie była po prostu inna percepcja: najpierw się pojawił okupant sowiecki – mordował, wywoził, potem uciekł, a po jego wyjeździe wyciągano trupy z więzień. Przegońli go Niemcy, którzy wyzwolili od masowych aresztowań i mordów. Oczywiście represje niemieckie z czasem zweryfikowały tę opinię, ale u wielu doświadczenia osobiste miały bardzo różnorodne kształty. Nie dziwi więc postawa komendanta białostockiego okręgu Armii Krajowej Obywatelskiej, płk. Władysława Liniarskiego „Mścislawa”, która spowodowała, że zaczęto zbierać broń, a podziemie po przejściu frontu było niemal tak samo liczne, jak za okupacji niemieckiej (kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy). Podobnie było w Łomżyńskim czy na północnym Mazowszu. Partyzantka działała też w innych częściach kraju. Wystąpienia te pod każdym względem zdecydowanie przewyższają skalę działań np. w czasie Powstania Styczniowego. Nie było wyjścia: trzeba było stawiać opór i Sowiecom, i represjom aparatu przymusu organizowanego przez polskich komunistów.

Na innych ziemiach polskich od pierwszych dni też było jasne, że Polski to tu raczej nie będzie. Na Lubelszczyźnie, gdzie AK wzięła udział w akcji „Burza”, po zakończeniu wspólnych działań przeciwko Niemcom polskie oddziały (niektóre z nich samodzielnie wyzwalały miasteczka przed wkroczeniem Armii Czerwonej) były przez Sowieców otaczane i „unieszkodliwiane”. Kadre oficerską najczęściej aresztowano i wywożono,



► Sowiecki patrol, polskie flagi: wyzwolenie? Lublin, 1 lipca 1944 roku



a żołnierzy albo wcielano do tzw. ludowego Wojska Polskiego, albo deportowano w głąb Związku Sowieckiego. Przedstawiciele polskich władz ujawniających się przed Sowietami również usuwano i na ich miejscu instalowano ludzi z PKWN. Trwały aresztowania polskich konspiratorów. Dość charakterystyczne jest to, że jeden z obozów przejściowych dla żołnierzy AK (przed wywiezieniem) zlokalizowano na terenie byłego hitlerowskiego obozu na Majdanku.

Ale trzeba pamiętać, że zasięg Polskiego Państwa Podziemnego to było kilkanaście procent obywateli, którzy go słuchali, co jest bardzo dużym osiągnięciem. 70–80 proc. zachowywało bierność. Dla tej większości było to wyzwolenie, przynajmniej wtedy. Dla przeciętnego człowieka groźba zamknięcia w obozie, tego, że może jutro zginąć – znikła. Można było mieć poczucie, że w momencie wejścia Sowietów wojna się skończyła.

Specyficzna sytuacja była na ziemiach zachodnich, wcielonych do Rzeszy. Konspiracja i skłonności insurekcyjne były tu dużo słabsze. Istotny był także tradycyjny legalizm: walka o polskość z Prusakami odbywała się tam wcześniej na podstawie paragrafów, przez pracę organiczną, a nie karabinem. Poza tym reżim był ostrzejszy niż w Generalnym Gubernatorstwie – Polacy w sensie prawnym byli mieszkańcami niższej kategorii, podludźmi. I dlatego przyjęcie tej nowej Polski, swobód obywatelskich, było powrotem do normalności.

Lepiej też przyjmowano Sowietów tam, gdzie nie było silnej partyzantki – ludzie niezaangażowani w konspirację nie widzieli aresztowań całych oddziałów AK, wywożenia dużej liczby osób współpracujących z podziemiem.

Bardzo szybko umysł ludzi zdominował strach o życie i mienie. Strach przed sowiecką dziczą. Szczególnie ciężko doświadczane były ziemie zachodnie, które wcielono do Rzeszy w 1939 roku, a które wielu Sowietów traktowało po prostu jak Niemcy. Morderstwa, rabunki, a szczególnie gwałty – były zjawiskiem masowym. W głąb Sowietów do pracy niewolniczej (np. do kopalń w Donbasie) wywieziono kilkadziesiąt tysięcy Polaków, głównie ze Śląska.

Oddzielną kwestią jest skala systematycznego rabunku prowadzonego przez Armię Czerwoną zarówno na przedwojennych ziemiach polskich, jak i na Ziemiach Odzyskanych. Rabowano wszystko, co się dało: maszyny, urządzenia, całe fabryki, tabor kolejowy; Ziemie Zachodnie czyszczono nie tylko o dzieła sztuki, wszelkich zapasów materiałów i żywności, inwentarza, ale nawet ze słupów telegraficznych, wyposażenia szpitali i torów kolejowych. Czego się nie dało zabrać, dewastowano. Na razie historycy nie dokonali bilansu, co dla wielu miejsc w kraju było bardziej wyniszczające: sześć lat wojny czy powojenny rabunek. Można jednak wskazać wiele zakładów czy gałęzi produkcji, w których gorsze było to drugie.

### Władza przestępcza

Już władza z lat 1944–1945 była w bardzo powszechnym odczuciu społecznym obca, mająca niewiele wspólnego z obywatelami, bezwzględna i zdemoralizowana. Prócz terroru,



► Władza ludowa przyniesiona na sowieckich bagnietach; żołnierz Armii Czerwonej przed siedzibą PKWN, Lublin, 27 kwietnia 1945 roku

aresztowań i publicznego języka pogardy dla „polskiej reakcji” i „faszystowskiej AK”, które były ważną częścią doświadczenia Polaków, trwały aresztowania, represje, rabunek. „Za Polski” ludzie tracili dobytek tak samo, jak za niemieckiej okupacji.

Po przejściu frontu musiały powstać jakieś struktury administracyjne, jakiś aparat władzy. Na początku, pod nieobecność elementu komunistycznego, w wielu miejscowościach władze były tworzone przez lokalne samoobrony, ludzi z konspiracji. Kiedy jednak lokalne elity zostały aresztowane albo nie chciały współpracować z komunistami, władza ludowa wzywała do siebie chłopów, robotników, bezrolnych. Dla wielu to była szansa na polepszenie bytu. Ale do władzy ludzie z nizin społecznych szli ze swoimi obyczajami, wyobrażeniami i poziomem intelektualnym. Stąd też od początku władza, która i tak była z dala od społeczeństwa, nie cieszyła się autorytetem, była traktowana jako obca. Jak można było brać ją serio, jeśli burmistrz czy starosta leżał pijany w rynsztoku? Skutki tego widać było przez cały okres PRL aż do dzisiaj. Wiele ważnych funkcji w milicji i UB zajmowali ludzie z partyzantki komunistycznej, z grup przestępczych, np. pewien partyzant z Armii Ludowej, który został oficerem milicji w Poznaniu – opisywany jako „działacz ►

komunistyczny”, w rzeczywistości przed wojną miał cztery wyroki za napady z bronią w ręku, paserstwo i włamania. Inny z dwudziestu lat II RP szesnaście spędził w więzieniu, a po wojnie został starostą powiatowym.

Trwały aresztowania i represje. Dlatego w formie mniej lub bardziej zorganizowanej przeciwko reprezentantom sił, które rzekomo przyniosły wyzwolenie, zaczął się rodzić opór. Przez cały okres swojego działania przytłaczająca część oddziałów partyzanckich (do lat pięćdziesiątych) cieszyła się bez porównania większym szacunkiem niż „tamci”, czyli oficjalna władza traktowana jako obca. Polska była w lesie. W czasie pacyfikacji Białostocczyzny w latach pięćdziesiątych grupy operacyjne MBP rabowały i dewastowały całe gospodarstwa, a właściciele rozstrzeliwali pod chałupami tak samo jak w czasie okupacji niemieckiej. Powojenna milicja nagminnie terroryzowała ludzi i po prostu kradła, jeszcze gorzej zachowywali się funkcjonariusze UB i żołnierze ludowego wojska. Pijaństwo i brutalność ze strony aparatu „polskiej władzy”, jego złodziejstwo i wyludzanie haraczy, były wyjątkowo odpychające i dość szokujące w porównaniu z przedwojennym etosem ludzi w policyjnych czy wojskowych mundurach. W niektórych miasteczkach na Mazowszu czy Rzeszowszczyźnie powstawały stráže obywatelskie i posterunki ostrzegawcze, które podnosiły alarm w wypadku pojawienia się w okolicy jednostek WP i KBW, żeby ludzie pochowali dobytek, a młodzi uciekli do lasu. W prasie pisano o wyrokach śmierci, usiłowano robić publiczne procesy, na rynkach miast dokonano co najmniej kilku publicznych egzekucji schwytanych polskich żołnierzy, na które spędzano miejscową ludność, także szkolną działwę. Szybko jednak tego procederu zaniechano, z lokalnych struktur partyjno-państwowych zaczęły bowiem docierać do Warszawy sygnały, że takie działania spotykają się ze zdecydowaną wrogą postawą polskiego społeczeństwa, które jednoznacznie staje po stronie publicznie wieszanych „ludzi z lasu”, a nie po stronie władz. Trudno uznać za wyzwolony kraj, w którym cały czas toczą się walki o wolność (czasem już tylko godność), gdzie rządzi się brutalną siłą, patrioci zapełniają więzienia, a na ulicach dokonuje się ich egzekucji. Nie było żadnego wyzwolenia. Zmieniła się sytuacja: z jednego zniewolenia – niemieckiego – na drugie, komunistyczne.

### Antycywilizacja

Wydaje się jednak, że dla oceny, czy w latach 1944–1945 miało miejsce wyzwolenie Polski, potrzebna jest zdecydowanie dłuższa perspektywa. Tu trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie nie tylko o to, co się działo przez kilka tygodni, miesięcy, tylko – co się stało w kolejnych latach i czym była w ogóle PRL. Jest bowiem oczywiste, że lata tużpowojenne były dla komunistów okresem przejściowym. Posługiwano się patriotycznym sztafżem, odwoływano się do czegoś w rodzaju legalizmu (mówiono o obowiązywaniu polskiej konstytucji z 1921 roku), opowiadano o niepodległości i demokracji. To wszystko było czasową mistyfikacją narzuconą przez Stalina.

Kremlowski satrapa zdawał sobie sprawę z tego, że Polacy

są narodem nastawionym antykomunistycznie, mają religijny, patriotyczny, niepodległościowy światopogląd. Komunizacja Polski nie mogła się zatem odbyć pod czerwonymi sztandarami – już raz zresztą nie wyszło. *Modus operandi* Stalina od 1941 roku opierał się na pochodzącej z lat dwudziestych koncepcji dwuetapowej rewolucji: na początku zostaną patriotyczne symbole, niepodległościowa fasada i ogólnolewicowa frazeologia, a potem, jak już się władza „lewicy” utrwali, będzie dysponowała odpowiednią siłą (wojskiem, bezpieczeńką i aparatem partyjno-państwowym), nastąpi druga faza komunistycznej już rewolucji. W historiografii sowieckiej i rosyjskiej (a czasami i polskiej) pojawia się twierdzenie, że system z lat 1944–1948, z orzełkami i biało-czerwoną flagą, pewną dozą demokracji,



Fot. East News/AKG Images

miał pozostać, ale wskutek pogorszenia się sytuacji międzynarodowej w latach 1947–1948 i konieczności konsolidowania obozu komunistycznego, zaczęło się zaostrzenie polityki. To nieprawda. Komuniści, którym w 1941 roku Stalin nakazał założyć Polską Partię Robotniczą – bez przymiotnika „komunistyczna” – przyjmowali to wręcz z niedowierzaniem. Ale jednak o kontestowaniu poleceń nie mogło być mowy i „nowe” przyszło tak, jak przyszło: w polskim mundurze (choć z dziwnymi orzełkami) i biało-czerwonymi flagami. Część elit zdawała sobie sprawę z tego, że to przebierańcy, mistyfikacja, lecz dla chłopca czy robotnika to był po prostu polski mundur. Atrakcyjne wydawały się też pierwsze reformy, choćby rolne. Matematyka była prosta: traciła rodzina ziemiańska, kilka, kilkanaście

osób, a beneficjentami (tymi, którzy działki dostali) było kilkadziesiąt, kilkaset osób. Niewątpliwie komuniści traktowali to jako rozwiązanie czasowe (planowali odebrać ziemię z powrotem i ją kolektywizować), ale wbrew ich intencjom okazało się ono trwałe. Skutki tej reformy były katastrofalne. Niszczono duże, wyspecjalizowane gospodarstwa towarowe, a funkcjonowanie nowych gospodarstw (brak wszystkiego: od nasion, przez nawozy do maszyn rolniczych) przez wiele następnych lat odbywało się poza regułami ekonomii. Były też straty dużo ważniejsze: niszczone ziemianstwo (nośnik kultury i tradycji narodowej). Na degradację była skazana także pokaźna część kultury materialnej Polski – w tym przede wszystkim dawnych siedzib ziemianstwa, które (pozbawione naturalnego gospodarczego i oderwane od ziemi zapewniającego finansowanie) nieuchronnie upadały. Demolując tak istotną część polskiej kultury, „nowa Polska” jednym ruchem robiła to, na co nigdy się nie zdobyły po powstaniach narodowych władze carskie.

Także nacjonalizacja przemysłu, handlu i drobnej wytwórczości spowodowały bezpowrotne straty. Tu również – na skutek zastąpienia własności prywatnej przez nadzór państwowo-administracyjny – zostały zerwane naturalny rozwój, normalny rachunek ekonomiczny, a niekiedy sprawa tak istotna (choć niedoceniana), jak tradycja i ciągłość pokoleń.

Niezwykle ważne było też widoczne od 1944 roku – przeprowadzane metodami administracyjnymi i siłowymi – odwracanie drabiny społecznej. Od setek lat było tak, że to ludzie z elit trafiali na wysokie stanowiska państwowe i odgrywali najważniejsze role w państwie. Ten problem ma wiele detali i odcieni, takich chociażby, jak szlachta zagrodowa z Podlasia i Mazowsza, która przez stulecia dawała rzesze dzielnych obywateli dla wojska i drobnych urzędów, odegrała wielką rolę w powstaniach narodowych. Od początku „nowej Polski” część grup społecznych była represjonowana i masowo pozbawiana niektórych praw obywatelskich (jak np. mieszczaństwo Krakowa możliwości głosowania w wyborach w 1947 roku). Po 1948 roku spadła ona na sam dół drabiny społecznej, zwalczana jako „reakcja” i „kułactwo” przez szykany polityczne i ekonomiczne. Można opowiedzieć jeśli nie tysiące, to setki historii o tym, co Polska miała najlepszego i najcenniejszego, a co w wymiarze materialnym i duchowym stracono po „wyzwoleniu” w 1945 roku – o majątkach, szkołach, organizacjach społecznych, bankach, instytucjach finansowych, nawet piekarniach czy cukierniach. Wszystkie one w sumie pozwalają traktować skutki nie wyzwolenia, ale zmiany jednej formy okupacji na drugą, w kategoriach cywilizacyjnych. Negatywne skutki w historii Polski można porównać bodaj tylko do potopu szwedzkiego. Tamte straty były chyba jednak mniej dotkliwe, zważywszy na to, że te wyrządzone przez PRL, tak w dobrach materialnych, jak i stosunkach własnościowych czy wartościach duchowych, są nieodwracalne. ■

dr Piotr Gontarczyk – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, zajmuje się m.in. historią Polskiej Partii Robotniczej, autor m.in. książki *Polska Partia Robotnicza: droga do władzy 1941–1944* (2003)

Wysłuchał Andrzej Brzozowski



# Odszedł Wódz Narodu

Mariusz Żuławnik

Osiemdziesiąt lat temu zmarł Józef Piłsudski – działacz socjalistyczny, więzień Magdeburga, twórca i dowódca I Brygady Legionów Polskich, jeden z głównych architektów II Rzeczypospolitej, wreszcie pogromca Sowietów w roku 1920. Trwające kilka dni uroczystości pogrzebowe stały się potężną manifestacją jego kultu. Były także jedną z największych tego typu uroczystości, jakie kiedykolwiek odbyły się nad Wisłą.

**S**erce Piłsudskiego przestało bić w niedzielę 12 maja 1935 roku o 20.45. Wieść o śmierci Pierwszego Marszałka Polski dotarła lotem błyskawicy nie tylko w najdalsze zakątki kraju, lecz także hen poza jego granice. Polska zamarła w bezruchu – przerywano widowiska i koncerty, zamykano restauracje, ludzie gromadzili się w kościołach, mając jeszcze nadzieję, że informacja podana przez Polskie Radio mija się z prawdą. Kiedy ostatecznie potwierdziło się to, że Piłsudski odszedł na wieki, ulice miast i witryny sklepowe powoli zaczęto przyozdabiać biało-czerwonymi flagami z kirem oraz portretami zmarłego przybrzanymi zielenią. W całym kraju wyczuwało się pełną napięcia atmosferę, którą potęgowały wydarzenia następujących dni.

## Śmiertelna diagnoza

Józef Piłsudski zmarł w Belwederze po ciężkiej chorobie. Informacje o złym stanie zdrowia Komendanta przedostały się do wiadomości publicznej 11 listopada 1934 roku. Tego dnia podczas świętowania na Polu Mokotowskim rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości Marszałek źle się poczuł i dalszą część defilady wojskowej był zmuszony przyjmować na krześle. Nazajutrz otoczono Piłsudskiego opieką lekarską, powołując pięciosobową komisję pod kierownictwem gen. dr. Stanisława Rouperta, szefa Wojskowej Służby Zdrowia. Mimo to stan Marszałka pogarszał się z tygodnia na tydzień. Był to niewątpliwie wynik źle postawionej diagnozy, konsylium

lekarskie orzekło bowiem, że zmagają się on z ciężką chorobą nerek. W Wielki Piątek, 19 kwietnia 1935 roku, Piłsudski doznał napadu silnego bólu w okolicy wątroby. Uświadomiło to lekarzom, że leczenie należy skierować na zupełnie inne tory. Postanowiono także w trybie pilnym sprowadzić z Wiednia znanego internistę, prof. Karela Wenckebacha. Po przebadaniu pacjenta profesor postawił diagnozę, która brzmiała niemal jak wyrok: złośliwy nowotwór żołądka z przerzutami do wątroby.

Słowa prof. Wenckebacha uświadomiły rodzinie i najbliższym współpracownikom Marszałka, że jego dni są już policzone. Świadom powagi sytuacji, Piłsudski do końca służył Polsce, przyjmując w Belwederze polityków krajowych i zagranicznych. Tuż przed śmiercią gościł u siebie ministra spraw zagranicznych Józefa Becka oraz gen. Edwarda Śmigłego-Rydza. 11 maja Komendant doznał silnego krwotoku żołądkowego, wielokrotnie tracił przytomność. Osłabiło to jego serce i w rezultacie przyczyniło się do zgonu. Ostatniego namaszczenia udzielił umierającemu ks. Władysław Korzyłowicz z Zakładu dla Ociemniałych w Laskach pod Warszawą. Piłsudski odszedł w otoczeniu najbliższych – żony Aleksandry oraz córek Jadwigi i Wandy.

## Orędzie do Narodu

Śmierć Józefa Piłsudskiego wymusiła szybkie zmiany na stanowiskach, które do ostatniej chwili swojego życia piastował Marszałek. Jeszcze tej samej nocy

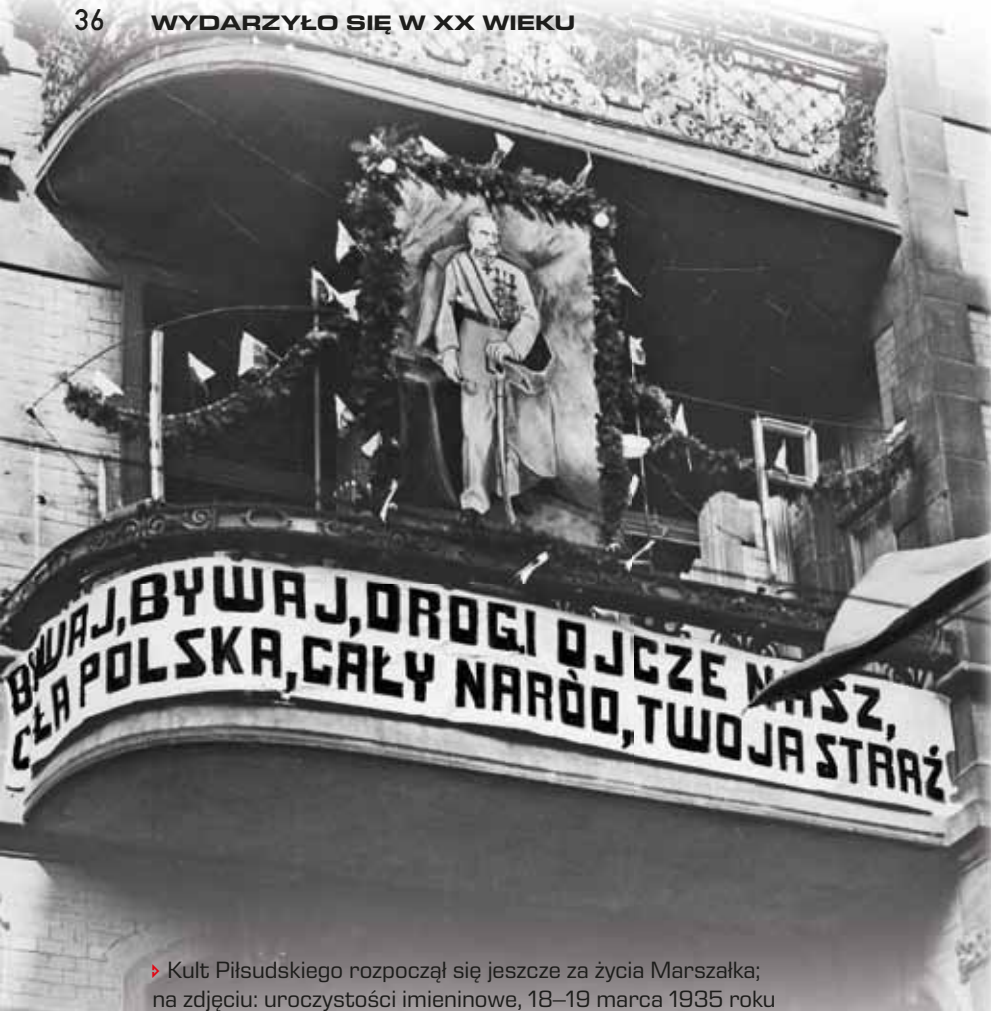




▶ Kondukt z warszawskiej katedry zgromadził tłumy na Krakowskim Przedmieściu; 17 maja 1935 roku

odbyło się specjalne posiedzenie Rady Gabinetowej z udziałem prezydenta RP Ignacego Mościckiego i premiera Walego Sławka, podczas którego na stanowisko generalnego inspektora sił zbrojnych powołano gen. Śmigłego-Rydza, a szefem Ministerstwa Spraw Wojskowych mianowano gen. Tadeusza Kasprzyckiego, dotychczasowego I wiceministra tegoż resortu. Tymczasem zwołana na nocne posiedzenie Rada Ministrów ogłosiła żałobę narodową – wszystkie flagi na budynkach państwowych opuszczono do połowy masztów, a armię i administrację państwową zobowiązano do sześciotygodniowej żałoby, podczas której wojskowi i urzędnicy mieli nosić na lewym przedramieniu czarne opaski. Po obu nadzwyczajnych posiedzeniach prezydent, premier, członkowie rządu oraz parlamentarzyści udali się do Belwederu, aby pochylić głowy przed zmarłym.

Zanim prezydent Ignacy Mościcki złożył hołd Piłsudskiemu, zdążył jeszcze wydać *Oreędzie do Narodu*, którą nazajutrz opublikowały niemal wszystkie gazety. Oto jej treść: „Do Obywateli Rzeczypospolitej! Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski życie zakończył. Wielkim trudem swego życia budował siłę w Narodzie, geniuszem umysłu, twardym wysiłkiem woli Państwo wskrzesił... Prowadził je ku odrodzeniu mocy własnej, ku wyzwoleniu sił, na których przyszłe losy Polski się oprą. Za ogrom jego pracy danym mu było oglądać Państwo nasze jako twór żywy, do życia zdolny, do życia przygotowany, a armię naszą – sławą zwycięskich sztandarów okrytą... Ten największy na przestrzeni całej naszej historii człowiek, z głębi dziejów minionych moc swego ducha czerpał i nadludzkiem wyężeniem myśli drogi przyszłe odgadywał. Nie siebie już tam widział, bo dawno odczuwał, że siły Jego fizyczne ostatnie posunięcia znaczą. Szukał i do samodzielnej pracy zaprawiał ludzi, na których ciężar odpowiedzialności z kolei miałby spocząć. Przekazał Narodowi dziedzictwo myśli, o honor i potęgę Państwa dbałej. Ten Jego testament nam żyjącym przekazany, przyjmując i udźwignąć mamy. Niech ▶



► Kult Piłsudskiego rozpoczął się jeszcze za życia Marszałka; na zdjęciu: uroczystości imieninowe, 18–19 marca 1935 roku

Fot. NAC

żałoba i ból pogłębia[ją] w nas zrozumienie naszej – całego Narodu – odpowiedzialności przed Jego Duchem i przed przyszłymi pokoleniami”.

### Serce i zaginiony mózg

Salę Belwederu, w której zmarł Marszałek, zamieniono na kaplicę żałobną. Jej dekorację zaprojektował prof. Wojciech Jastrzębowski, a wykonania podjęli się studenci Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Trumnę postawiono na katafalku przybranym w purpurowe sukno z godłem RP. Zwłoki Piłsudskiego były ubrane w mundur przepasany Wielką Wstęgą Orderu Virtuti Militari. Za trumną umieszczono trzy sztandary przybrane kirem – z czasów Powstania Listopadowego, Powstania Styczniowego oraz sztandar legionowy. Obok trumny postawiono kryształową urnę z sercem Marszałka, poniżej katafalku położono szarą czapkę maciejówkę, szablę i buławę marszałkowską. Wartę honorową zaciągnęło czterech oficerów, dwóch pod-

oficerów i dwóch szeregowych. Trumna z ciałem Piłsudskiego była wystawiona 13 i 14 maja. Przez cały ten czas do pałacu, przed którym wartę honorową wystawili żołnierze z 1. Pułku Szwolężerów im. Józefa Piłsudskiego, ciągnął sznur samochodów z różnymi osobistościami ze świata dyplomatycznego, które pochylały głowy przed trumną i wpisywały się do księgi kondolencyjnej.

Zanim jednak wystawiono ciało Piłsudskiego, mjr dr Wiktor Kaliciński i dr Józef Laskowski przeprowadzili sekcję zwłok. Przed mumifikacją wyjęli serce i mózg. Zgodnie z wolą zmarłego serce spoczęło – 12 maja 1936 roku – obok trumny matki na wileńskim cmentarzu na Rossie. Z kolei mózg zabezpieczono i przekazano prof. Maksymilianowi Rosemu, dyrektorowi Instytutu Badań Mózgu przy Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Przewieziony do jednej z pierwszych tego typu placówek w Europie mózg przechowywano w specjalnie przeznaczonym na ten cel budynku,

w którym profesor – wspólnie z kilkuosobowym zespołem asystentów – prowadził badania, mające wyjaśnić, na czym polegał geniusz Marszałka. Ich wstępne wyniki opublikowano w 1938 roku, kilka miesięcy po nagłej śmierci dyrektora instytutu. Monografia zatytułowana *Mózg Józefa Piłsudskiego* zawiera detaliczny opis mózgu – w językach polskim i francuskim – oraz tablice fotograficzne preparatów. W 1939 roku mózg Piłsudskiego zaginął i do dziś nie wiadomo, co się z nim stało – czy został zniszczony podczas działań wojennych, czy może trafił do Berlina lub Moskwy.

### Kondolencje od świata

Po tym, jak wieść o śmierci Piłsudskiego poszła w świat, na ręce prezydenta, premiera i rodziny zaczęły napływać kondolencje z zagranicy. Przesyłały je m.in. koronowane głowy Abisynii, Bułgarii, Holandii, Japonii, Rumunii, Szwecji, Włoch i Wielkiej Brytanii, a także prezydenci i premierzy Brazylii, Czechosłowacji, Estonii, Francji, Łotwy, Hiszpanii, Meksyku i Stanów Zjednoczonych. Ignacy Mościcki otrzymał także depesze kondolencyjne od Wielkiego Mistrza Zakonu Kawalerów Maltańskich i papieża Piusa XI, który zwrócił się do prezydenta następującymi słowami: „Bierzemy żywy udział w żałobie Pana Prezydenta i żałobie Polski, zawsze szczególnie drogiej naszemu sercu. Modlimy się o wieczny spoczynek duszy Nieodżałowanego Marszałka oraz modlimy się także o pokój i pomyślność dla Polski, której błogosławimy na ręce Jej Prezydenta”.

Pierwszy telegram kondolencyjny przesłał na ręce Mościckiego kanclerz III Rzeszy, Adolf Hitler. Wyraził w nim najszczerze współczucie z powodu śmierci „najwierniejszego syna Polski”, a także podkreślił, że Marszałek... „stworzył najcenniejszy współczynnik pokojowości w Europie”. O jego roli w zaprowadzeniu pokoju pisał także Karol Radek, doradca Józefa Stalina do spraw polityki międzynarodowej, w okolicznościowym artykule opublikowanym w „Izwestiach”: „Pakt o nieagresji nie

jest dla ZSSR wyłącznie dokumentem dyplomatycznym, lecz wyrazem głębokiego pragnienia, by żyć z Polską w pokoju. Naszą sprawą, nad mogiłą człowieka, którego jedyną namiętnością była myśl o niepodległości i wielkości Polski, tak jak On rozumiał, jest wyciągnięcie ręki do narodu polskiego i powiedzenie mu: nic nie grozi Polsce ze strony Związku Sowieckiego. Przyjaźń Polski i ZSSR może się stać kamieniem węgielnym pokoju w Europie”.

Słowa przywódcy hitlerowskich Niemiec i wysoko postawionego przedstawiciela Związku Sowieckiego mogą dziś budzić co najwyżej zdziwienie i niezrozumienie. Tak jak i to, że 18 maja 1935 roku Hitler wziął udział w uroczystej mszy w intencji Pierwszego Marszałka Polski, odprawionej w katedrze św. Jadwigi w Berlinie. Kanclerz siedział wówczas przy symbolicznej trumnie spowitej białą-czerwoną flagą z białym orłem.

### Bojkot żałoby

Mimo apeli władz państwowych i samorządowych, przeróżnych instytucji i związków (nie tylko tych pro-sanacyjnych), a także ludzi kultury i społeczników o zachowanie jedności narodowej w obliczu śmierci jednego ze wskrzesicieli niepodległej Polski, część duchowieństwa katolickiego i działaczy Narodowej Demokracji zbojkotowała uroczystości pogrzebowe. Biskup łomżyński Stanisław Łukomski np. zakazał księżom odprawiania nabożeństw w intencji zmarłego, a bp Kazimierz Michalkiewicz, metropolita wileński, sugerował, aby nie wygłaszać o nim kazań. Z kolei biskup kielecki Augustyn Łosiński nie wywiesił chorągwi żałobnych i nie pozwolił bić w dzwony. W odpowiedzi przedstawiciele Związ-

ku Legionistów i Związku Strzeleckiego wdarli się na dzwonnice katedralną, próbowali także sforsować drzwi pałacu biskupiego. I nie wiadomo, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie szybka interwencja policji. Postawy hierarchów katolickich wynikały z ich sympatii politycznych, które były bliższe największemu ugrupowaniu opozycyjnemu w kraju aniżeli obozowi sanacyjnemu.



Także „Gazeta Warszawska”, centralny organ prasowy endecji, zbojkotowała uroczystości żałobne. W przeciwieństwie do innych czołowych dzienników i czasopism opozycyjnych wobec obozu rządzącego – takich jak chociażby sygnowany przez Stronnicтво Ludowe „Zielony Sztandar” – nie zamieściła na swoich łamach *Oređzia do Narodu* wydanego przez prezydenta Mościckiego, a krótką informację o śmierci Marszałka ukryła wśród innych, mało istotnych wiadomości. W odpowiedzi Zarząd Główny Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism potępił stanowisko wydawcy pisma oraz postanowił wykreślić tytuł z listy członków związku. 14 maja władze państwowe skonfiskowały całą nakład dziennika. Do bojkotu pisma przyłączyła się także pewna część jego stałych czytelników, którzy na znak protestu postanowili zrezygnować z prenumeraty. W tej sytuacji RUCH wycofał się z kolportażu dziennika, co w rezultacie doprowadziło do jego chwilowego – jak się wkrótce okazało – zawieszenia (pismo wznowiono pod zmienionym tytułem).

### Ostatnia podróż

Eksportacja trumny z ciałem Józefa Piłsudskiego z Belwederu do katedry św. Jana Chrzciciela na Starym Mieście nastąpiła 15 maja w godzinach wieczornych. Trumna została ustawiona na lawecie armatniej zaprzężonej w sześć par koni. Na czele konduktu – który przeszedł Alejami Ujazdowskimi, Nowym Światem i Krakow- ▶

▶ Edward Śmigły-Rydz (z lewej) i Kazimierz Sosnkowski wnoszą trumnę do krypty św. Leonarda

skim Przedmieściem – kroczyli funkcjonariusze policji, żołnierze i duchowni z kard. Aleksandrem Kakowskim, za trumną rodzina, prezydent i premier, inspektor armii i generalicja, członkowie rządu i byli premierzy, korpus dyplomatyczny, mieszkańcy Warszawy i goście. Srebrną trumną według projektu prof. Jastrzębowski, z szybą w wieku, ustawiono w nawie głównej świątyni na pokrytym purpurą katafalku. Obok postawiono urnę z sercem Komendanta, a generalicja, oficerowie wszystkich szarż i podoficerowie zaciągnęli wartę honorową. Nad trumną zawisła olbrzymich rozmiarów korona z orłów zwieńczona srebrnym krzyżem, z której spływały długie, biało-czerwone flagi.

Trumna była wystawiona na widok publiczny do piątkowego poranka. 17 maja odprawiono dwie msze żałobne – pierwszą celebrował biskup polowy Józef Gawlina, drugą kard. Kakowski. Po nabożeństwach uformował się kondukt, który przemaszerował ulicami stolicy na Pole Mokotowskie, gdzie odbyła się największa po 1918 roku defilada wojskowa. Trumnę ze zwłokami Piłsudskiego postawiono w miejscu trybuny, z której Marszałek zwykł przyjmować defilady. W prowadzonej przez gen. Gustawa Orlicz-Dreszera rewii wojskowej wzięły udział wszystkie rodzaje

broni. Po jej zakończeniu oddano jeszcze 101 strzałów armatnich, po czym kilku generałów przeniosło trumnę na platformę kolejową stojącą na specjalnie doprowadzonym torze. Następnie kilkudziesięciu generałów przeciągnęło platformę – za pomocą sznurów – do specjalnego wagonu-kaplicy, który razem z wagonem przeznaczonym dla rodziny zmarłego wyruszył przez Radom i Kielce do Krakowa. Przed pociągiem żałobnym podążał pociąg pancerny „Piłsudczyk”, za nimi jechało sześć pociągów z eskortą wojskową. Podróż do dawnej stolicy Polski trwała całą noc.

### Ażeby królom był równy

Znany publicysta Stanisław Cat-Mackiewicz tak wspominał po latach krakowskie uroczystości pogrzebowe Józefa Piłsudskiego, które rozpoczęły się 18 maja o 8.30: „Ranek dnia pogrzebu na Wawelu. Koło dworca krakowskiego, na małym niechlujnym placu przed niepozornym dworcem krakowskim, rozwijał się pochód. Szli przedstawiciele wszystkich krajów, byli obecni specjaliści wysłannicy Jego Brytyjskiej Mości w czerwonych mundurach, był [byli i późniejszy] francuski premier [Pierre] Laval, był wyorderowany [Hermann] Göring, mnóstwo mundurów, orderów i gali, potem szło duchowieństwo w liturgicznych szatach, za

długim orszakiem prawie wszystkich arcybiskupów i biskupów Polski, szli także biskupi obrządku unickiego. Obok pastorałów – posochy unickie, obok łacińskich szat liturgicznych – szaty bizantyjskie. Potem były i sukmany krakowskie, lubelskie, stroje góralskie, kontusze szlacheckie. Ostatni raz widzieliśmy wielką Polskę w jej sienkiewiczowskiej glorii. Dzwon Zygmunt dzwonił. Pochód w Krakowie przekroczył wszystkie oblizczenia. Tłum szedł na Wawel od godziny 8 rano do godziny 6 wieczorem. Była to rzeka, lawina, morze ludu”. W pogrzebie wzięło udział blisko ćwierć miliona ludzi, w tym przedstawiciele szesnastu państw z całego świata. Nad bezpieczeństwem oplakujących Pierwszego Marszałka Polski czuwało kilka tysięcy policjantów i żołnierzy.

Józef Piłsudski spoczął w krypcie św. Leonarda w katedrze na Wawelu, obok m.in. króla Jana III Sobieskiego, księcia Józefa Poniatowskiego czy Tadeusza Kościuszki. Ale tylko czasowo. Trumna miała tam pozostać aż do momentu przygotowania osobnej krypty pod Wieżą Srebrnych Dzwonów. Kiedy dwa lata później krypta była już gotowa, metropolita krakowski Adam Sapieha, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, zarządził jej przeniesienie w nowe miejsce. Wywołało to protest władz państwowych i wszystkich środowisk związanych z Komendantem, które oskarżyły gospodarza katedry wawelskiej o naruszenie kultu Piłsudskiego i obrazę prezydenta Mościckiego, i doprowadziło do tzw. „konfliktu wawelskiego”. Zakończył się on po posiedzeniu sejmu, podczas którego oświadczone, że abp Sapieha, który podtrzymał swoją decyzję, przeprosił prezydenta. Konflikt ten w żaden jednak sposób nie przyćmił uroczystości pogrzebowych Pierwszego Marszałka Polski, które – mimo kilku incydentów – zjednoczyły naród w obliczu śmierci głównego wskrzesiciela niepodległej i suwerennej Polski. Polski, która cztery lata później ponownie musiała walczyć o swój byt. 🇵🇱

► Przeszkłony sarkofag w krypcie św. Leonarda





# Doktor Woytas – agent do zleceń specjalnych

Dawid Golik

**Na początku sierpnia 1944 roku na Podhalu pojawiła się przeszło trzydziestoosobowa grupa ochotników do partyzantki, która przybyła tam z Krakowa. Na jej czele stał Stanisław Wojtas „Stach”, który utrzymywał, że jest zakonspirowanym oficerem Armii Krajowej. Dopiero po kilku miesiącach został rozszyfrowany jako groźny agent gestapo.**

**S**tanisław Wojtas (*vel* Woytas) był postacią bardzo tajemniczą i w dalszym ciągu niewiele na jego temat wiadomo. Urodził się 1 maja 1910 roku w podtarnowskich Ciężkowicach jako syn profesora gimnazjalnego. Miał dwoje rodzeństwa – siostrę Janinę (farmaceutkę) oraz brata Zbigniewa (prawnika). Sam podawał, że był doktorem nauk medycznych, a jednocześnie oficerem rezerwy Wojska Polskiego w stopniu porucznika

ze starszeństwem od stycznia 1938 roku, i że bezpośrednio przed wojną mieszkał w Warszawie. Informacji tych nie potwierdzają jednak zapisy w rocznikach oficerskich. Z całą pewnością w czasie okupacji znalazł się w stolicy Generalnego Gubernatorstwa – Krakowie, gdzie w 1940 roku wszedł w porozumienie z przedsiębiorcami żydowskimi – Henrykiem Karterem i Marią Friwald, przejmując ich sklepy oraz cały majątek w zamian za opiekę nad ich rodzinami.

Po sfinalizowaniu tego przedsięwzięcia miał ich następnie wydać Niemcom. Jak relacjonował Karter podczas przesłuchania po wojnie, Wojtas kontaktował się w czasie okupacji z funkcjonariuszami gestapo, miał także odpowiadać za aresztowanie wielu osób na terenie Krakowa oraz za zastrzelenie męża swojej kochanki, a następnie drugiej żony, dentystki Karoliny Czarneckiej. Uczestnictwo Wojtasa w aresztowaniu Polaków przez gestapo potwierdzali również po wojnie inni świadkowie z Krakowa, a o jego bliskich kontaktach z Niemcami wspominała m.in. jego była służąca, zeznając, że „w domu urządził sobie Wojtas przyjęcia, na których byli oficerowie niemieccy w cywilu i mundurach. Przyjmując ich, pozdrawiał ich »Heil Hitler«”. Kontakty z Niemcami miała również utrzymywać Karolina Czarnecka.

► Stare Wierchy w sierpniu 1944 roku; siedzą od lewej: Stanisław Wojtas „Stach”, Włodzimierz Budarkiewicz „Podkowa”, Maria Rapciak, Adam Stabrawa „Borowy”



**Lekarz, handlarz, dobroczyńca**

Pierwsze chwile domniemanej współpracy Wojtasa z Niemcami można łączyć z aresztowaniem członków Związku Walki Zbrojnej w Krakowie w lutym 1940 roku. Miał wówczas trafić w ręce Niemców pod zarzutem udzielania pomocy w wyjeździe polskich oficerów na Węgry. Wyszedł jednak z aresztu – rzekomo dzięki dobremu alibi oraz łapówkom. Ponownie zatrzymano go w 1942 i w maju 1944 roku. Także tym razem uniknął więzienia, według zeznań jego siostry – dzięki wpłaceniu wysokich łapówek. Pierwsze aresztowanie Wojtasa można powiązać z powojennymi zeznaniami SS-Obersturmführera Kurta Heine Meyera (kierownika podreferatu krakowskiego gestapo do zwalczania polskich organizacji lewicowych) o działającym w ZWZ mężczyźnie, który miał być lekarzem i w zamian za zwolnienie z aresztu został zwerbowany do współpracy. Mieszkał on przez kilka lat przy ul. Starowiślnej 6. Znajdował się tam gabinet dentystryczny, w którym odbywały się spotkania konfidentów z Heine Meyerem oraz SS-Sturmscharführerem Rudolfem Körmerem (kierownikiem podreferatu do walki z polskim podziemiem prawicowym) i jego tłumaczem Georgiem Bellogiem. Adres ten wskazuje jednoznacznie na zakład dentystryczny oraz

mieszkanie Karoliny Czarnieckiej, w którym Wojtas często przebywał i nocował.

Wojtas miał w tym czasie wielokrotnie wyjeżdżać poza GG, m.in. do Berlina, Wiednia i Smoleńska, był także – jako



► Karolina Czarniecka „Lina” – kochanka i współpracowniczka „Stacha”

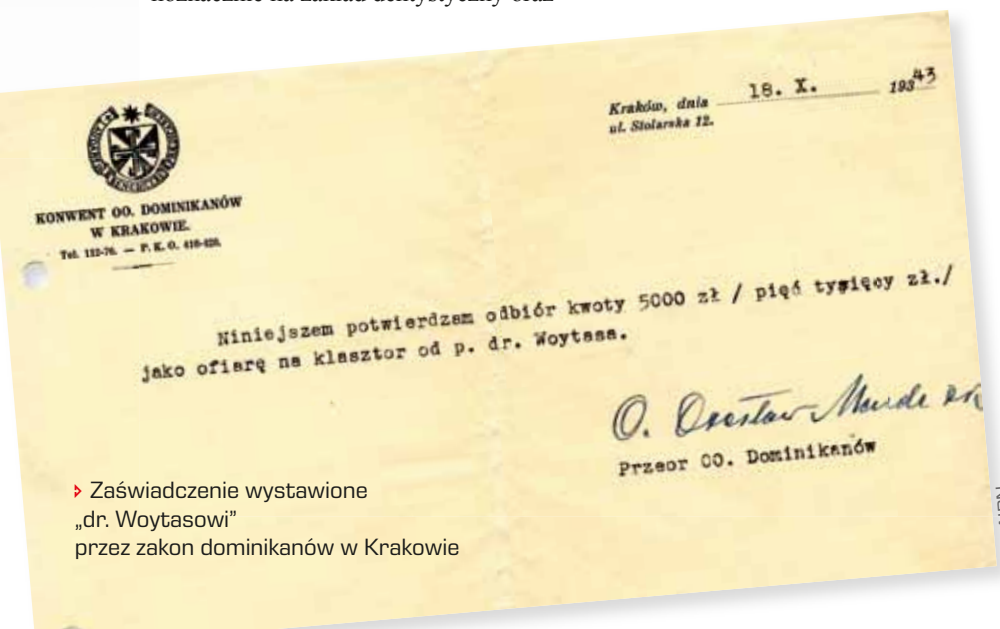
właściciel przedsiębiorstwa handlowego (Dr Stanisław Woytas Geschäft u. Lag.) oraz hurtowni papieru – kontrahentem miejscowych firm niemieckich. Siedziba firmy Wojtasa mieściła się przy

ul. Starowiślnej 1, on sam zaś mieszkał przy ul. Pocztowej 22, miał też drugie mieszkanie przy ul. Wielopole, był również właścicielem kamienicy na Żoliborzu w Warszawie. Przedsiębiorstwo Wojtasa zaopatrywało m.in. niemiecką Organisation Todt, która odpowiadała za budowę umocnień niemieckich w roku 1944. „Stach” dysponował dużą ilością pieniędzy, był też właścicielem samochodu, na którego rejestracji znajdowały się oznaczenia OT. Jako człowiek pracujący na potrzeby robót budowlanych, prowadzonych przez tę organizację, miał odpowiednie dokumenty uprawniające go do poruszania się po całym dystrykcie. Jeden z jego kierowców, Władysław Oczkoś, był nawet zobowiązany do noszenia na ramieniu opaski ze swastyką. Sam Wojtas – według relacji jednego z podhalańskich akowców – przebierał się często w mundur oficera OT, a w swoim samochodzie miał radio, którego posiadanie przez Polaków było w tym czasie surowo zabronione (pod karą więzienia lub śmierci).

Z drugiej strony Wojtas starał się przez cały okres okupacji uwiarygodnić w oczach rodaków, wpłacając duże sumy do kasy Rady Głównej Opiekuńczej w Krakowie oraz przekazując pomoc materialną zakonowi kapucynów i dominikanów. Równocześnie dzięki swoim licznym kontaktom świadczył różne przysługi znajomym. Jego działalnością zainteresowały się okręgowe struktury referatu bezpieczeństwa Delegatury Rządu (kryptonim „Stożek”), których pracownicy w raporcie okresowym za pierwszą dekadę października 1943 roku zakwalifikowali go do osób podejrzanych lub niepewnych z adnotacją: „Dr. Wojtas (Woytas) Stanisław, Kraków, Starowiślna 6 I p., lekarz z Warszawy, przebywa często z funkcjonariuszami G[estap]o, ma przepustkę do Reichu, dokąd często wyjeżdża, podobno spowodował zabicie przez G-o niejakiego Czarnieckiego, z którego żoną Karo-

Fot. AIPN

Fot. AIPN

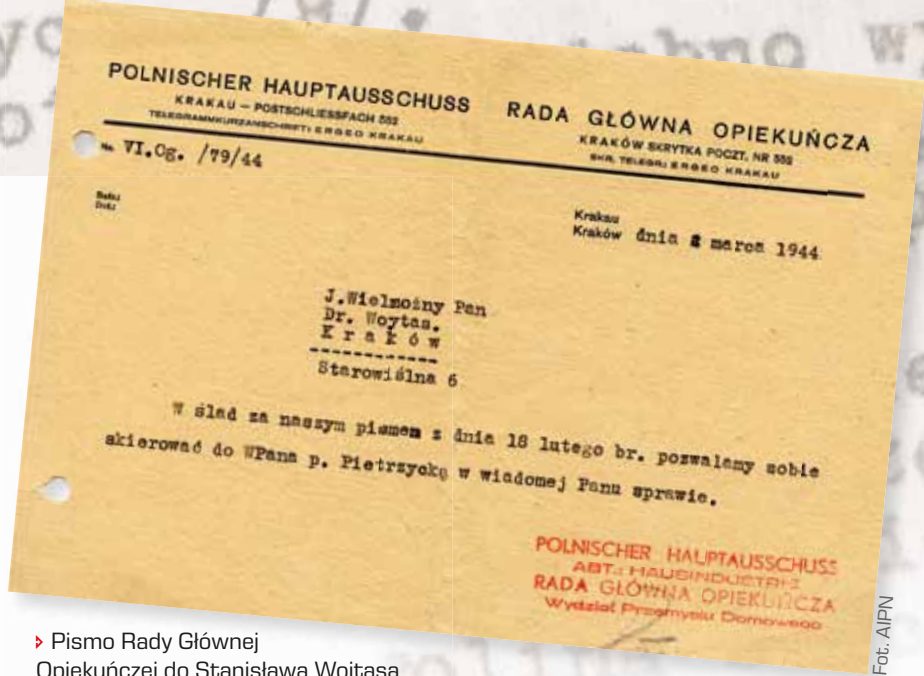


► Zaświadczenie wystawione „dr. Woytasowi” przez zakon dominikanów w Krakowie

liną obecnie wspólnie mieszka. Ostatnio miał zgłosić się do R.G.O. i ofiarować datek 20.000 zł, znajomi zaś jego interweniują w R.G.O. celem uzyskania zaświadczenia, że Wojtas jest czynny w dziedzinie społecznej”. Nazwiska Czarnieckiej i Wojtasa pojawiały się również na kolejnych – publikowanych przez podziemie krakowskie do końca wojny – listach potencjalnych konfidentów.

### Oddział „Krakusów” wyrusza na wojnę

Nieoczekiwanie latem 1944 roku Wojtas zorganizował wokół siebie grupę konspiracyjną złożoną przede wszystkim z młodych mieszkańców Krakowa, do której wprowadził również pochodzącego z Bydgoszczy zawodowego oficera WP, ppor. Tadeusza Kosmowskiego (brata pierwszej żony Wojtasa). Nie ma dowodów na to, że późniejszy por. „Stach” rzeczywiście miał wówczas jakikolwiek kontakt z AK, ale członkom tworzonej przez siebie grupy tłumaczył, że wstępują w szeregi Armii Krajowej. Poza Wojtasem i Kosmowskim w oddziale „Krakusów” znalazło się jeszcze czterech podoficerów oraz 28 szeregowych (w większości młodych chłopców, którzy wcześniej nie przeszli żadnego przeszkolenia wojskowego). Najprawdopodobniej po wybuchu Powstania Warszawskiego i uruchomieniu akcji „Burza” w Okręgu AK Kraków Wojtas zdecydował się zebrać podległych mu ludzi i przyłączyć się do jednego z oddziałów partyzanckich, działających w pobliżu Krakowa. Nie wiadomo, dlaczego trafił akurat na Podhale. Jeśli współpracował wówczas nadal z Niemcami, wydaje się, że było to miejsce, w którym prawie nikt go nie znał, w związku z czym mógł się wtopić w szeregi AK bez obawy o dekonspirację. Pewien wpływ na wybór Podhala mogła mieć także domniemana współpracowniczka niemiecka – Karolina Czarniecka, która od czerwca 1944 roku mieszkała w Rabce i miała utrzymywać kontakt z funkcjonariuszami gestapo w Zakopanem. Wówczas należałoby przypuszczać, że wejście Wojtasa do konspiracji właśnie na tym terenie nie było przypadkowe



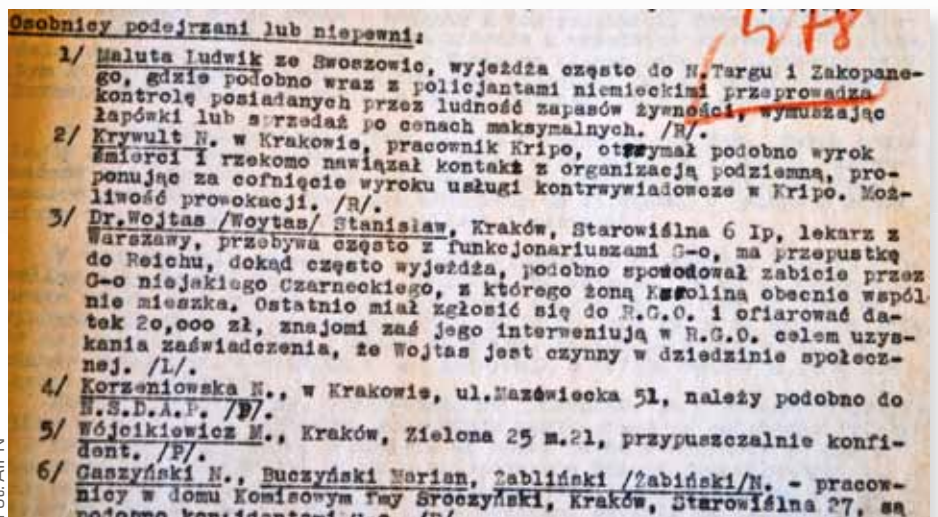
► Pismo Rady Głównej Opiekuńczej do Stanisława Wojtasa

i stanowiło element niemieckiej gry operacyjnej ze strukturami nowosądeckiego inspektoratu AK „Niwa”.

W rejon Ochotnicy – znanej z działalności partyzanckiej – cały oddział przetransportowano samochodem należącym do „Stacha”, który następnie wykorzystywano do przewozu zaopatrzenia i prowiantu dla grupy. „Krakusom” brakowało jedynie ekwipunku wojskowego i broni, gdyż mieli ze sobą zaledwie jeden pistolet. Każdy z nich nosił za to zielony kapelusz wzorowany na góralskim. Rotmistrz Włodzimierz Budarkiewicz „Podkowa”, prowadzący wówczas szkolenie podhalańskich partyzantów, zanotował w swoim dzienniku: „Stach jest człowiekiem niezwykle ruchliwym, sprytnym i przed-

siębiórczym, według jego słów oddział utrzymuje na własny koszt”.

Wojtas po przybyciu na Podhale szukał kontaktu z miejscowymi strukturami AK i od ppor. Ludwika Schweigera „Siwego” (spotkanego przypadkowo w górach) otrzymał informację o miejscu kwatrowania dowództwa AK nad Ochotnicą. Po wymianie korespondencji ustalono, że dojdzie do oficjalnych rozmów na temat włączenia grupy „Stacha” w struktury Inspektoratu AK Nowy Sącz. Komendant Obwodu AK w Nowym Targu, którym był w tym czasie mjr Adam Stabrawa „Borowy”, spotkał się z por. Wojtasem w schronisku na Starych Wierchach, gdzie tymczasowo zatrzymali się „Krakusi”. „Stach” przed- ►



► Fragment sprawozdania okresowego „Stozka” z października 1943 roku, dotyczący Stanisława Wojtasa

Fot. AIPN

Fot. AIPN

stawiał wówczas siebie jako zakonspirowanego oficera AK, działającego do tej pory na rzecz wywiadu brytyjskiego, który zbierał informacje o niemieckich fortyfikacjach budowanych w Rzeszy (m.in. na temat Wału Pomorskiego). Zdecydował się także podporządkować swoją grupę „Borowemu”, który nie wiedząc o tym, że jego rozmówca jest podejrzewany o współpracę z Niemcami, postanowił wykorzystać go jako oficera wywiadu na terenie obwodu. Od tej pory Wojtas posługiwał się wymiennie pseudonimami „Stach” i „Philips”. Kiedy we wrześniu 1944 roku mjr Stabrawa stanął na czele całego inspektoratu oraz 1. pułku strzelców podhalańskich AK, Wojtas otrzymał formalną nominację na stanowisko II adiutanta i oficera do zleceń specjalnych przy „Borowym”. Miał wgląd do najważniejszych dokumentów sztabu inspektoratu, był jego szarą eminencją, odpowiadając m.in. za działalność wywiadowczą i informacyjną, podpisywał też rozliczenia finansowe przekazywane następnie do Komendy Okręgu. Cieszył się dużą samodzielnością – nie przebywał przy sztabie pułku, lecz mieszkał w Rabce, a następnie w Zarytem razem z Czarnecką, która również weszła do struktur AK i przyjęła pseudonim „Lina”. Z kolei reszta „Krakusów” została wcielona do dowodzonego przez kpt. Juliana Zapalę „Lamparta” IV batalionu 1. psp AK.

### Nowe czasy, nowe zlecenia

11 grudnia 1944 roku została wysłana z Krakowa do inspektoratu informacja o tym, że Wojtas i Czarnecka są podejrzewani przez kontrwywiad AK o współpracę z Niemcami. Polecano przy tym: „natychmiast wszcząć energiczne dochodzenia celem ustalenia, kto wprowadził 1 [Stanisława Wojtasa] w tamt[ejsze] środowisko AK, a w szczególności do Inspektoratu. Winnych należy ukarać. 1 należy bezzwłocznie odsunąć od pracy w AK i poddać obserwacji. W razie sprzyjających okoliczności poddać go badaniu i zmusić do zeznań. W razie uzyskania rezultatów dodatnich likwidować, nie czekając na wynik postępowania sądowego. Po przeprowadzeniu dochodzeń

meldować o wyniku i sporządzić doniesienie karne do WSS”.

Aby ująć lub zlikwidować Wojtasa, wysłano do Rabki patrol partyzancki. Nie zdołano jednak zatrzymać ani jego, ani Czarneckiej. Najprawdopodobniej ostrzeżeni o swojej dekonspiracji, opuścili w porę Podhale i wyjechali do Krakowa. Tam doczekali wkroczenia Armii Czerwonej w styczniu 1945 roku.

Wszystko wskazuje na to, że po przejściu frontu Wojtas wraz z Czarnecką wyjechali do Radomia, gdzie zgłosili się do tamtejszej Rejonowej Komendy Uzupelnień. Zachowała się nawet przepustka wystawiona dla „dr. Stanisława Wojtasa”, kapitana WP, który w maju 1945 roku służbowo udawał się do Bydgoszczy i Torunia. Wstąpienie „Stacha” do wojska potwierdzają także relacje dawnych akowców, którzy wiosną 1945 roku widzieli Wojtasa w mundurze oficera WP. W grudniu 1945 roku oboje z Czarnecką znaleźli się w Gdańsku, gdzie Wojtas otrzymał zatrudnienie w Miejskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej. Miał też być w tym czasie współwłaścicielem sklepu handlowego w Gdyni oraz pełnić funkcję kierowniczą w jednym z lokalnych przedsiębiorstw eksportowych. Już wówczas, jak sam po latach twierdził podczas rozmowy werbunkowej z funkcjonariuszami bezpieki, utrzymywał kontakt z Urzędem Bezpieczeństwa.

W latach pięćdziesiątych, jak relacjonował funkcjonariuszom UB, był zamieszany w poważną aferę finansową na terenie Gdyni, przez co zaczął się ukrywać. Swoją sprawę „wyjaśnił” dopiero po październiku 1956 roku, unikając jakiegokolwiek kary. Niedługo później zamieszkał w Zakopanem, gdzie nawiązała z nim kontakt tamtejsza bezpieka. Charakteryzując Wojtasa, funkcjonariusze pisali: „Nigdzie nie pracuje [...] a utrzymuje się ze zwrotu nadpłaconych podatków z prowadzonego przedsiębiorstwa. Jak wyjaśnił, zwrot ten obejmuje kwotę pół miliona złotych [kilkaset średnich pensji – przyp. red.], która jest mu zwracana po kilka tysięcy kwartalnie”. Jako były oficer 1. psp AK Wojtas wydał się bezpiece cennym źródłem informacji – nie

zdecydowano się go jednak zarejestrować jako tajnego współpracownika ze względu na jego podejrzaną przeszłość. Był wszakże chętny do współpracy, więc szybko otrzymał zadanie od zakopiańskich funkcjonariuszy – zdobyć archiwum AK, które miało się znajdować w jednej z melin na terenie Ochotnicy.

Na początku 1958 roku „Stach” wraz ze zwerbowanym przez bezpiekę oficerem AK, Ludwikiem Schweigerem „Siwym”, pojechał do Ochotnicy wykopać ze skrytki dokumenty. Z powodu silnego mrozu operacja zakończyła się jednak fiaskiem. Szczęśliwym dla komunistów zbiegiem okoliczności Wojtas mógł jednak po kilku dniach wykazać się prawdziwym sukcesem. Zgłosił się bowiem do niego związany ze Stowarzyszeniem PAX literat, Włodzimierz Wnuk. Pisał on w tym czasie monografię działalności podziemnej na Podhalu pt. *Walka podziemna na szczytach* i za pośrednictwem akowców z Krakowa zdołał namówić dowódcę IV batalionu 1. psp AK Juliana Zapalę „Lamparta” do ujawnienia, a następnie wypożyczenia części przechowywanego przez niego archiwum oddziału. Znając akowską przeszłość Wojtasa, poprosił go o konsultację pozyskanych dokumentów. „W dniu 3 III 1958 r. uzgodniono z WOJTASEM, aby ten wyjechał do Krakowa i spotkał się z WNUKIEM celem wypożyczenia do wglądu tego archiwum – pisali funkcjonariusze SB. – Wymienione archiwum WOJTAS wypożyczył, z którego sporządzono fotokopie”.

Materiały pozyskane przez „Stacha” z akowskiego archiwum można dziś oglądać w zbiorach Instytutu Pamięci Narodowej. Niestety ani w aktach bezpieki, ani w zachowanych archiwaliach niemieckich nie znajdziemy odpowiedzi na najważniejsze pytanie, czyli kim tak naprawdę był Stanisław Wojtas. Czy tylko hochsztaplerem i koniunkturalistą, czy może działającym na wielu frontach utalentowanym agentem? Większość odpowiedzi zabrał ze sobą do grobu w 1968 roku. 📖

dr Dawid Golik – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Krakowie; ostatnio wydał książkę *Partyzanci „Lamparta”* (2014)



# Pamięć i niepamięć

Artur Ossowski

**Ile ofiar pochłonął niemiecki obóz dla polskich dzieci w Łodzi? Publikowane liczby różnią się między sobą nawet pięciokrotnie. Rozbieżności wynikają m.in. z tego, że tragedia młodocianych więźniów stała się w latach sześćdziesiątych elementem propagandy antyniemieckiej.**

Informując o niemieckim obozie dla dzieci polskich w Łodzi, w latach sześćdziesiątych podawano, że jego bramę przekroczyło nawet 15 tys. nieletnich. Zginąć miało ok. 30 proc. z nich, co oznaczało, że był to jeden z bardziej represyjnych obozów niemieckich w Polsce. Koło propagandy, popularyzującej temat obozu, ruszyło w 1965 roku. Wówczas ukazał się list biskupów polskich do biskupów niemieckich, w którym znalazły się słynne słowa „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”. Dla Władysława Gomułki, I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, wydalenie to stało się dogodnym pretekstem do zintensyfikowania propagandy antykościelnej i antyniemieckiej. Społeczeństwo bowiem dwadzieścia lat po wojnie nie było jeszcze gotowe wybaczyć Niemcom. Dzieci mogły być kartą przetargową w tym sporze i jako niewinne ofiary wojny doskonale nadawały się do wykorzystania. Dodatkowo, wraz ze wzrostem nastrojów antysemitycznych w kraju, można było eksponować cierpienie polskich dzieci i spychać w cień zagładę Żydów.

Kolejne lata badań pokazały jednak, że skala niemieckich zbrodni w łódzkim obozie była mniejsza, niż wcześniej zakładano. W 1979 roku w redagowanym przez Czesława Pilichowskiego in- ▶

▶ Zdjęcie policyjne Elżbiety Konarskiej, wykonane po przybyciu do obozu

formatorze encyklopedycznym *Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich, 1939–1945* podano, że więźniów ośrodka przy ul. Przemysłowej było 3735. Kilkuset z nich zmarło lub zostało zabitych. 20 lat później Okręgowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Łodzi uznała za wiarygodną liczbę ok. 2 tys. osadzonych i potwierdziła śmierć niespełna osiemdziesięciorga dzieci. Skąd te różnice? Czy wynikają one wyłącznie z błędów szacunkowych? Czyżby wszelkie dane były tworzone za sprawą nacisków politycznych? Kluczem do rozwikłania zagadki może być nieżyjący już Józef Witkowski, który przez kilkadziesiąt lat nagłaśniał temat i był nim osobiście zainteresowany.

### Pomnik z plotką w tle

9 maja 1971 roku, w 26. rocznicę zakończenia II wojny światowej i w Dniu Zwycięstwa, odsłonięto na łódzkich Bałutach Pomnik Martyrologii Dzieci, nazywany przez mieszkańców Pękniętym Sercem. Obelisk wzniesiono w – istniejącym dopiero od niespełna dwóch lat – parku miejskim im. Promienistych (od 1991 roku – Szarych Szeregów). Uroczystość zgromadziła kilkanaście tysięcy osób. Wzniosłe przemówienie wygłosił m.in. wicepremier Wincenty Kraśko, lecz w centrum uwagi pozostawali byli więźniowie oraz uczniowie z pobliskiej Szkoły Podstawowej nr 81 im. Bohaterskich Dzieci Łodzi. W szkole tej można było obejrzeć pamiątki po obozie, zdjęcia, fotokopie dokumentów oraz jego makietę. Nie obyło się bez zgrzytu, ponieważ po zakończeniu uroczystości rozsiewano plotkę, jakoby wśród widzów rozpoznano i zatrzymano byłą funkcjonariuszkę obozu, Eugenię Pol. Informacja była tak sugestywna, że natychmiast podchwyciły ją łódzkie gazety. Prasa informowała o szoku zgromadzonych i zemdleńiu jednej z więźniarek. Nie była to jednak prawda, gdyż podejrzana o zbrodnie na polskich dzieciach od pięciu miesięcy przebywała w więzieniu. Czyżby pogłoskę rozsiewała Służba Bezpieczeń-

stwa, która nie chciała wyjawic, że od wielu lat wiedziała o istnieniu kobiety i jej przeszłości? Takie przypuszczenie ma pewne podstawy, ponieważ Pol w ogóle się nie ukrywała i po 1945 roku nadal mieszkała w Łodzi. Pracowała jako intendentka w przyzakładowych przedszkolach, legitymując się doskonałymi referencjami. Dodatkowo trenowała w jednym z łódzkich klubów sportowych rzut oszczepem oraz biegi. Grała także w koszykówkę i siatkówkę, a prywatnie spotykała się z byłymi więźniami obozu oraz działaczami Związku Bojowników o Wolność i Demokrację.

### Gehenna obozu

18 stycznia 1945 roku był ostatnim dniem funkcjonowania Prewencyjnego Obozu Policji Bezpieczeństwa dla Młodzieży Polskiej w Łodzi (Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt). Nie odbył się apel, żaden ze strażników nie wypędził dzieci z baraków. Nadzorcy w pośpiechu opuszczali obóz, wsiadając do ciężarówki. Po ich odjeździe brama główna od strony ul. Przemysłowej 72 pozostała otwarta. Do Łodzi błyskawicznie zbli-

żały się oddziały 1. Frontu Białoruskiego, docierając na przedmieścia Zgierza. Wielu Niemców ogarnęła panika, lecz niektórzy folksdojczy nie chcieli opuszczać miasta. Wśród nich była również dwudziestodwuletnia nadzorczyzna obozowa Eugenia Pohl, która wiosną 1945 roku spolszczyła swoje nazwisko i zapisywała je od tej pory jako Pol. Nie uważała, że kogoś skrzywdziła. Według niej, więzionymi dziewczynkami opiekowała się wzorowo, karząc lub nagradzając je za wykonaną pracę.

Po odjeździe oprawców dzieci wyostały się z baraków. Najsilniejsze z nich ruszyły na ulice opustoszałej Łodzi. Ich dziwny korowód obserwowali nieliczni przechodnie. Chłopcy mieli na sobie przyduże swetry i marynarki, a jeden z malców nosił sukienkę oraz wełnianą chustę. Większość była obuta w drewniak. Dla łódzian widok tak dużej grupy niedożywionych dzieci musiał być szokiem, gdyż o istnieniu obozu wiedziało zaledwie kilkadziesiąt osób. Nie mówiono o nim ani nie wymieniano go w meldunkach Armii Krajowej, chociaż istniał od grudnia 1942 roku. Z trzech stron okalało go getto, a mur był zarazem gra-

➤ Pierwszy transport dotarł do obozu prawdopodobnie 11 grudnia 1942 roku



nicą cmentarza żydowskiego. Pod obóz zagospodarowano wydzielony z getta teren o powierzchni 5 ha, gdzie przez niemal 25 miesięcy więziono polskich nieletnich obu płci do lat szesnastu. Powstanie obozu, wzorowanego m.in. na niemieckim obozie dla chłopców w Moringen w Dolnej Saksonii, zaaprobował w końcu 1941 roku szef SS Heinrich Himmler. Do łódzkiego kacetu kierowano przede wszystkim dzieci z rejencji inowrocławskiej, łódzkiej, poznańskiej i katowickiej. Najwięcej dzieci przybyło z Potulic, Mysłowic, Kietrza oraz Pogrzebienia, gdzie funkcjonowały obozy wysiedleńcze i izolacyjne. Ogółem dzieci ze Śląska stanowiły ok. 38 proc. osadzonych. Dużo było również Wielkopolan, wśród nich kilkadziesiąt maluchów ze spacyfikowanych w 1943 roku Mosin. Stosunkowo niewiele było natomiast dzieci z Łodzi, które niemiecka policja zatrzymywała głównie za włóczęgostwo, handel uliczny lub kradzieże. Represjonowano także dzieci, których rodzice działali w ruchu oporu i zostali zamordowani przez okupanta lub zesłani do obozu koncentracyjnego.

Łódzki obóz podzielono na część chłopięcą oraz dziewczęcą. W sektorze dziewczęcym przetrzymywano również bardzo małe dzieci obu płci, przystosowując dla nich murowany jednopiętrowy budynek. Chłopięca część obozu stanowiła ok. 75 proc. całej powierzchni ośrodka i znajdowało się tam 35 budynków i baraków, z których dziesięć pełniło funkcję mieszkalną (osiem murowanych oraz dwa drewniane). Podobóz dla dziewcząt i najmniejszych dzieci zajmował resztę terenu, a dziewczęta słoczono w ceglany baraku.

Początkowo izolowano w obozie około dwustu dzieci, lecz po dwóch latach było ich już pięć razy więcej. W lipcu 1944 roku wraz ze swą filią rolną w Dzierżanej pod Zgierzem skupiał on ok. 1,2 tys. więźniów. Poza niewielką liczbą strażników (wraz z wybuchem Powstania Warszawskiego ich liczba zmniejszyła się do około trzydziestu) w obozie zatrudniono kilkunastu polskich i żydowskich majstrów. Tak nieliczna załoga nie mogła

nadzorować jednorazowo kilku tysięcy dzieci, lecz najwyżej kilkuset małoletnich więźniów.

W styczniu 1945 roku liczba dzieci była mniejsza i prawdopodobnie nie przekraczała dziewięciuset. Po zajęciu Łodzi przez Armię Czerwoną ok. 230 byłych więźniów skierowano do Miejskiego Pogotowia Opiekuńczego przy ul. Kopernika 36, pozostałych umieszczono w szpitalach lub przygarnęły ich osoby postronne. Wielu nieletnich więźniów rozproszyło się jednak i, nie zważając na przesuwający się front, podążyło w rodzinne strony.

We wspomnieniach obóz przy ul. Przemysłowej w Łodzi jawił się jako miejsce przewlekłego głodu i okrutnych kar cielesnych. Tęsknota dzieci za rodzicami wycierała niemal z każdego listu, wysłanego jedynie raz na pół roku. W korespondencji, pisanej przeważnie w języku polskim (choć władze obozu kazały pisać po niemiecku), prosiły rodziców o żywność i domagały się ich przyjazdu. Najbardziej zdesperowane nakłaniały ich nawet do przyjęcia obywatelstwa niemieckiego. Od wiosny 1944 roku z obozu zaczęto stopniowo zwalniać dzieci i kierować je do różnych zakładów pracy. Szesnastolatków jednak wciąż wysyłano do Groß-Rosen, Ravensbrück lub Auschwitz-Birkenau, a część dzieci przejęła Filia Głównego Urzędu do spraw Rasy i Osadnictwa SS w Łodzi.

Nadrzędnym obowiązkiem więzionych dzieci była praca. Najwięcej chłopców skierowano do tzw. iglarni, gdzie prostowali igły tkackie, oraz do łapciarni, gdzie wyplatali

słomiane warkocze i zszywali je w nieformalne zimowe buty dla żołnierzy niemieckich walczących w Związku Sowieckim. Dziewczęta zaś szyły odzież roboczą, naprawiały mundury i wyrabiały sztuczne kwiaty. Od wiosny 1943 roku najsilniejsze z nich zaczęto kierować do majątku rolnego w Dzierżanej, który miał dostarczać żywność do obozu.

Do końca stycznia 1945 roku na teren obozu powrócili właściciele domów i lokatorzy, których Niemcy wysiedlili, gdy tworzyli getto łódzkie. W lutym 1945 roku mieszkańców znowu wyrzucano, ponieważ cały teren przejęli Sowieci. Do ponownego zasiedlenia domów na tym obszarze doszło wiosną 1947 roku, ale można się było do nich wprowadzać wyłącznie za imiennym zezwoleniem Zarządu Miasta Łodzi. Szybko rozebrano baraki i zdemontowano płot obozu oraz cztery wieże. Dalsza rozbiórka przestrzeni poobozowej nastąpiła na początku lat sześćdziesiątych, kiedy w kwartale ulic okalających



► Pomnik Martyrologii Dzieci, stan obecny



Fot. AIPN

► Komendant obozu Karl Ehrlich na placu apelowym

obóz: Emilii Plater, Górnicej, Spornej i Brackiej wzniesiono kilka bloków oraz zmniejszono cmentarz żydowski.

Rozproszyli się również byli więźniowie, osiedlając się większymi grupami w Gdyni, Gdańsku, Poznaniu, Katowicach, Jaworznie oraz Łodzi. Przez lata wydawało się, że o ich gehennie zapomniano. Zeznania zaczęli składać na ogół dopiero w latach 1965–1975, próbując przypomnieć sobie szczegóły, zwłaszcza nazwiska i numery współwięźniów.

### Proces – i wciąż pytania

Na szczęście niektóre materiały archiwalne po obozie zostały odnalezione w Łodzi i Katowicach. Większość prac wykonała – istniejąca do 1949 roku – Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Łodzi. Kolejne możliwości szczegółowego badania zbrodni niemieckich pojawiły się dopiero w marcu 1965 roku, kiedy to powstała Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi pod przewodnictwem prezesa Sądu Wojewódzkiego na m. Łódź, Jerzego Ksawerego Przybylskiego. W 1969 roku zastąpił go prokurator wojewódzki, Aleksander Wodny, a po czterech latach jego obowiązki przejął prezes Sądu Wojewódzkiego w Łodzi, Jerzy Gawroński. Bez ich zaangażowania proces byłej nadzorczyńi nie doszedłby do skutku i nie doczekałby się finału w sądzie. Presja wywiera-

na na oskarżającego Eugenię Pol prokuratora Zbigniewa Piechotę musiały być duże, ponieważ informacje na temat obozu łódzkiego zaczęły się pojawiać w artykułach prasowych. W latach 1968–1969 kilkakrotnie przesłuchano byłą strażniczkę i 11 grudnia 1970 roku zatrzymano ją pod zarzutem zabójstwa sześciorga dzieci. Sprawy nie można już było przewlekać, gdyż w tym samym roku telewizja wyemitowała film

dokumentalny *Obóz na Przemysłowej*, nakręcony przez absolwentki Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi, Danutę Halladin i Lidię Zonn. W dziewiętnastominutowym materiale wyeksponowano losy dzieci z Mosiny oraz wspomniano o ich nadzorczyńi Pol, a liczbę dzieci w obozie oszacowano na 12 tys. W styczniu 1971 roku masowy odbiorca otrzymał również film fabularny *Twarz anioła*, reżyserowany przez Zbigniewa Chmielewskiego. W prologu do filmu szacowaną liczbę więźniów zmniejszono do ok. 10 tys. Współautorem scenariusza był Stanisław Loth, a konsultantem – były więzień, Tadeusz Raźniewski, który wydał wspomnienia obozowe pod tytułem *Chcę żyć*. Zainteresowanie filmem było tak duże, że na jego planie pojawił się nawet ambasador USA w Polsce, Walter Stoessel, co wzmogło oczywiście aktywność Służby Bezpieczeństwa.

Filmy, książki i wystawy musiały wywrzeć wrażenie na świadkach. Dlatego w zeznaniach składanych w latach 1971–1973 przed Sądem Wojewódzkim w Łodzi nierzadko cytowali oni publikacje lub opisywali wydarzenia zgodnie z obrazem filmowym. Stopniowo jednak

► Więźniarki przed barakiem, za nimi nadzorczyńi Eugenia Pohl





zmniejszała się podawana liczba dzieci przetrzymywanych w obozie. W 1972 roku, za zgodą sądu, „Głos Robotniczy” oraz „Dziennik Łódzki” informowały już jedynie o ok. 6 tys. więźniów. Dwa lata później łódzki sąd uznał za wiarygodną liczbę ok. 4 tys. Nawet eksperci (prawnik Roman Hrabar z Katowic oraz lekarz i były więzień niemieckich obozów Czesław Kempisty z Wrocławia) nie negowali tych ustaleń, skupiając się na roli germanizacyjnej obozu oraz jego skutkach zdrowotnych dla małych więźniów. Problemem było jednak doświadczenie bezpośredniej winy oskarżonej, ponieważ próba udowodnienia jej udziału w zabójstwie sześciorga dzieci nie powiodła się. Adwokatem Eugenii Pol był Stanisław Maurer, który w latach osiemdziesiątych zasłynął obroną opozycjonistów w procesach politycznych, m.in. Grzegorza Palki oraz Jerzego Kropiwnickiego. Zrećźnie zbijał argumenty oskarżenia, wykazując, że za śmierć niektórych z tych dzieci skazano już inną funkcjonariuszkę obozu, Sydomię Bayer, którą powieszono w listopadzie 1945 roku w Łodzi.

Prokuratorowi Zbigniewowi Piechocie nie pomagało również powołanie na świadka Józefa Witkowskiego, który znał oskarżoną od wielu lat i kilkakrotnie się z nią spotykał, ale – jak zaznaczył – nie żywił do niej żadnej urazy. Nikt z zeznających nie przypominał go sobie. Pamiętano go raczej z okresu zbierania relacji na temat obozu i rozmów ze świadkami w trakcie trwania procesu Eugenii Pol. Ostatecznie, na wniosek sądu, nowy świadek ujawnił swoje nazwisko i poinformował, że do 1958 roku był znany jako Józef Gacek. Potwierdził również, że w latach 1945–1956 był funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa we Wrocławiu. Do niemieckiego obozu w Łodzi trafił jako dziewięcioletnie dziecko, przesłane w 1943 roku z Mysłowic, gdzie przetrzymywano go wraz z siostrą i matką. Nowe nazwisko przyjął od drugiej żony i z nią mieszkał we Wrocławiu. W 1961 roku zdał maturę dla pracujących i cztery lata później został zatrudniony w OKBZH we Wrocławiu. Sprawie obozu poświęcił wiele lat życia. W 1975 roku opublikował monografię *Hitlerowski obóz koncentracyjny dla małoletnich w Łodzi*,

co ugruntowało jego pozycję znawcy tej tematyki. Był bardzo aktywny, przede wszystkim konsolidował środowisko byłych więźniów, opiniując pozytywnie ich wnioski o członkostwo w Związku Bojowników o Wolność i Demokrację.

Ostatecznie sąd nie uwzględnił wielu argumentów obrony, lecz odstąpił od wymierzania kary śmierci i 2 kwietnia 1974 roku skazał pięćdziesięcioletnią Eugenię Pol na 25 lat więzienia. 26 maja osadzono ją w bydgoskim więzieniu w Fordonie. Wolność odzyskała w 1986 roku i powróciła do Łodzi, gdzie po siedemnastu latach zmarła w samotności i bezdzietnie. Nigdy nie przyznała się do żadnego z zarzucanych jej sześciu morderstw, choć sąd uznał, że uczestniczyła w zabójstwie trzech młodocianych więźniarek: Urszuli Kaczmarek, Teresy Jakubowskiej oraz Janiny Bammes. Józef Witkowski – człowiek, który przyczynił się do zatrzymania Eugenii Pol, zawiadamiając łódzką prokuraturę o jej przeszłości – działał nie tylko z ramienia OKBZH we Wrocławiu i Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Warszawie, lecz także od 1983 roku był pracownikiem Państwowego Muzeum Gross-Rosen. W latach osiemdziesiątych zaczęto negować jego ustalenia co do liczby dzieci w łódzkim obozie, w tym liczby ofiar, a nawet po wątpiewano w prawdziwość niektórych relacji wykorzystanych w jego publikacji. Ponownie analizowano dokumenty, na które się powoływał, próbując bez powodzenia stworzyć spójny obraz historii obozu.

Dziś nieprawda o obozie miesza się z prawdą. Konieczne są dalsze badania. Na szczęście nie zapomina się o cierpieniach dzieci z ul. Przemysłowej. W debacie od kilku miesięcy uczestniczą prasa, radio i telewizja. Głos zabierają hierarchowie Kościoła katolickiego oraz pracownicy Oddziału IPN w Łodzi. Trudno jednak oderwać się od poprzednich ustaleń, które nadal cytują media, powołując się na starsze publikacje. 📌

Artur Ossowski – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Łodzi



Fot. AIPN

# Zamach na „pomnik wdzięczności”

Dominika Czarnecka

**5 kwietnia 2015 roku w rodzinnym majątku w Krzesku zmarł Stanisław Ścibor-Marchocki herbu Ostoja – sybirak, uczestnik konspiracji antykomunistycznej. W 1949 roku próbował wysadzić gdański „pomnik wdzięczności” Armii Czerwonej, za co zapłacił pięcioletnim więzieniem.**

**P**rzez cały okres powojenny propaganda komunistyczna w Polsce kreowała wizerunek Armii Czerwonej, później Radzieckiej, jako armii „bratniej” i „wyzwoleńczej”. Tymczasem oddziały Armii Czerwonej nie przyniosły Polakom wolności. Przy ich pomocy Związek Sowiecki dokonał aneksji ponad połowy przedwojennego terytorium państwa polskiego i zniewolenia reszty, uniemożliwił odbudowę suwerennej Polski, wprowadził terror i ustrój wzorowany na modelu stalinowskim. Dobitym dowodem na całkowite uzależnienie kraju od Kremla było stacjonowanie na terytorium rzekomo suwerennego państwa polskiego Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej, później Rosyjskiej, w latach 1945–1993.

## Monumenty dla „wyzwolicieli”

Pośród wielu ról, które na terenie Polski odgrywała Armia Radziecka, była też propagandowa. Jej ważnym i trwałym elementem stała się akcja masowej budowy „pomników wdzięczności” Armii Czerwonej, rozpoczęta już w 1945 roku. Oprócz olbrzymiej liczby monumentów wzniesionych w najbardziej reprezentacyjnych lokalizacjach polskich miast (do końca lat osiemdziesiątych wybudowano ich co najmniej 476), setki pomników czerwonoarmistów odsłonięto na cmentarzach stałych (do połowy lat osiemdziesiątych zorganizowano 357 nekropolii żołnierzy Armii Czerwonej, z których większość przyozdobiono pomnikami; dodatkowo powstało 491

cmentarzy i kwater wspólnych – polsko-sowieckich). Pomniki Armii Czerwonej, oprócz upamiętnienia poległych żołnierzy sowieckich, miały istotne znaczenie polityczne. Służyły m.in. usprawiedliwianiu obecności wojsk sowieckich w Polsce, zakłamywaniu historii stosunków polsko-sowieckich, indoktrynowaniu społeczeństwa, wreszcie przypominaniu, do kogo faktycznie należała władza w Polsce. Wbrew twierdzeniom propagandy komunistycznej, faktyczny udział i poparcie ludności polskiej dla inicjatyw pomnikowych na cześć wojsk sowieckich były znikome. Większość Polaków uważała, że Armii Czerwonej „monumenty wdzięczności” się nie należą. Niektórzy aktywnie wyrażali swój sprzeciw.

## Zemsta za siostrę

Jedną z takich akcji było zniszczenie „pomnika wdzięczności” Armii Czerwonej w Gdańsku w 1949 roku. Inicjatorem i głównym wykonawcą przedsięwzięcia był dwudziestotrzyletni wówczas mieszkaniec Pruszcza Gdańskiego, Stanisław Ścibor-Marchocki. Pierwszą próbę wysadzenia monumentu podjął 30 kwietnia 1949 roku. Siedemnastometrowy obelisk stał na wzgórzu w pobliżu ówczesnej al. Rokossowskiego i pl. Ludowego, na którym w okresie Polski Ludowej odbywały się uroczystości propagandowe. Pomnik górował nad otoczeniem, co było widoczne w promieniu kilku kilometrów, i od początku był wykorzystywany przez komunistów w celach propagandowych.



Kwietniowa akcja się nie powiodła – ładunek nie wybuchł. Kolejną próbę Ścibor-Marchocki podjął 14 sierpnia 1949 roku, przy czym tym razem do współpracy przekonał kolegę z liceum, Jana Bednarka. Plan wysadzenia pomnika opracował Stanisław, on też podłożył ładunek wybuchowy. Tym razem skutecznie – pomnik udało się uszkodzić.

Daty ataków nie zostały wybrane przypadkowo. Za pierwszym razem chodziło o zbliżającą się rocznicę śmierci siostry Stanisława, zamordowanej przez partyzantów sowieckich, za drugim – o rocznicę Bitwy Warszawskiej z 1920 roku, w której Polacy pokonali bolszewików. Podczas przesłuchania Ścibor-Marchocki uzasadnił wysadzenie „pomnika wdzięczności” Armii Czerwonej chęcią zemsty za doznane cierpienia i śmierć Jadwigi, dobrą znajomością obiektu i jego otoczenia, wreszcie zamiarem wywołania silnego efektu propagandowego. Z czasem opisał przyczyny swojego postępowania znacznie szerzej. Chodziło o zamanifestowanie wrogiego stosunku do Związku Radzieckiego i jego polityki wobec Polski oraz protest przeciwko terrorowi komunistycznemu.

**„Klika reakcyjna nie przebiera w środkach”**

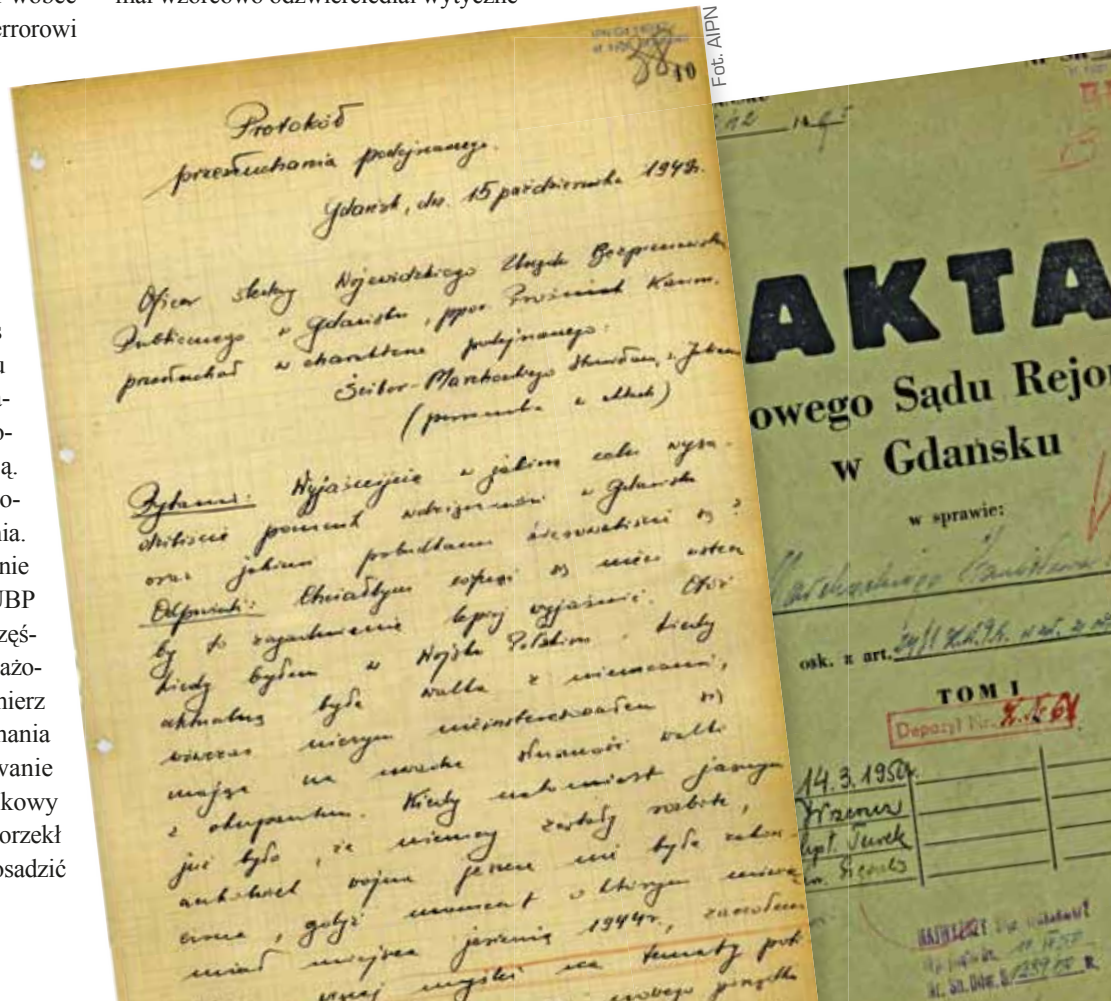
Funkcjonariusze Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP) zatrzymali Ścibor-Marchockiego 1 października 1949 roku podczas rewizji domowej w Pruszczu Gdańskim. W mieszkaniu odnaleziono wiele dowodów rzeczowych związanych z podjętą akcją. Dodatkowe dowody zabezpieczono wcześniej w miejscu zdarzenia. Ścibor-Marchocki był wielokrotnie przesłuchiwany w siedzibie WUBP w Gdańsku. Przesłuchania najczęściej przeprowadzał znany z zaangażowania oficer śledczy, ppor. Kazimierz Prośniak, który w dniu zatrzymania Stanisława wniósł o zastosowanie środka zapobiegawczego. Wojskowy prokurator rejonowy w Gdańsku orzekł areszt tymczasowy i postanowił osadzić



**Stanisław Ścibor-Marchocki** urodził się w 1926 roku w powiecie kościerzyńskim, w rodzinie inteligentkiej. Dzieciństwo spędził na Nowogródczyźnie. Jego pradziadek, hrabia Karol Ścibor-Marchocki, w swoich dobrach ziemskich w okolicach Odessy gościł m.in. Adama Mickiewicza. Wcześniej, w 1830 roku, władze carskie w ramach represji związanych z powstaniem listopadowym zesłały Karola Ścibor-Marchockiego na Syberię i skonfiskowały jego majątek na Podolu. Stanisław do 1938 roku kształcił się w gimnazjum jezuitów w Wilnie. Po wybuchu wojny ojciec został wysłany na front, a matka z dziećmi po wkroczeniu Armii Czerwonej trafiła do Nowogródka. Stanisław dwa razy bez powodzenia próbował przedostać się do Francji. W końcu powrócił do Nowogródka, skąd w 1941 roku Sowieci wywieźli go wraz z matką na Syberię. Jego siostrę Jadwigę nieco wcześniej aresztował NKWD. Została osadzona w więzieniu w Mińsku, ale udało jej się stamtąd uciec. W 1943 roku Stanisław został wcielony do armii gen. Zygmunta Berlinga, w której służył do 1946 roku. Dopiero po wojnie się dowiedział, że Jadwigę wraz z mężem i jego rodziną w 1943 roku zabił oddział partyzantki sowieckiej.

Ścibor-Marchockiego w areszcie wewnętrznym WUBP (podobną procedurę zastosowano wobec Bednarka). Śledztwo wszczęto 3 października 1949 roku, rozprawa główna odbyła się w gdańskim Wojskowym Sądzie Rejonowym 14 marca 1950 roku. Akt oskarżenia niemal wzorcowo odzwierciedlał wytyczne

propagandy komunistycznej. Zapisano w nim m.in.: „Zarówno wyzwolenie, jak i odbudowa i rozbudowa Polski Ludowej mogły nastąpić i faktycznie nastąpiły jedynie dzięki zwycięstwu bohaterskiej Armii Czerwonej oraz ofiarnej i bezprzykładnej pomocy Związku Radzieckiego ▶



Fot. AIPN

Fot. Jan Damiłuk

dla Narodu Polskiego. [...] Nasz naród dał wyraz swej pamięci i wdzięczności, jaką żywi dla Wyzwoleńczej Armii Czerwonej, wystawiając ku wiecznej chwale i pamięci liczne pomniki wdzięczności. Taki między innymi pomnik wdzięczności w Gdańsku-Wrzeszczu wystawiło społeczeństwo gdańskie, które bodajże najbardziej doświadczyło skutków ostatniej wojny. Te liczne pomniki, wzniesione rękoma i wysiłkiem szerokich mas społeczeństwa polskiego, są jednak niemile widziane przez nieliczną już, ale nierezygnującą z walki klikę reakcyjną, która nie przebieając w środkach, robi wszystko, by poderwać podstawy ekonomiczno-polityczne nowej Polski Ludowej, by skłócić nasz naród z narodami zaprzyjaźnionymi i sojusznicznymi, licząc jeszcze na swój powrót do bezpowrotnie utraconych pozycji. [...] Cele ich w tej zbrodniczej akcji są jasne i niedwuznaczne. Chodzi im o zerwanie sojuszu polsko-radzieckiego i o podważenie przyjaźni, jaka zawiązała się między narodami Polski i Z.S.R.R., a która przypięczętowana została wspólnie przelaną krwią. I to było między innymi głównym celem potomka słynnego »żubra kresowego« – hr. Ścibor-Marchockiego – oskarżonego Ścibor-Marchockiego Stanisława, który wystawiony przez społeczeństwo gdańskie pomnik wdzięczności usiłował zniszczyć



**AKT OSKARZENIA**

przeciwko:

1. Ścibor-Marchockiemu Stanisławowi, s. Juliana, osk. z art. 24 § 1 KKK w zw. z art. 11 Dekretu z dnia 13.VI.1946r. w zb. ideal. z art. 25 pkt. 2 tegoż Dekretu, z art. 11 Dekretu z dnia 13.VI.1946r. w zb. ideal. z art. 25 pkt. 2 tegoż Dekretu, z art. 4 § 1 Dekretu z dnia 13.VI.1946r. i z art. 150 K.K.
2. Bednarkowi Janowi, s. Michała, osk. z art. 11 Dekretu z dnia 13.VI.1946r. w zb. z art. 25 pkt. 2 tegoż Dekretu i z art. 4 § 1 Dekretu z dnia 13.VI.1946r.

**/ Oskarżeni przestępcami /**

Wyzwolenie naszej Ojczyzny z okowów hitlerowskiej niewoli, w którą Polska popadła na skutek zdradzieckiej i antynarodowej polityki burżuazyjnej - reakcyjnych rządów przedwojennych, w roku 1945 stało się faktem dokonania. Dostąpienie stałoby Polakom, ze zniszczeń wojennych i okrucieństw na drogę, wiedząc nasz kraj do ustroju sprawiedliwej społeczności do socjalizmu - zostawało już w znaczącej mierze osiągnięte.

Narodem wyzwolenym jak i odbudową i rozbudową Polski Ludowej podjęto starania i faktycznie osiągnięto, nie tylko w dziedzinie ekonomicznej i politycznej, ale i w dziedzinie kulturalnej, oraz ofiarnej i bezsprzykanej pracy polskiej ludzkiej i siły narodu polskiego.

Nie kto inny, a tylko reakcyjne rzesze i obławy swojej kraj i życie w walce z wrogiem Ludźmi, burżuazyjnymi, zniszczenia czy też zdradzieckimi polskiego społeczeństwa i narodu. Nikt inny, jak Armia Czerwona wraz z milicją z jej boku odrodzonego Wschodem polskim straszącego barbarzyńskie rzesze hitlerowskie, niemieckie szwasty, a szczególnie Polaków antysemity i zbrodnie. Liczne Polaki od Ławot do Białej, od Jagu do Odra i Nysy, wrosną w ten obławie kraju i w walce z wrogiem, którzy przeszli ja w imię własnej i naszej wolności. Oskarżony Ścibor, który jest typowym zbrodniarzem, bezwzględnych hochsztaplerem A.C., którzy swe życie oddali w ofiarę na "wolność naszą i waszą".

Pracownicy o tym Ścibor polski, pracownicy maszyn robotnicze i chłopackie, prawnicy i prawnicy Bednarka - zbrodnie polskie. Bednarka nasz stał w walce z wrogiem i walczył, jako tydzień dla Wyzwolenia Armii Czerwonej, wystąpił na wieczerze, obywateli i prawnicy liczące pomniki walczenia. Tak i ścibor i jego pomnik walczenia w Olsztynie - zbrodnie wytworzył społeczeństwo polskie, które bójce najbardziej, obywateli obywateli ostatniej wojny. W liczące pomniki, wzniesione rękoma i wysiłkiem szerokich mas społeczeństwa polskiego są jednak niemile widziane przez nieliczną już, ale nie rezygnującą z walki klikę reakcyjną, która nie wrzebiła w kraj w środkach robi wszystko by poderwać podstawy ekonomiczno-polityczne nowej Polski Ludowej, by skłócić nasz naród z narodami zaprzyjaźnionymi i sojusznicznymi, licząc jeszcze -

Pracownicy o tym Ścibor polski, prawnicy maszyn robotnicze i chłopackie, prawnicy i prawnicy Bednarka - zbrodnie polskie. Bednarka nasz stał w walce z wrogiem i walczył, jako tydzień dla Wyzwolenia Armii Czerwonej, wystąpił na wieczerze, obywateli i prawnicy liczące pomniki walczenia. Tak i ścibor i jego pomnik walczenia w Olsztynie - zbrodnie wytworzył społeczeństwo polskie, które bójce najbardziej, obywateli obywateli ostatniej wojny. W liczące pomniki, wzniesione rękoma i wysiłkiem szerokich mas społeczeństwa polskiego są jednak niemile widziane przez nieliczną już, ale nie rezygnującą z walki klikę reakcyjną, która nie wrzebiła w kraj w środkach robi wszystko by poderwać podstawy ekonomiczno-polityczne nowej Polski Ludowej, by skłócić nasz naród z narodami zaprzyjaźnionymi i sojusznicznymi, licząc jeszcze -

Pracownicy o tym Ścibor polski, prawnicy maszyn robotnicze i chłopackie, prawnicy i prawnicy Bednarka - zbrodnie polskie. Bednarka nasz stał w walce z wrogiem i walczył, jako tydzień dla Wyzwolenia Armii Czerwonej, wystąpił na wieczerze, obywateli i prawnicy liczące pomniki walczenia. Tak i ścibor i jego pomnik walczenia w Olsztynie - zbrodnie wytworzył społeczeństwo polskie, które bójce najbardziej, obywateli obywateli ostatniej wojny. W liczące pomniki, wzniesione rękoma i wysiłkiem szerokich mas społeczeństwa polskiego są jednak niemile widziane przez nieliczną już, ale nie rezygnującą z walki klikę reakcyjną, która nie wrzebiła w kraj w środkach robi wszystko by poderwać podstawy ekonomiczno-polityczne nowej Polski Ludowej, by skłócić nasz naród z narodami zaprzyjaźnionymi i sojusznicznymi, licząc jeszcze -

i faktycznie w wyniku podjętych w tym kierunku działań widocznie go uszkodził".

Jako przewodniczący składu sędziowskiego występował kpt. Zygfryd Turek, jako prokurator – por. Kazimierz Białkowski, oskarżonych reprezentował Alojzy Roder. Prokurator domagał się dla Ścibor-Marchockiego kary śmierci, dla Bednarka – dwunastu lat więzienia. Adwokat Ścibor-Marchockiego, starając się o złagodzenie kary, złożył wniosek o powołanie lekarzy psychiatrów w celu stwierdzenia stopnia poczytalności oskarżonego, jednak sąd podtrzymał sprzeciw prokuratora w tej kwestii. Wobec Ścibor-Marchockiego sąd orzekł karę piętnastu lat więzienia, utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na trzy lata, wobec Bednarka – karę siedmiu lat więzienia. Na poczet kary zaliczono skazanym okres tymczasowego aresztowania od 1 października 1949 do 15 marca 1950 roku. 3 kwietnia 1950 roku mężczyźni zostali osadzeni w więzieniu w Gdańsku. Cztery miesiące później Najwyższy Sąd Wojskowy w Warszawie w składzie: płk Kazimierz Drohomyrecki (przewodniczący; doprowadził do skazania na śmierć wielu ludzi, m.in. Witolda Pileckiego), ppłk Roman Rawicz i Benjamin Karpiński postanowił nie uwzględnić skargi rewizyjnej i utrzymać w mocy wyrok WSR w Gdańsku. W kolejnych latach Ścibor-Marchocki był więziony we Wronkach, Rawiczu i Piechcinie.

Fot. AIPN

Fot. AIPN

22 listopada 1952 roku władze Polski Ludowej uchwaliły ustawę amnestyjną. Na tej podstawie WSR złagodził karę Ścibor-Marchockiemu i orzekł łączną karę dziesięciu lat więzienia z utrzymaniem w mocy kary dodatkowej – utraty praw publicznych i obywatelskich praw honorowych przez trzy lata (Bednarek w wyniku złagodzenia kary opuścił więzienie w Jaworznie 1 stycznia 1954 roku). W 1953 roku kolejna skarga rewizyjna została odrzucona przez NSW. Dopiero 24 lutego 1955 roku do sądu wpłynął wniosek prokuratury o warunkowe fakultatywne zwolnienie Marchockiego z reszty odbywania kary. Kilka dni później wniosek został uwzględniony przez WSR w Gdańsku. Dzięki temu w 1955 roku Ścibor-Marchocki odzyskał wolność. Opuszczenie murów więzienia nie oznaczało jednak końca szykan ze strony władzy komunistycznej. Ojciec Stanisława został zwolniony z pracy i poinformowany, że na terenie województwa gdańskiego nie znajdzie zatrudnienia. W związku z tym rodzice Ścibor-Marchockiego kilkakrotnie się przeprowadzali. Po zwolnieniu Stanisław pojechał do nich do Brwinowa. Z wielkimi trudnościami dostał się na zaoczne studia rolnicze w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. W 1958 roku rozpoczął pracę jako instruktor przysposobienia rolniczego w powiecie wołomińskim, jednak szybko stwierdzono, że z „taką przeszłością” nie może pracować z młodzieżą. Został rolnikiem. Przez lata nie mógł powrócić do dóbr rodzinnych w Krzesku (obowiązywało zarządzenie, że właściciele i ich rodziny nie mają prawa pobytu na terenie powiatu – we dworze usytuowano Gromadzką Radę Narodową i posterunek milicji). Dopiero w 1990 roku odkupił rodzinny majątek. 🍀

dr Dominika Czarnecka – antropolog kultury i historyk, autorka książki „Pomniki wdzięczności” Armii Czerwonej w Polsce Ludowej i III Rzeczypospolitej, która wkrótce ukaże się nakładem IPN



Fot. East News

## Ostatni 1 Maja

Jakub Szumski

**Obchody 1 Maja – odbywające się w trakcie kampanii wyborczej do parlamentu kontraktowego – musiały być wyjątkowe. W 1989 roku komuniści chcieli wykorzystać święto państwowe, aby zachęcić Polaków do głosowania na koalicję rządzącą. Aby obchody stały się atrakcyjne, wiele należało w nich zmienić w porównaniu z poprzednimi.**

**K**oniec kwietnia 1989 roku. Zakończyły się obrady Okręgowego Stołu, a od miesiąca toczyła się kampania przed czerwcowymi wyborami. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza wyraźnie nie nadążała za konkurentami z Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Kandydatom koalicji, do której wliczano także reprezentantów stronnictw sojuszniczych, nie udawało się przyciągnąć ludzi do udziału w imprezach okołokampanijnych. Brakowało pomysłów. Dla sekretarzy partyjnych z terenu zabieganie o głosy wyborców stanowiło absolutną nowość. „Indolencja, pasywność i przekonanie, że i tak wygramy” – komentował po latach Wojciech Jaruzelski, ówczesny przewodniczący Rady Państwa i I sekretarz KC PZPR.

Niesiony entuzjazmem Komitet Obywatelski, wspierany dodatkowo przez zachodnich doradców, prowadził nowoczesną – jak na ówczesne realia – kampanię. Do udziału w firmowanych przez niego imprezach nikogo nie trzeba było namawiać. Kandydatom towarzyszyli aktorzy i muzycy, często najwybitniejsi polscy artyści tamtego czasu, a nawet gwiazdy z Zachodu, np. piosenkarz Stevie Wonder. Strona opozycyjna zyskiwała przewagę. Kierownictwo PZPR zastanawiało się, jak odwrócić niepokojącą tendencję. Okazją ku temu wydawało się zorganizowanie atrakcyjnych obchodów Święta Pracy.

### Wiec zamiast pochodu

W poprzednich dekadach udział w pochodach pierwszomajowych był w zasadzie obowiązkowy, ale w latach osiem-



dziesiątych zaczęło się to zmieniać. Przychodziło na nie coraz mniej ludzi, po stanie wojennym podziemna Solidarność organizowała kontrmarsze i demonstracje, które zakłócały starannie zaplanowany scenariusz obchodów.

Pod koniec kwietnia 1989 roku w gremiach partyjnych prognozowano, że – podobnie jak w przypadku spotkań wyborczych – obchody 1 Maja mogą się spotkać z bardzo małym zainteresowaniem. Władze PZPR rozważały, jak zapewnić wysoką frekwencję i skłonić ludzi do udziału w uroczystościach, co następnie można by przedstawić jako dowód poparcia koalicji rządzącej. Już we wcześniejszych latach dopuszczano, aby zamiast tradycyjnych pochodów, ciągnących się przez centra miast, urządzać kojarzące się lepiej – a przede wszystkim trwające krócej – wiece. W 1989 roku Biuro Polityczne KC podjęło decyzję, aby także centralne uroczystości w Warszawie przybrały postać „wiecu połączonego z festynem”, a nie przemarszu przez miasto. Główne uroczystości zaplanowano na pl. Zwycięstwa, przed Grobem Nieznanego Żołnierza.

Tydzień przed uroczystym dniem zaczęto przygotowywać Polaków do nowej formuły święta. Nagle w prasie można było przeczytać, że odbywające się od czterech dekad pochody pierwszomajowe były uciążliwe, kosztowne i nienowoczesne. Pozwalano sobie nawet na krytykę rozbuchanych obchodów z przeszłości, zwłaszcza stalinowskiej i gierkowskiej. Za zmianą pochodu na wiec miało się wypowiedzieć 60 proc. warszawiaków.

Mimo sugestii z góry w wielu miastach pozostano przy klasycznej formie pochodu. Tym razem powoływano się na głos opinii partyjnej: członkowie PZPR w Szczecinie miążdzącą większością głosów podjęli decyzję o utrzymaniu sprawdzonej tradycji.

Pewne elementy pozostały bez zmian. W przededniu święta Jaruzelski udekorował w Belwederze wybranych robotników odznaczeniami państwowymi. Podczas toastu – który, jak zaznaczyło „Życie Warszawy”, spełnił wodą mineralną – podkreślał, jak wiele pracy czeka Polskę w najbliższej przyszłości.



Fot. Leszek Łożyński / REPORTER

► Premier Mieczysław Rakowski i przewodniczący Rady Państwa Wojciech Jaruzelski uczestniczą w wiecu, który później uznali za porażkę

W prasie przedrukowywano apele komitetu honorowego obchodów z I sekretarzem Komitetu Warszawskiego PZPR Januszem Kubasiewiczem na czele. Dla inicjatywy, która przedstawiała się jako „reprezentacja lewicy politycznej”, udział w wiecu na pl. Zwycięstwa miał być dowodem poparcia idei Okrągłego Stołu i porozumienia narodowego, a nawet patriotycznym obowiązkiem. Nie udało się jednak przyciągnąć zbyt wielu ludzi znanych i szanowanych. Do warszawiaków, oprócz sekretarzy PZPR i szefów organizacji młodzieżowych, apelowali m.in. dawno już zapomniani działacz komunistyczny Jerzy Albrecht, dyrektor Teatru Żydowskiego Szymon Szurmiej czy bliski władzom pisarz Wojciech Żukrowski. Nazwiska te z pewnością nie mogły zachęcić młodzieży, na której tak koalicji zależało.

### „Tradycyjnie, a jednak inaczej”

Tak właśnie brzmiał tytuł, który „Trybuna Ludu” nadała relacji z wiecu pierwszomajowego w Warszawie. Dużo mówił o tym, jak ten dzień wyglądał. Pogoda

w stolicy nie sprzyjała atmosferze rodzinnego pikniku. Co rusz padało, było zimno, aura nie nastrojała optymistycznie. Zgodnie z planem grupy z poszczególnych dzielnic i zakładów pracy zebrały się o poranku na czterech warszawskich placach. Przemaszzerowały w stronę Traktu Królewskiego, aby się o 10.00 spotkać na pl. Zwycięstwa.

Na pl. Grzybowskim, wśród sztandarów partyjnych oraz czerwonych i białoczerwonych flag, uformowała się kolumna z Wojciechem Jaruzelskim i premierem Mieczysławem Rakowskim na czele. Przy dźwiękach *Warszawianki* ul. Królewską ruszyła w stronę pl. Zwycięstwa. Przewodniczący Rady Państwa i premier złożyli kwiaty na płycie Grobu Nieznanego Żołnierza i zajęli miejsce na trybunie. Na tyłach budynku Teatru Wielkiego zawieszono transparent z hasłami „Patriotyzm – praca – porozumienie – socjalizm”. Po odśpiewaniu *Międzynarodówki* wiec otworzył Janusz Kubasiewicz, przewodniczący komitetu honorowego obchodów. Przekazał głos najważniejszemu z mówców – gen. Woj-

ciechowi Jaruzelskiemu. Przemówienie było utrzymane w optymistycznym, porozumiewawczym tonie. „Pękają kry zimnej wojny. Przemiany w świecie socjalizmu sprzyjają uzdrowieniu klimatu międzynarodowego” – twierdził generał. Najważniejszymi hasłami były zgoda narodowa i wezwanie, aby „zamknąć księgę polskich żalów i goryczy”. Zebrany oszczędzono wielogodzinnych przemówień. Po Jaruzelskim apel o udział w czerwcowych wyborach odczytał Marek Trochim, przewodniczący oddziału warszawskiego Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, wysłuchano hymnu narodowego, wystrzelono 24 salwy armatnie i na tym się zakończyła część oficjalna obchodów. Poza Warszawą wiece odbywały się wedle podobnego schematu. Wysłuchaniu transmitowanego przez radio przemówienia gen. Jaruzelskiego towarzyszyły wystąpienia lokalnych notabli.

Jak oficjalne uroczystości wyglądały z perspektywy ich uczestników? Reportrzy „Życia Warszawy” zauważali, że miasto jest udekorowane skromniej niż przed laty. Zmienił się też zestaw obowiązkowych rekwizytów. Kojarzące się z prze-

szłością wielkie transparenty z hasłami propagandowymi i szturmówki zastąpiono balonikami, chorągiewkami i czapeczkami. Pogoda była kapryśna – pojawiły się więc kolorowe parasole reklamujące centralę budowlaną „Budimex”. Bogatsze zakłady pracy przygotowały dla swoich załóg kolorowe emblematy.

Popołudniowy „Express Wieczorny” cytował wypowiedzi uczestników: dla jednych udział w oficjalnych uroczystościach był czymś zupełnie naturalnym, inni przyszli z ciekawości. „Brak nam tej atmosfery przemarszu. To nic, że swoje trzeba było odstać” – odpowiadał zagadnięty przez „Życie Warszawy” uczestnik wiecu. Innym podobała się nowa formuła. Liczono na to, że w kolejnym roku obchody zostaną przeniesione na Stadion Dziesięciolecia i połączone z zawodami sportowymi. Czuć było poczucie ulgi, że udział w uroczystościach przestał być obowiązkowy. Narzekano zwłaszcza na organizację dzielnicowych przemarszów na plac, wadliwe nagłośnienie, które uniemożliwiało słuchanie przemówień, oraz źle przygotowaną trybunę na pl. Zwycięstwa, na której nie można było dostrzec mówców.

### Kampania przede wszystkim

Obchody 1 Maja zostały prawie całkowicie podporządkowane potrzebom kampanii wyborczej koalicji. W swoim przemówieniu Wojciech Jaruzelski ostrzegał, że „lepszyc czasów nikt nam nie da w prezencje”. Stwierdził, że PZPR nie będzie obiecywać złotych gór, a Polskę czekają lata trudnych reform.

Przez cały dzień zbierano podpisy na listach poparcia i wpłaty na komitet wyborczy. Startujący w wyborach wchodzili w tłum jeszcze przed rozpoczęciem wieców i namawiali do głosowania. W prasie każda relacja z uroczystości była okazją do zaprezentowania kandydatów koalicji. W kawiarniach na warszawskim Nowym Świecie zorganizowano dyskusje przedwyborcze z lokomotywami kampanii PZPR: Aleksandrem Kwaśniewskim, Józefem Oleksym, Stanisławem Cioskiem i Alfredem Miodowiczem. W innych lokalach można było zobaczyć kandydujących do sejmu lub senatu dziennikarzy, artystów i naukowców – naturalnie tylko tych, którzy zgodzili się firmować koalicję rządzącą. W siedzibie Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego zorganizowano debatę nad reformami ▶

▶ „Precz z komurą” i „Chodźcie z nami, dziś nie biją” – zachęcali uczestnicy pochodu NZS i Solidarności





Fot. PAP / Jan Bogacz

gospodarczymi, w której brylował minister przemysłu Mieczysław Wilczek. W Międzynarodowym Klubie Prasy i Książki odbyła się ostatnia konferencja prasowa Jerzego Urbana, przewodniczącego Komitetu ds. Radia i Telewizji, starającego się o mandat z puli dla bezpartyjnych; pytania mogli zadawać zwykli warszawiacy. W Chełmnie sensacją była loteria fantowa, z której dochody zasiły fundusz wyborczy PZPR. Pomysł był dobry, losów jednak zabrakło ponoć już po trzech godzinach zabawy. Kandydaci towarzyszyli wyborcom także na organizowanych tego dnia festynach i imprezach na świeżym powietrzu, ale starali się ich nie zdominować.

### „Dziś nie biją”

Porzuconą przez PZPR ideę pochodu pierwszomajowego przejęły Solidarność – niedawno na nowo zarejestrowana – i wciąż nielegalne Niezależne Zrzeszenie Studentów. Stutysięczny pochód w Warszawie przeszedł z kościoła św. Stanisława Kostki na Żoliborzu na Podzamcze. „Chodźcie z nami, dziś nie biją” – skandowano hasło sprawdzone w stanie wojennym. Młodzież obstawała przy tradycyjnym „Precz z komuną”. Na Podzamczu odbył się wyborczy miting, podczas którego przemawiał Zbigniew

► A jednak bili; demonstracja NZS tłumiona przez milicję

Bujak, szef Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”. Zaprezentowano kandydatów do sejmu i senatu. Solidarność uznała pochód za wielki sukces. „Takiego poparcia nie spodziewali się chyba najwięksi optymiści” – informował drugoobiegowy „KOS”. Prawdziwym ewenementem były obchody w Wałbrzychu, w których ramię w ramię uczestniczyły delegacje partyjna i solidarnościowa.

Nie obyło się bez starć ulicznych z milicją. Do największego – jak pisała prasa – „zakłócenia powagi święta” doszło we Wrocławiu. Solidarność Walcząca – przeciwna porozumieniom okrągłostołowym – zorganizowała nielegalną manifestację, wywiązały się walki uliczne, milicja użyła armatek wodnych. Na nic się zdały uspokajające apele legendy Solidarności Władysława Frasyniuka, który w centrum miasta z megafonem próbował nakłonić młodzież do rozejścia się. Siedemnaście osób zatrzymano. Także w Warszawie SW protestowała przeciwko porozumieniom Okrągłego Stołu – hasła przeciwko komunistom mieszały się z tymi wymierzonymi w Lecha Wałęsę. Na Nowym Świecie, kilkadziesiąt metrów od miejsc, w których odbywały się imprezy pierwszomajowe, na milicjantów posypały się kamienie.

W Gdańsku do bojkotu wyborów kontraktowych wzywali sympatycy Federacji Młodzieży Walczącej i Andrzej Gwiazda. Trzeba jednak przyznać, że protestów i starć z ZOMO było znacznie mniej niż jeszcze rok wcześniej.

### Dla każdego coś miłego

Niepolityczne, rodzinne imprezy rozpoczęły się już w weekend poprzedzający Święto Pracy. W Warszawie władze dzielnic zapraszały na projekcje filmowe, kiermasze, pokazy musztry wojskowej, występy kabaretowe, a nawet cyrkowe. Przewidziano też atrakcje dla najmłodszych. W stołecznym parku Szczęśliwickim kabaret dziecięcy „Małpet Szał” – zapewne wariacja na temat amerykańskiego oryginału *Muppet Show* – prezentował znany aktor Wojciech Pokora. Wielu warszawiaków – korzystając z długiego weekendu (1 maja wypadła w poniedziałek) – wyjechało na działki poza miastem.

Miejscem „centralnego festynu” był Trakt Królewski. Na Nowym Świecie – „majowym deptaku”, jak pisała „Trybuna Ludu” – do wspólnej zabawy zapraszali występujący w roli konferansjerów popularni prezenterzy „Teleexpressu”. Grały zespoły jazzowe i *country*, zorganizowano



wano giełdę płytową i księgarską. Każdy mógł spróbować swoich sił na scenie w konkursie piosenki. Źle oceniano imprezy odbywające się na Rynku Starego Miasta – występów było mało i były nudne. Trochę ożywienia wprowadził dopiero tradycyjny Koncert Przyjaźni, podczas którego prezentowali się wykonawcy z krajów socjalistycznych.

W Krakowie główną atrakcją stanowił targ staroci na Rynku. W innych częściach miasta proponowano pokazy skoków spadochronowych i jazdy konnej. Dla aktywnych przewidziano bieg wokół Błoni. W Białymstoku, jak pisała „Trybuna Ludu”, główna ulica zamieniła się w „pasaż gastronomiczno-handlowo-rekreacyjny”, za darmo można było zwiedzać muzea i placówki kulturalne. W Koszalinie na stadionie lokalnej Gwardii odtąńczono poloneza na kilkaset par. Zapytany o opinię uczestnik festynu w Chorzowie odpowiadał: „Nareszcie jest okazja do autentycznego wypoczynku, zniknęła sztampa i sztuczność”.

Dla wielu uczestników głównym powodem przyjscia na festyny pierwszomajowe była możliwość zakupu towarów na co dzień niedostępnych. W miastach, w których były organizowane takie imprezy, swoją obecność zaznaczał rodzący się kapitalizm. Wiele festynów po prostu zamieniło się w wielkie bazyry. Kupić można było wszystko: od papieru toaletowego, przez plakaty z amerykańskimi

gwiazdami, aż po opony samochodowe. Sprzedawano pamiątki, słodczyce i zabawki. Towary z zachodniego importu oferowały firmy polonijne.

Przez cały dzień czynne były punkty gastronomiczne – królowały kielbaski i parówki. Sprzedawano też mięso i szynkę. Ograniczona oferta tych – jak nazywał je „Dziennik Telewizyjny” – obwoźnych bufetów nie satysfakcjonowała cytowanych w prasie uczestników imprez pod chmurką. Czuło się powiew Zachodu: w Piotrkowie Trybunalskim uczennice szkół średnich prezentowały układ taneczny do melodii *We Are The World*, amerykańskiego przeboju z roku 1985, a na gdańskim Długim Targu powracających z wiecu witały postaci przebrane w stroje Myszyki Miki i innych bohaterów filmów Disneya.

### Pogrzeb zamiast festynu

Nazajutrz po święcie robotniczym jego przebieg określono jako spokojny. Biorąc pod uwagę, że PZPR zmierzała do aktywizacji społeczeństwa i wzbudzenia w nim radości, nie mogła to być dla władz ocena satysfakcjonująca. Wojciech Jaruzelski nie był zadowolony. Przebieg obchodów porównał do panichidy – uroczystego nabożeństwa żałobnego w tradycji prawosławnej. Tymczasem wieczorny „Dziennik Telewizyjny” pokazywał huczne pochody w Pradze i Berlinie, pełne transparentów i portretów przywódców. Marnym pocieszeniem było to, że przemarsze nie odby-

ły się też w Budapeszcie i Sofii. Podobnie jak niektórzy uczestnicy wiecu, Jaruzelski zwracał uwagę na wadliwe nagłośnienie na pl. Zwycięstwa, słabą frekwencję, niezdyscyplinowanych słuchaczy, którzy urządzali sobie spacer w czasie przemówień. Wedle dyspozycji, media miały się wypowiadać w pochlebnym tonie o spokojnych pochodach Solidarności, ale także potępiać nielegalne manifestacje i sytuacje, w których dochodziło do starć z milicją. Także Mieczysław Rakowski ocenił, że centralny wiec był mdły, i uznał go za porażkę władz. Jeżeli majowe święto traktować jako rodzaj ulicznego sondażu i możliwości policzenia się, zdecydowanie bardziej widoczne były imprezy organizowane przez Solidarność.

Polityczne podsumowanie było niejednoznaczne. W konfrontacji z wyborcami dobrze wypadli talentowani politycy młodszej generacji i doświadczeni współpracownicy gen. Jaruzelskiego. Dużo słabiej zaprezentowali się działacze nieprzyzwyczajeni do kontaktu ze zwykłymi ludźmi. Potwierdzało to bolączki pezetpeerowskiej kampanii – mogli się w niej wybić zdolni politycy, ale nie było ogólnej koncepcji jej prowadzenia. Rezygnacja z pochodów nie dała żadnych wyraźnych rezultatów. W ostatnim miesiącu kampanii partia starała się mobilizować kandydatów do bardziej energicznych działań. Czas pokazał, że na niewiele się to zdało. 🇵🇱

**Jakub Szumski** – historyk, doktorant w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk, laureat tegorocznej edycji konkursu na Najlepszy Debiut Historyczny Roku



# W wileńskiej konspiracji **cz. 1**

## – relacja Stefanii Szantyr-Powolnej

*Piękno Wilna nie kończy się na jego krajobrazie, ono się raczej dopiero od niego zaczyna i snuje dalej swój czar w bryłach i szczegółach budynków, miasto tworzących (Juliusz Kłós).*

„Moje dzieciństwo przebiegało jeszcze w latach przedwojennych w Wilnie. To były lata cudowne. Ta ciepła atmosfera rodzinna zawsze mnie jakoś wzbogacała i uduchowiała. W moim domu często były spotkania, tatuś bardzo lubił widywać się z kolegami [...] zaczynał te spotkania zawsze pieśnią *Gaudeamus igitur*, ale potem były różne pieśni patriotyczne, żołnierskie. Dużo się mówiło o [Józefie] Piłsudskim, o [Józefie] Hallerze. Zresztą moi rodzice brali czynny udział w zdobywaniu Wilna [...]. Z domu rodzinnego wyniosłam więc atmosferę patriotyczną.

Mój ojciec był farmaceutą, przez jakiś czas nawet wojewódzkim. W urzędzie zresztą poznał moją mamę. Miał też własną aptekę. Był cudownym, kochanym człowiekiem. Rodowody zdobywane przez mojego ojca zaginęły, ale brat stryjeczny, Waclaw Szantyr, bardzo dbał o to, żeby zachować te dokumenty. Niestety Waclaw poległ w 1939 roku, służył w kawalerii”.

Stefania wcześniej zaczęła się interesować polityką.

„Po śmierci Piłsudskiego i po objęciu rządów przez [Edwarda] Rydza-Śmigłego dotarła do mojej świadomości polityka. W szkole bardzo dużo się o tym mówiło. Mając 10 czy 11 lat, napisałam nawet takie wystąpienie o tym, że Piłsudski nas uczył, że idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, tak jak kiedyś był wyścig krwi i wyścig żelaza. To było bardzo poważne i nawet grono pedagogiczne się dziwiło, że ja w taki sposób potrafiłam pisać. Wtedy właśnie miałam takie pierwsze przeblyski, że oprócz domu rodzinnego, tego ciepła, spokoju,



Fot. Rafał Pękala

bezpieczeństwa, jest jeszcze dom ojczysty, jest ojczyzna, która ma granice, ma konkretny obszar, jest naród”.

Wszystko to działo się w „magicznym i kochanym” mieście – w Wilnie.

„Byłam uczennicą szkoły powszechnej numer 9, która mieściła się przy ulicy Krakowskiej. To była jedna z dobrze postawionych szkół, prowadziła ją pani dyrektor Kuncewiczówna. Grono nauczycielskie było bardzo dobrze dobrane i wyjątkowe. [...] Uczniów obowiązywały mundurki z kołnierzem marynarskim. W tym okresie należałam też do trzeciej drużyny harcerskiej. W szkole bardzo dużo się uczyliśmy, również na pamięć. Były też doskonałe lekcje śpiewu, które prowadziła pani Tyszkiewiczówna. Chór był tak dobry, że występowałyśmy nawet w radio. Rano, po dzwonku, lekcje zaczynały się modlitwą i dopiero potem rozchodziliśmy się do klas. Nie można było się spóźniać, a na przerwie robiliśmy, co mogliśmy, żeby tylko się wyszumić. Panowała duża dyscyplina i poczucie obowiązku, nie przypominam sobie, żeby były jakieś wykroczenia wymagające kar. W klasie, w której ja byłam, kary się

**Stefania Szantyr-Powolna**  
– córka hrabiego Bolesława Ursyn-Szantyra i Emilii z Ostrowskich, ur. 30 lipca 1924 roku w Wilnie, harcerka. W wieku 15 lat wstąpiła do konspiracji. Brała udział w operacji „Ostra Brama”. Została aresztowana przez NKGB w grudniu 1944 roku i poddana brutalnemu śledztwu.

nie zdarzały. Kilka moich koleżanek także znalazło się później w konspiracji.

Po skończeniu siedmiu klas szkoły powszechnej zdawałam do gimnazjum kupieckiego. Byłam bardzo dobrą uczennicą [...].

Wilno było miastem magicznym, było kochane, takie sympatyczne oraz bezpieczne. To był oczywiście czas wchodzenia przeze mnie we wczesną młodość i wspominam to jako bardzo dobry czas. Moje życie zajmowała wtedy nauka, zabawy, czas wolny. [...]

Wakacje spędzałam często pod Wilnem, w Jerozolimce. Raz wyjechaliśmy na obóz z elementami musztry wojskowej, przygotowany przez Przysposobienie Obronne Kobiet, do którego należałam. Nie wiem, czy o tym wypada mówić, ale również tam zdobyłam pierwsze miejsce w konkursie piękności”.

Sielską i magiczną atmosferę zburzył wybuch II wojny światowej. Świat, w którym żyła do tej pory młoda Stefania, runął.

„Nie pamiętam konkretnie 1 września 1939 roku, ale wiadomość o tym, że zaczęła się wojna, bardzo nami wszystkimi

wstrząsnęła; to wszystko, czym żyliśmy – rodzina, ojczyzna, spokój – [...] zostało zakłócone. Młodzież była absolutnie zdeorientowana, nie wiedzieliśmy, co robić.

Jak sobie przypominam, wejściu wojsk sowieckich [do Wilna – 19 września 1939 roku] towarzyszył okropny zapach. Żołnierze mieli karabiny przewieszane na sznurkach, buty zawiązane również sznurkami. Sowietci jeździli autami, na stopniach stali najczęściej Żydzi z czerwonymi chorągiewkami i coś krzyczeli. Chowaliśmy się do domów, wszyscy bardzo przerażeni. Moja mama bardzo płakała, mówiła, że już jedną wojnę przeżyła. Tata natomiast zachował spokój.

Szkoła przez pierwsze dni była zamknięta, później wróciliśmy do gimnazjum. Litwini wprowadzili język litewski na uniwersytecie i w szkołach jako język wykładowy. Zaczął się ogólny strajk szkół, nie chodziliśmy wtedy na lekcje dłuższy czas. Efekt tego strajku był taki, że jednak pozostawiono wykłady język polski i litewski jako przedmiot [dodatkowy]. Ja wraz z grupą dziewcząt zostałam wyrzucona z gimnazjum z wilczym biletem. Dopiero po kilku miesiącach dostałam wezwanie i na wiosnę mogłam wrócić do szkoły.

Ulica Mickiewicza była miejscem spotkań młodzieży, usiana czapkami studentów i uczniów. Zdarzało się również, że policja litewska karała młodzież za używanie polskiego języka i rozganiała polską ludność w czasie nabożeństw w kościele. Ja również byłam zmuszona uciekać kilka razy z kościoła”.

W 1939 roku piętnastoletnia Stefania wstąpiła do konspiracji. W podziemiu otrzymywała różne zadania, które wymagały nie tylko przebiegłości i odwagi, lecz również odporności psychicznej i wytrzymałości fizycznej.

„Jakiś miesiąc po rozpoczęciu wojny spotkał mnie starszy kolega z harcerstwa, który powiedział, że oni wiedzą, co robić. Pamiętam, to już była głęboka jesień, bo być może spadł już śnieg, w jakimś domu na Śnipiskach zostałam zaprzysiężona i wtedy otrzymałam pseudonim »Hanka«, i nigdy go nie zmieniłam. To było bardzo silne wrażenie, nie pamię-

tam nawet, przed kim składałam przysięgę, ale poczułam się taka bardzo dorosła. Jednak mój dziecinny wygląd posłużył do tego, że mogłam przenosić broń, meldunki, wiadomości. Wkrótce zaczęła się ukazywać prasa podziemna, więc myśmy roznosiły ulotki i prasę wszędzie, gdzie było można. Korzystając z różnych przyjaźni i znajomości, wciągaliśmy do konspiracji coraz więcej osób, oczywiście tych, którym można było zaufać.

Wkrótce przesłam szkolenie sanitarno-łącznościowe. Jeśli chodzi o [...] stronę sanitarną, to były bardzo poważne wykłady. Chirurgii uczył nas profesor Michejda [Kornel Michejda (1887–1960) – polski chirurg, wykładowca m.in. na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie]. Na jednym ze spotkań z moją pomocą profesor demonstrował, jak należy wykonywać opatrunki. Pamiętam miejsce szkolenia bardzo dobrze. Kilka lat później odwiedziłam ten dom, ale już w innym celu. Mieszkał w nim profesor [Stanisław] Hiller, któremu dostarczyłam z oddziału list od jego syna, Janka Hillera. Janek zginął w czasie akcji »Ostra Brama«. I pamiętam, że jak przyszedł do oddziału, to prosił, żeby przekazać rodzicom, że on nadal bardzo pilnie się uczy i nic nie traci.

Zasady konspiracji były m.in. takie, że używaliśmy pseudonimów, nie znaliśmy się z nazwiska. Poza tym spotykaliśmy się w dwie, trzy osoby, nie więcej. W mieszkaniu przy ul. Połockiej spotykaliśmy się w większym gronie, ale zawsze pod po-

zorem jakiejś prywatki lub innego wydarzenia. Jednak zawsze były to osoby zaufane. Najczęściej słuchaliśmy wtedy wolnego radia. Naszymi miejscami kontaktowymi były m.in. kościół p.w. św. Katarzyny i poczta przy ul. Kalwaryjskiej”.

Stefania Szantyr przywołuje kilka wydarzeń, które najbardziej zapadły jej w pamięć. Wielokrotnie sprzyjało jej szczęście, wykazała również opanowanie i spryt. Skutki wpadki mogły być jednak tragiczne.

„Czułam się bardzo dobrze przeszkolona, ale kiedy przyszedł do mnie kolega z oddziału z raną postrzałową głowy i zobaczyłam wędrującą w tej ranie wesz, to wtedy ja wymagałam pomocy. Nie wrócono mi przyszłości lekarskiej. Ale wydaje mi się, że wtedy każdy, kto mógł, brał jakiś udział w konspiracji. Później zaczął funkcjonować nawet konspiracyjny uniwersytet.

Jeśli chodzi o sprawy łączniczek, to trochę lepiej się tutaj sprawowałam. Nosiliśmy różne meldunki, zbierałyśmy materiały, na przykład potrzebne do wyrabiania fałszywych dokumentów. Pamiętam taką przygodę. Byłam w grupie z koleżanką, Stasią Stępniakową, pseudonimu nie pamiętam. Wracałyśmy z oddziału i ja miałam bardzo dużo listów do przekazania od kolegów. Nie zdążyłyśmy do Wilna przed godziną policyjną. Kiedy przekroczyłyśmy Ostrą Bramę, zatrzymał nas patrol. Litwini zaprowadzili nas do komisariatu. A ja jeszcze wcześniej, ▶

▶ Zaświadczenie Stefanii Szantyr (w języku litewskim) potwierdzające uczęszczanie do gimnazjum kupieckiego, 1940 rok



przed dotarciem do miasta, wyprułam zaszyte w podszewce listy i schowałam je do kieszeni. Cały czas myślałam, co zrobić z tymi listami, bo na pewno zostanie dokonana rewizja. Wewnątrz budynku na terenie komisariatu udało mi się wrzucić listy do skrzyni stojącej na korytarzu i na szczęście żaden z Litwinów tego nie zauważył. W nocy, w celi, cały czas rozmawialiśmy z koleżanką, w jaki sposób wydobyć potem te listy. Rano rzeczywiście przeprowadzono rewizję osobistą. Kiedy wyprowadzono nas na korytarz, zaczęłam głośno krzyżeć na strażnika, udając, że spada mi spódnica. Kiedy ten odwrócił się i cofnął się, sięgnęłam do skrzyni i zabrałam listy. Po wyjściu na zewnątrz szłyśmy spokojnie, ale za pierwszym zakrętem nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Jednak dość często zdarzało się, że przekraczałyśmy godzinę policyjną. Trzeba było chować się w bramach”.

Pani Stefania brała również udział w operacji „Ostra Brama”, prowadzonej w ramach akcji „Burza”.

„Cała konspiracja przygotowywała się do tego, żeby organizować partyzantkę i żeby nasi chłopcy szli do lasu. Zbiegaliśmy już wtedy różne materiały opatrunkowe, które mogły być potrzebne. Czasami trafiały się zadania, nazwijmy je, wywiadowcze. Na przykład mieliśmy wypytać [...] na temat rzekomej współpracy z Niemcami jednego z akowców z trzeciej brygady. To było niefortunne zadanie, ponieważ zdekonspirowałam się przed nim. Jednak okazało się później, że zarzuty o współpracę były prawdziwe, co więcej, brała w tym udział również jego żona, przy której znaleziono dowody świadczące o tym. Oboje zostali zlikwidowani.

Muszę powiedzieć, że kiedy przyszedł rok 1944, wszyscy byliśmy gotowi do walki. Ja cały czas byłam w Wilnie, ale miałam stały kontakt z chłopcami w lesie. Nieraz przychodzili do mnie i prosili o załatwienie różnych spraw, na przykład o zorganizowanie lokum, załatwienie dokumentów. Tak nastąpił moment akcji »Burza« – akcja »Ostra Brama«. Byłam wtedy nadal w Wilnie. W szkole numer 9 zorganizowany był punkt sanitarny i ja zostałam tam przydzielona. Oprócz na-



▶ Stefania Szantyr ze Zbyskiem Konopackim „Hultajem”

szych chłopców przywieziono tam nawet kilku Niemców. W czasie mojej nieobecności punkt ten został zniszczony.

Podczas akcji prawie wszyscy się zdekonspirowali – nosiliśmy na ramionach opaski, spotykaliśmy się z innymi konspiratorami, łączyliśmy się w grupy. Bardzo szybko potem zwłaszcza Litwini nas znaleźli i zaczęły się aresztowania, już w listopadzie. Na mnie padło w grudniu”.

Porządek zaprowadzony przez kroczącą na zachód Armią Czerwoną okazał się zgubny dla większości żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego. Nie inaczej

było z osobami należącymi do AK na terenie Wileńszczyzny.

„Zanim nastąpiło moje aresztowanie, do Wilna weszli Sowieci. Próbowaliśmy jakoś się ukrywać. Podjęłam pracę w sekretariacie dyrekcji kolejowej. Oczywiście dyrektorem [...] został Rosjanin. I moje aresztowanie nastąpiło właśnie tam. Naczelnik poprosił mnie do siebie do gabinetu i powiedział, że przydzieli mi dwóch pomocników, z którymi mam gdzieś się udać i załatwić coś na rzecz biura. Razem zeszliśmy do podziemi budynku dyrekcji. Wprowadzono mnie do pokoju, gdzie znajdował się bardzo niesympatyczny pan. Zostałam aresztowana, a on od razu powiedział, żebym się przyznała, że należę do organizacji, która dąży do oderwania ziem rosyjskich. Oczywiście wszystkiego się wyparłam. Nie wiedziałam tylko, z której strony nastąpiła »wyspa« i kto mógł donieść. Przez 36 godzin, bez jedzenia i picia, toczyło się śledztwo. Przyszedł do mnie także oficer, który odwiedzał naczelnika mojego biura i często do mnie zaglądał. Mówił, że przypominam mu jego córkę. Przekazał mi informację, że doniosła na mnie koleżanka z konspiracji, Halina Wojnicz, i wszystko im o mnie powiedziała, dlatego lepiej w tej chwili nic nie ukrywać i przyznać się do zarzutów. Ja nadal do niczego się nie przyznawałam, uważałam, że jest to prowokacja. W czasie śledztwa byłam bita, miałam złamany nos, byłam zamroczona. Śledczy w przypływie wściekłości powiedział

▶ Stefania Szantyr z kolegami z konspiracji



Fot. ze zbiorów Stefanii Szantyr-Powolnej

Fot. ze zbiorów Stefanii Szantyr-Powolnej



► Zaświadczenie w języku litewskim, datowane na 17 maja 1940 roku, stwierdzające, że uczennica wileńskiego gimnazjum Stefania Szantyr zostaje usunięta ze szkoły w związku z niewłaściwym zachowaniem

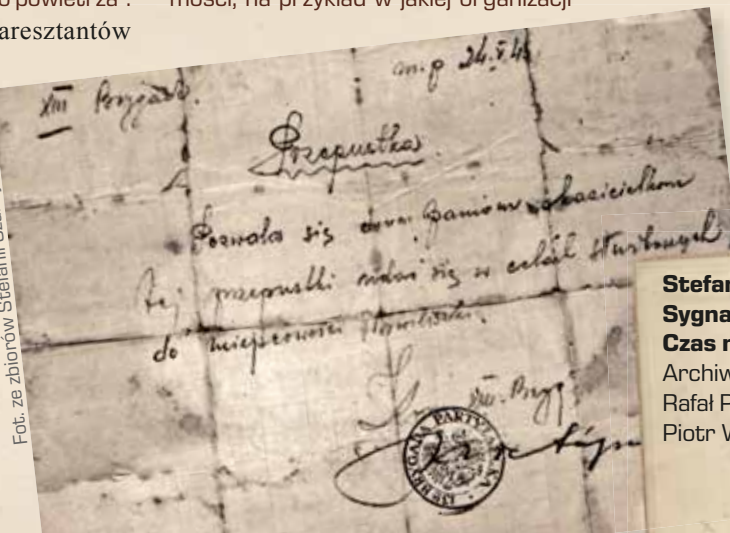
mi, że jestem jak żelazo i gdyby wszyscy byli tacy, to może mielibyśmy swoją Polskę. Dla mnie to był duży bodziec i tylko pomógł mi się dalej trzymać.

Po tych 36 godzinach zaprowadzono mnie do celi znajdującej się również na terenie budynku dyrekcji kolei. W tej celi było bardzo ciasno i do tego ciemno, nikogo nie widziałam. Koleżanki niedoła poczęstowały mnie chlebem, który jednak dziwnie chrząścił w czasie jedzenia. Później okazało się, że w celi było tak dużo wszy, że wchodziły one nawet do chleba. Nazajutrz zostałam przeniesiona do innej celi, przekształconej na ten cel z toalety. Na ścianach znać było ślady po instalacjach sanitarnych. Było to pomieszczenie wielkości kilku metrów kwadratowych, a zamknięto w nim kilkadziesiąt osób. Strażnikiem przy tej celi był Żyd polskiego pochodzenia – Rabinowicz – i darzył nas wszystkich sympatią. Prosił mnie często, żebym śpiewała, akurat wtedy dobrze śpiewałam, siedział w otwartych drzwiach, a wszystkie cieszyliśmy się, bo w tym czasie do celi wpadało trochę świeższego powietrza”.

Sposób traktowania aresztantów przez funkcjonariuszy sowieckich rozwiał nadzieje na dalszy pomyślny los. Wyroki skazujące uczestników konspira-

► Przepustka wystawiona przez dowódcę brygady „Nietoperza”, z 24 maja 1943 roku

Fot. ze zbiorów Stefanii Szantyr-Powolnej



**Stefania Szantyr-Powolna**

**Sygnatura:** N-0760/2014

**Czas nagrania:** 3 godziny

Archiwum Historii Mówionej BEP IPN,  
Rafał Pękała, Tomasz Piotrowski,  
Piotr Wiejak

cji na wieloletnią pracę w obozach były istotnym elementem polityki realizowanej przez ZSRR względem Polaków.

„W tej celi doczekałam [...] 27 marca, kiedy zabrano nas na górę na rozprawę. Wraz z koleżankami bardzo starałyśmy się, żeby dobrze wyglądać – uczesane włosy, wygładzone spódnice. Było nas dwanaście osób, w tym dwóch mężczyzn. Rozprawa trwała kilkanaście godzin. Kiedy ogłoszono wyroki, nie chcieliśmy wierzyć, więzienie wydawało nam się abstrakcyjne. Pozbawienie praw obywatelskich, konfiskata mienia i w moim przypadku 10 lat więzienia.

Po rozprawie przewieziono nas do centralnego więzienia na Łukiszkach. Tam zamknięto nas w dużej celi, w której przebywało około sześćdziesięciu kobiet. Niedaleko więzienia znajdował się kościół św. Jakuba i w czasie Wielkanocy słyszałyśmy bicie dzwonów z tego kościoła.

W pamięć zapadło mi jeszcze takie wydarzenie. Wśród zamkniętych w celi osób krążyła kobieta, każdej z nas wróżyła i przy okazji wyciągała różne wiadomości, na przykład w jakiej organizacji

pracowałyśmy. Przypomniałam sobie, że ja już tę kobietę wcześniej spotkałam. Była posądzona o współpracę z Niemcami przeciwko polskim partyzantom. Oczywiście głośno podzieliłam się swoją wiedzą z koleżankami, nastąpiło poruszenie w celi, a owa kobieta została wyprowadzona przez wartownika i więcej jej już nie widziałyśmy.

W więzieniu na Łukiszkach wyprowadzano nas raz lub dwa razy na dobę do toalety. Nie było warunków, żeby zadbać o higienę, a posiłki wydawano w brudnych puszkach. Ponadto nadal, głównie wieczorami, prowadzono śledztwa. Nie miałam żadnego kontaktu z rodziną. Kilka razy udało mi się tylko przemyć grypsy, które odbierał strażnik, ale nigdy nie wiedziałam, czy dotrą do moich bliskich. Już po latach dowiedziałam się, że jednak wiadomości te zostały przekazane.

1 maja wyprowadzono nas z celi, nakazano nam zabrać nasze rzeczy. Sowieci formowali transport, nasza grupa kobiet zamykała kolumnę. Za nami była już tylko sfora ujadających psów. Na dworcu kolejowym zapędzono nas do brudnych, bydłowych wagonów.

3 maja transport ruszył...

Wierzyłyśmy w jakiś cud, że transport jeszcze się zatrzyma, ale on wciąż pędził do przodu. Po kilku dniach na zewnątrz dało się słyszeć krzyki. Konwojent z radością poinformował nas o zakończeniu wojny. Łudziłyśmy się, że w takich okolicznościach wszystko się wyjaśni i będziemy mogły wrócić do domów. Ale pociąg jechał dalej...”

Stefania Szantyr-Powolna trafiła do obozu pracy w Uchcie, a następnie w Workucie. Pracowała m.in. przy wycięciu lasu i w obozowym laboratorium. O tej części jej życiorysu opowiemy w następnym numerze. ■

oprac. Piotr Wiejak

# Orzeł z ładownicy Henryka Szczyglińskiego

Tomasz Zawistowski



Fot. ze zbiorów autora

Orły przeznaczone do noszenia na czapkach bywały wykorzystywane również jako ozdoba innych elementów umundurowania i uzbrojenia. Nakładano je na klamry pasów, rękojeści bagnetów, ułańskie etyszkiety i paradne ładownice oficerskie. Na przykładzie takiej ładownicy, stanowiącej pamiątkę po ułanie i malarzu Henryku Szczyglińskim, można prześledzić narodziny mody na używanie przez oficerów polskiej kawalerii zdobycznych ładownic uzupełnianych polskimi orłami.

► Rosyjska ładownica oficera kawalerii wz. 1889 z nałożonym polskim orłem, pamiątka po Henryku Szczyglińskim, podporuczniku 2. Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich

**L**ato roku 1916 było dla Legionów Polskich okresem przełomowym. Po zimie i wiosnie spędzonych na Wołyniu, w zbudowanym własnymi rękami obozie zwanym Legionowem, nastąpiła katastrofa Kostiuchnowki. Rozpoczęta w czerwcu ofensywa gen. Aleksieja Brusilowa dotarła w początku lipca do pozycji zajmowanych przez Legiony. Bitwa pod Kostiuchnowką, która stanowiła tylko część znacznie szerszej operacji militarnej, zmierzającej do przełamania frontu, dla Legionów była największą i najkrwawszą bitwą w ich historii. Poniesione wówczas straty przekroczyły 2 tys. żołnierzy

zabitych, rannych i wziętych do niewoli z ogólnej liczby 15,7 tys. legionistów w formacjach liniowych. Ale – nawet chwilowe – powstrzymanie ofensywy rosyjskiej było jedną z przyczyn, które pozwoliły wojskom państw centralnych na zatrzymanie Brusilowa na umocnionej linii Stochodu. Postawa Legionów wzbudziła uznanie sztabowców niemieckich i austro-węgierskich, szczególnie na tle porażek ponoszonych przez ich wojska. Zmieniło się dotychczasowe postrzeganie polskich formacji przez pryzmat ich wewnętrznych swarów i kłótni. Niemiecki szef sztabu na froncie wschodnim, gen. Erich Ludendorff, napisał 17 lip-

ca 1916 roku: „Nadal świństwo u Austriaków [...]. Wzrok mój znów zwraca się na Polskę. Polak to dobry żołnierz. Gdy Austria zawodzi, my musimy się postarać o nowe siły. [...] Trzeba zrobić Wielkie Księstwo Polskie z Warszawą i Lublinem, a następnie armię polską pod niemieckim dowództwem”. I dlatego krwawe straty pod Kostiuchnówką przyczyniły się do ogłoszenia Aktu 5 Listopada i proklamowania Królestwa Polskiego, jak również do przekazania Legionów pod dowództwo niemieckie.

### Warszawa w niemieckich rękach, Polacy w niemieckich mundurach

Nowe umundurowanie, które wprowadzono dla Legionów, nazywanych po zmianie podległości Polską Siłą Zbrojną, pochodziło z magazynów niemieckich, co budziło wśród mieszkańców dawnego Królestwa Kongresowego dość niemiłe skojarzenia. Generał Kajetan Olszewski, były dowódca Brygady Strzelców Polskich walczących u boku Moskali, tak oceniał sytuację: „Na ulicach [Warszawy] oficerów niemieckich niewiele spotyka się, więcej żołnierzy, są i legionieści, ubrania ich takie same, jak u Niemców, tylko orzełek na czapce, ale jest i gwiazdka niemiecka”.

Polscy żołnierze, szczególnie oficerowie, zdając sobie sprawę z istniejącego stanu rzeczy, dążyli do umieszczania na mundurach możliwie dużej liczby elementów narodowych. Nosili co prawda polskie orły na czapkach i guzikach oraz legionowe odznaki pamiątkowe na mundurach, niemniej ich oznaki stopni naprawdę bardzo przypominały niemieckie. Polskie orły umieszczano wobec tego na klamrach pasów i na broni białej – na kapturkach szabel i na rękojeściach bagnetów, a także na kawalerskich, oficerskich ładownicach.

W latach I wojny światowej oficerowie kawalerii austro-węgierskiej i rosyjskiej używali ładownic, których srebrne pokrywy zdobiły dwugłowe orły. W drugiej połowie 1916 roku wśród oficerów kawalerii polskiej zapanowała moda na takie same,

a w zasadzie na te same ładownice – rzecz jasna, już z polskimi orłami. Paradne ładownice noszono początkowo w 1. i 2. pułku uła-

nów. Po odzyskaniu niepodległości fason ten został przeniesiony do kolejnych, nowo powstających pułków, mimo że nie był zatwierdzony w regulaminie. Oficerowie kawalerii jeszcze w początkach lat dwudziestych występowali w nieregulaminowych ułankach uzupełnionych pięknie błyszczącymi ładownicami z orłami na pokrywach. Zwyczaj ten powoli zanikał, ale w Szwadronie Przybocznym Prezydenta RP przetrwał aż do rozwiązania tego oddziału w 1926 roku.

Pierwsze ładownice z polskimi orłami produkowano w 1916 roku w Warszawie. Ich wytwórcą była firma M. Grynszpan, mająca doskonałą lokalizację przy ul. Miodowej 8. W księdze adresowej – wydanej w 1916 roku, a skierowanej głównie do klientów niemieckojęzycznych – Grynszpan oferował duży wybór rosyjskich kordzików, szpad i innej broni białej do nabycia jako pamiątki z Warszawy. Oferta ta najwyraźniej była adresowana do tych wojskowych niemieckich, którzy nie mieli okazji zdobyć trofeów na polu bitwy.

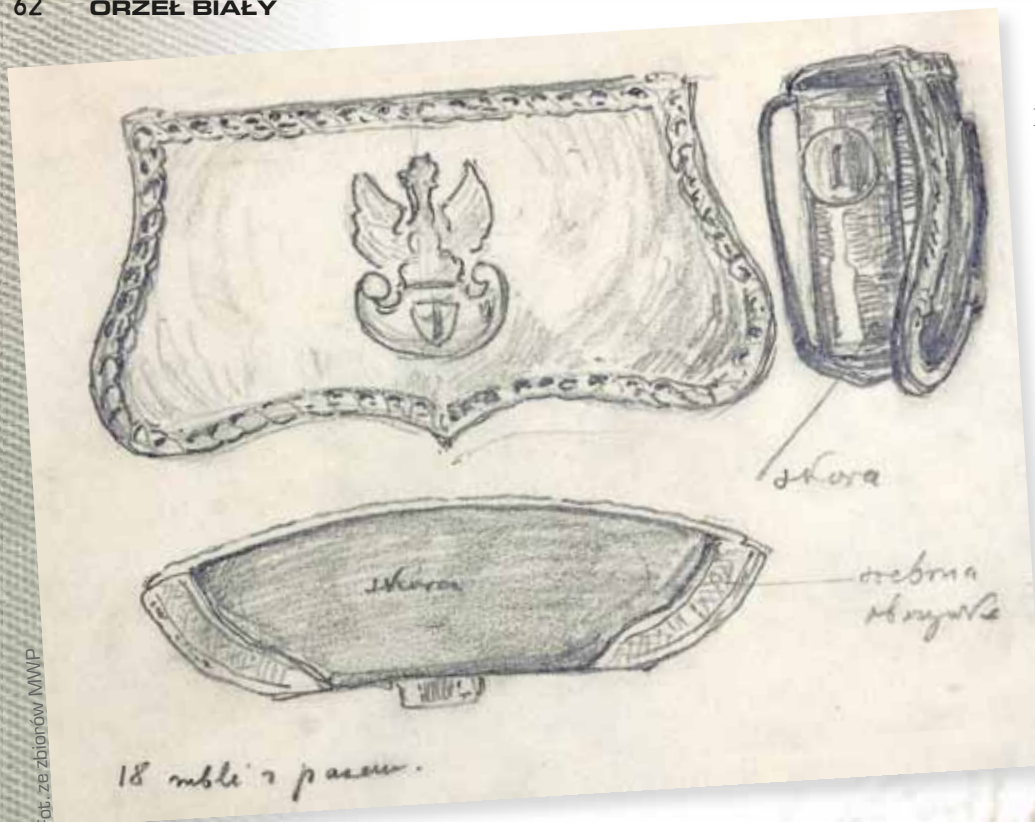
Ładownice oferowane polskim kawalerzystom przez firmę Grynszpan również pochodziły z zapasów pozostawionych przez wycofujących się Moskali. Po zastąpieniu dwugłowego orła polskim godłem własnej produkcji, najczęściej ozdobionym cyfrą pułkową „1” lub „2”, bo też tyle pułków polskiej kawalerii wówczas istniało, ładownica była gotowa. Dzięki rysunkowi Stanisława Janowskiego wiemy, że kosztowała razem z pasem nośnym 18 rubli. To swoją drogą ciekawy przyczynek do historii pieniądza w czasach wojen – po ponadrocznej nieobecności Moskali w okupowanej przez Niemców Warszawie polski oficer kupuje ładownicę za ruble...

### Henryk Szczygliński – artysta i ułan

Ładownica prezentowana na str. 60 jest pamiątką po ułanie Legionów Polskich, Henryku Szczyglińskim. W chwili wybuchu Wielkiej Wojny miał on już 33 lata i spory dorobek artystyczny. Był uczniem Jacka Malczewskiego, Leona Wyczółkowskiego, Teodora Axentowicza ▶

▶ Porucznik Stefan Lubicz-Szydłowski z 16. Pułku Ułanów Wielkopolskich w nieregulaminowej ułance; dobrze widoczna jest rosyjska ładownica z nałożonym polskim orłem; zdjęcie datowane na rok 1922





Fot. ze zbiorów MWMP

► Rysunek Stanisława Janowskiego przedstawiający paradną ładownicę oficera kawalerii

i Jana Stanisławskiego. Po studiach w Monachium i Krakowie zdobył sławę uznanego pejzażysty, malującego przede wszystkim wiejskie krajobrazy i widoki Krakowa, a najwyżej cenionego za nastrojowe nokturny. Do jego najświetniejszych dzieł zaliczały się dekoracja i umeblowanie Cukierni Lwowskiej w Krakowie, lepiej dziś znanej jako Jama Michalika.

Henryk Szczygliński był jednym z założycieli słynnego kabaretu „Zielony Balonik”. Żył w tamtych latach pełnią życia, znany w środowisku nie tylko dzięki sprawności pędzla. Eryk Lipiński w zbiorze *Wesoło o malarzach* zanotował następującą anegdotę: „Pewnego dnia wśród malarzy krakowskich rozeszła się wiadomość, że jedna z pensjonariuszek popularnego domu publicznego wychodzi za mąż. Malarze szybko ubrali się we fraki i pośpieszyli na wesele, na którym Szczygliński objął kierownictwo tańców. Podochocony winem, w pewnym momencie zakomenderował: K...y na lewo, panowie na prawo! Wkrótce wszyscy malarze zostali pobici i wyrzuceni na schody”.

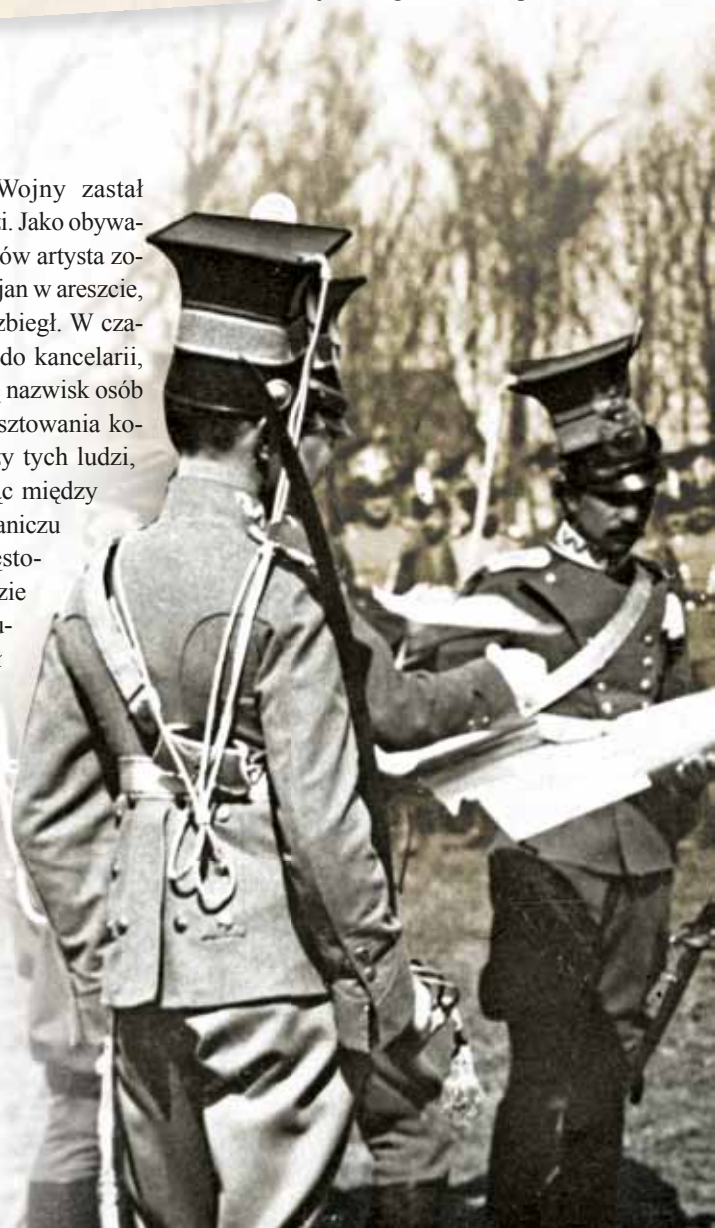
Wybuch Wielkiej Wojny zastał Szczyglińskiego w Łodzi. Jako obywatel monarchii Habsburgów artysta został osadzony przez Rosjan w areszcie, z którego natychmiast zbiegł. W czasie ucieczki dostał się do kancelarii, w której skopiował listę nazwisk osób przewidzianych do aresztowania kolejnej nocy. Ostrzegłszy tych ludzi, przedostał się, lawirując między walczącymi już na pograniczu oddziałami, przez Częstochowę do Krakowa, gdzie zwolnił się ze służby austriackiej (figurował w ewidencji 56. pułku

► Major Władysław „Belina” Prażmowski wręcza dyplomy ukończenia szkoły podchorążych, Ostrołęka, rok 1917; na plecach kawalerzysty po lewej stronie widoczna ładownica z orłem

piechoty jako jednoroczny ochotnik) i zaciągnął się do Legionów Polskich, w których wziął udział w organizacji 2. szwadronu.

Henryk Szczygliński znalazł się w IV plutonie 2. szwadronu ułanów, dowodzonego przez rtm. Zbigniewa Dunin-Łasowicza. Pluton ten był oddziałem szczególnym, składającym się z nie najmłodszych ułanów o poważnej postawie. Nazywany był „plutonem wujów” i kulturowano w nim panazagłobowy zwyczaj zwracania się do siebie per „wuju”.

Szczygliński odznaczył się w bitwie pod Cuciłowem 27 października 1914 roku, ratując swego dowódcę plutonu.





Nie wziął udziału w szarży pod Rokitną, był bowiem wówczas odkomenderowany do Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego. Temperament nie pozwolił artyście-ułanowi na dłuższe przebywanie na tyłach, więc rychło powrócił do linii i pozostał w służbie aż do kryzysu przysięgowego.

W niepodległej Polsce Szczygliński nie powrócił do wojska i poświęcił się sztuce, ale wybuch wojny bolszewickiej sprawił, że znów włożył mundur swego pułku, który w tym czasie nosił już nazwę 2. Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich. Były wachmistrz Szczygliński otrzymał stopień podporucznika ze starszeństwem wstecznym od 1 czerwca 1919 roku. W sierpniu 1920 roku bronił Włocławka w szeregach szwadronu zapasowego swego macierzystego puł-

ku, który w tym samym czasie walczył z Armią Konną nad Styrem i pod Lwowem. Podporucznik Szczygliński został wymieniony w rozkazie pochwalnym Dowódcy Garnizonu Włocławskiego. Niebawem został odznaczony Krzyżem Walecznych, a w latach trzydziestych – Krzyżem Niepodległości.

Ładownica Szczyglińskiego jest doskonałym przykładem trwania w kawalerii mody zapoczątkowanej w latach Wielkiej Wojny. Szczygliński, będąc wówczas podoficerem, siłą rzeczy nie nosił elementów oficierskiego munduru galowego, ale w roku 1920 miał już do tego prawo. Znany z niebywałej elegancji i dbałości o strój w cywilu, w wojsku z pewnością sprawił sobie kompletny mundur galowy – wraz z ładownicą. Z rosyjskiej ładownicy wz. 1889 o niebieskiej wyściółce, przewidzianej dla Lejb-Gwardyjskiego Atamańskiego Pułku Cesarzewicza, usunięto orla dwu-

głowego i na jego miejscu umieszczono godło polskie. W odróżnieniu od wcześniejszych wyrobów Grynszpana na pokrywą został nałożony orzeł większych już rozmiarów, produkowany w Krakowie od 1916 roku. Umieszczanie większych godeł na pokrywach ładownic rozpowszechniło się szybko, znacznie lepiej można było w ten sposób zamaskować otwory po usuniętych orłach rosyjskich. Obcięta korona i dodana tarczka z monogramem „L” są śladami kultywowania w roku 1920 tradycji legionowej.

Pośród pamiątek pozostałych po Szczyglińskim pierwsze miejsce należy się bez wątpienia szabli, używanej przez niego w czasie służby w Legionach, a przechowywanej dziś w zbiorach Wrocławskiego Arsenalu Miejskiego (należącego do Muzeum Miejskiego Wrocławia). Na głowni austriackiej szabli kawaleryjskiej wz. 1904 jest umieszczony wiersz autorstwa Szczyglińskiego:

„Niech w księgach wiedzy szpera rabin,  
Nauka to jest wymysł dyabli,  
Mądrością moją jest karabin  
I klinga ukochanej szabli. [...]

Niejeden wróg miał na mnie chrapkę,  
A teraz jęczy w piekle na dnie,  
Ze śmiercią igraszę w ciuciubabkę,  
Więc wkrótce może mnie dopadnie.

Książdź mi niech grzebie albo rabin,  
Żołnierza się nie czepią dyabli!  
Lecz w grób połóżcie mi karabin  
I klingę ukochanej szabli”.

Tysiące mieszkańców Warszawy mijają codziennie mały, trójkątny skwer ograniczony ulicami Piękną, Mokotowską i Kruczą. Na nim właśnie pochowano Henryka Szczyglińskiego, zmarłego na raka 24 września 1944 roku. W grób nie położono mu szabli. W Śródmieściu było tego dnia względnie spokojnie, Niemcy atakowali przede wszystkim Mokotów. 🇵🇵

Tomasz Zawistowski – autor czterech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*

# Arsenał getta warszawskiego

Michał Mackiewicz

**Problematyka uzbrojenia powstańców żydowskich walczących w kwietniu 1943 roku w getcie warszawskim była traktowana przez historyków nadzwyczaj marginalnie. Tymczasem jest ona niezwykle ciekawa, a proces pozyskiwania środków bojowych przebiegał nie mniej dramatycznie niż samo powstanie.**

**Z**e sprawozdania Żydowskiego Komitetu Narodowego z maja 1944 roku wynika, że w chwili tworzenia struktur Żydowskiej Organizacji Bojowej (ŻOB) jej uzbrojenie składało się z jednego rewolweru! W tej sytuacji podstawowego znaczenia nabrała pomoc, której mogła udzielić polska konspiracja, zwłaszcza Armia Krajowa.

**„Duże” pistolety dla ŻOB**  
Arsenał Polski Podziemnej był gromadzony już od września 1939 roku (broń schowana przez regularne jednostki Wojska Polskiego) i zasadniczo przeznaczony do użytku z chwilą wybuchu powstania ogólnonarodowego. Mimo przeszło trzyletnich wysiłków stan uzbrojenia pozostawał wiele do życzenia, dlatego każde uszczuple-

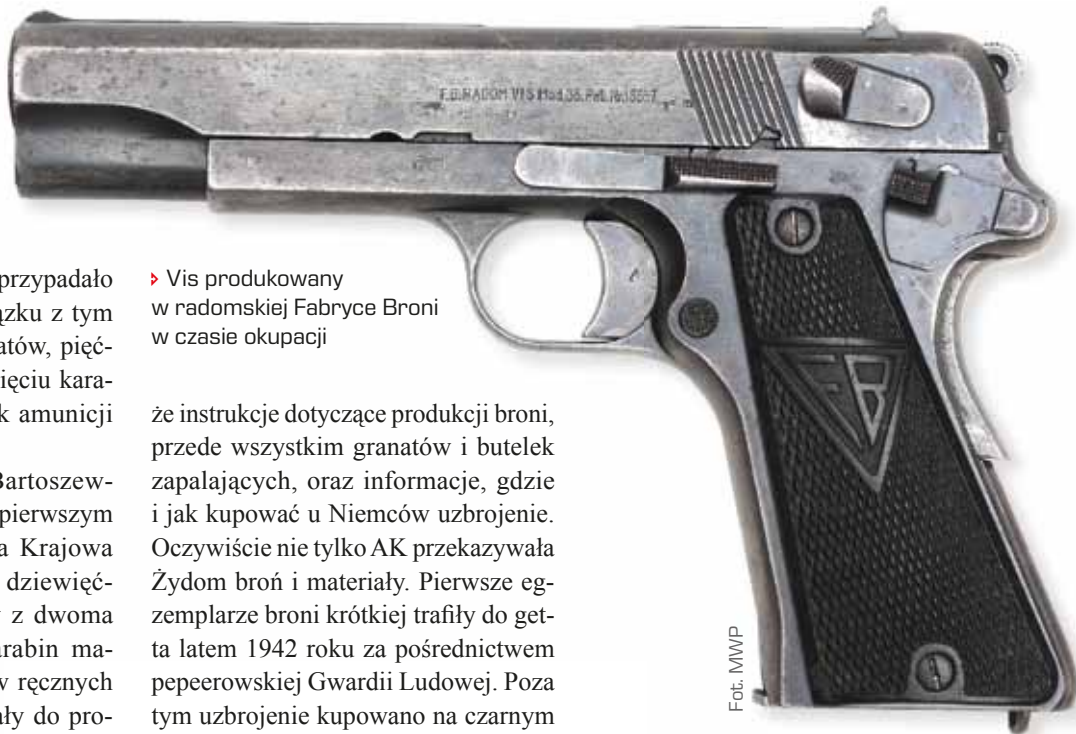
nie dotychczasowych zasobów miało znaczenie. Pierwszą dostawę broni dla Żydowskiej Organizacji Bojowej stanowiło dziesięć pistoletów przekazanych na początku grudnia 1942 roku, pochodzących z magazynów III Obwodu AK Wola. Już 3 grudnia ŻOB wysunęła wobec AK i Delegatury Rządu na Kraj postulaty dotyczące m.in. uzbrojenia. Zwracano się o większą ilość broni, „bowiem otrzymanych 10 sztuk [pistoletów] nie wystarczy na zorganizowanie większych akcji”. Do tych próśb odniósł się komendant główny AK, gen. Stefan Rowecki „Grot”, w radiogramie wysłanym 2 stycznia 1943 roku do Londynu: „Żydzi [...] zgłaszają się do nas po broń, tak jakbyśmy mieli pełne magazyny. Tytułem próby wydałem kilka pistoletów. Nie mam pewności, czy w ogóle tę broń użyją. Więcej broni nie dam, bo, jak wiecie, sami jej nie mamy”.

Dotychczasowa postawa Żydów, tzn. brak zorganizowanego oporu zbrojnego, musiała budzić w Komendzie Głównej AK przeświadczenie o marnotrawstwie z trudem zdobywanej broni. Jednak w styczniu 1943 roku dramatyczna walka w getcie (pierwsza próba zbrojnego oporu, podjęta w obliczu likwidacji getta przez Niemców), która odbiła się szerokim echem w prasie konspiracyjnej, spowodowała zmianę nastawienia i przyniosła kolejne, większe dostawy broni – zwłaszcza „dużych” pistoletów (zapewne 9 mm). Niemniej jeszcze w marcu 1943 roku ilość broni, którą dysponowały grupy Żydowskiej Organizacji Bojowej, pozostawała wiele do życzenia. Dowódca ŻOB, Mordechaj Anielewicz, skierował do AK i Delegatury list, w którym informował, że z 49 sztuk broni przydzielonej przez AK (choć stan uzbrojenia

► *Getto*, obraz  
Macieja Milewskiego

musiał być lepszy, dochodziły przecież zdobycze i dostawy od innych organizacji) do użytku nadaje się zaledwie 36, a to ze względu na niewielką ilość amunicji (na jeden pistolet przypadało dziesięć naboju). W związku z tym żądał co najmniej stu granatów, pięćdziesięciu pistoletów, dziesięciu karabinów i kilku tysięcy sztuk amunicji wszelkiego kalibru.

Według Władysława Bartoszewskiego, w końcu 1942 i w pierwszym kwartale 1943 roku Armia Krajowa przekazała ŻOB łącznie: dziewięćdziesiąt pistoletów (każdy z dwoma magazynkami), ręczny karabin maszynowy, sześćset granatów ręcznych z zapalnikami oraz materiały do produkcji bomb, butelek zapalających, zapalników. Z kolei mjr Stanisław Weber „Chirurg”, odpowiedzialny za kontakty AK z ŻOB, podawał następującą ilość uzbrojenia: trzy cekaemy (polski i niemiecki), dziesięć karabinów powtarzalnych polskich, pięćset granatów obronnych i sto zaczepnych (wszystkie z zapalnikami), 30 kg zrzutowego „plastiku”, 120 kg szedytu (do produkcji granatów), 15 kg plastycznego materiału wybuchowego w bombach różnego rodzaju, 30 kg potasu do produkcji butelek zapalających (materiał inicjujący) oraz saletra do wytwarzania prochu. Do tego należy dodać jeszcze co najmniej kilkadziesiąt pistoletów oraz 2 tys. litrów benzyny do produkcji koktajli Mołotowa. Bardzo cenne były tak-



► Vis produkowany w radomskiej Fabryce Broni w czasie okupacji

że instrukcje dotyczące produkcji broni, przede wszystkim granatów i butelek zapalających, oraz informacje, gdzie i jak kupować u Niemców uzbrojenie. Oczywiście nie tylko AK przekazywała Żydom broń i materiały. Pierwsze egzemplarze broni krótkiej trafiły do getta latem 1942 roku za pośrednictwem pepeerowskiej Gwardii Ludowej. Poza tym uzbrojenie kupowano na czarnym rynku, ze specjalnie pozyskiwanych na ten cel pieniędzy, oraz zdobywano na wrogu w trakcie pojedynczych akcji. Uzbrojenie przemycano ze strony „aryjskiej” kanałami, przenoszono także przez bramy, co umożliwiali przekupieni lub współpracujący z konspiracją granatowi policjanci.

### Karabiny i „maszyny piekielne”

Dobrze uzbrojony był Żydowski Związek Wojskowy (ŻZW), który zaczął działać już w 1939 roku i w zasadzie od razu gromadził środki bojowe. Było to o tyle łatwiejsze, że organizacja ta składała się w dużej mierze z wojskowych i od samego początku utrzymywała kontakty z polską konspiracją. Broni Żydowskiemu Związkowi Wojskowe-

mu dostarczał Korpus Bezpieczeństwa, podporządkowany taktycznie AK. ŻZW dozbierał się, podobnie jak ŻOB, również w wyniku działań bojowych. Na przykład w lutym 1943 roku grupy bojowe ŻZW przeprowadziły kilka akcji wymierzonych w pojedynczych esesmanów, żandarmów i kolaborantów. W ich wyniku zdobyto kilka sztuk broni krótkiej, w tym pistolety: Mauser i F.N. (Browning) kal. 7,65 mm oraz Vis i Parabellum kal. 9 mm.

Dzisiaj nie jesteśmy już w stanie dokładnie ustalić, iloma sztukami broni dysponowali łącznie żydowscy powstańcy (ŻOB i ŻZW) w chwili rozpoczęcia walk w getcie, ani też, jakiego była ona rodzaju. Nasze dane muszą być szacunkowe. W sprawozdaniu Delegatury do Londynu z 24 kwietnia o powstaniu w getcie napisano, że Żydzi zgromadzili przed walką wielką ilość broni i amunicji, w tym masę granatów ręcznych, karabinów ręcznych, a nawet ciężkich karabinów maszynowych, miotaczy ognia i działek przeciwpancernych. Jest to oczywiście gruba przesada. Badacz II wojny światowej, Jerzy Ślaski, podaje, że było łącznie nie więcej niż: dziesięć karabinów maszynowych (w tym dwa, trzy cekaemy), 25 pisto-

Fot. MWP

Fot. MWP



► Polski granat obronny

► Polski mauzer wz. 98 a

Fot. MWP



letów maszynowych (prawie wszystkie ŻZW), dwadzieścia karabinów powtarzalnych (raczej nieco więcej) i do tysiąca pistoletów. Ponadto kilka tysięcy granatów, zarówno regulaminowych wojskowych, jak i konspiracyjnej – polskiej i żydowskiej – produkcji,

bomby i miny. Wydaje się, że te dane są zbliżone do rzeczywistości. Należy pamiętać, że – jeśli mówimy o formacji nieregularnej, partyzanckiej – nie każda broń jest ewidencjonowana i zgłaszana przełożonym. Istnieje zjawisko tzw. broni prywatnej, którą ujawnia się dopiero w trakcie walki. W toku powstania stan uzbrojenia żydowskich bojowców nieustannie się zmieniał, oprócz strat i zużycia dochodziły także zdobycze oraz kolejne dostawy (aczkolwiek już nieliczne) ze strony „aryjskiej”. Pewne dane dotyczące uzbrojenia są zawarte w końcowym raporcie Jürgena Stroopa. Kat getta meldował o następującej ilości i rodzajach broni zdobytej na Żydach: siedem karabinów polskich, jeden rosyjski, jeden niemiecki, 59 pistoletów różnego kalibru; kilkaset granatów ręcznych, w tym polskie i własnej roboty; paręset butelek z płynem palnym (*Brandflaschen*); petardy własnej roboty, maszyny piekielne z lontem (*Höllemaschinen mit Zündkabel*); wielkie ilości materiałów wybuchowych, amunicji do broni wszelkich kalibrów, również do kaemów. Jednocześnie Stroop zauważył, że większości broni nie można było zebrać, gdyż była chowana w miejscach trudnych do odszukania. Przeszkodą w zdobyciu większej ilości uzbrojenia używanego przez Żydów był także charakter walk, tzn. zadymianie bunkrów, by zmusić obrońców do wyjścia, a także prawie natychmiastowe wysadzanie punktów oporu w chwili ich zlokalizowania. Stroop zaznaczył jednocześnie, że część środków walki stosowanych przez przeciwnika – takich jak: granaty ręczne, ładunki wybuchowe i butelki z płynem palnym – była w momencie ich zdobycia wykorzystywana przez niemieckie oddziały podczas tłumienia powstania.

Fot. MWP



znaczną dysproporcję broni krótkiej i długiej trudno porównywać uzbrojenie powstańców żydowskich z jakimkolwiek regularnym oddziałem wojskowym. Na przykład kompania strzelecka Wojska Polskiego według etatu z końca lat trzydziestych liczyła 230 żołnierzy uzbrojonych w: dwadzieścia pistoletów, 198 karabinów, dziewięć erkaemów, trzy karabiny przeciwpancerne i trzy granatniki.

### Powstańcza mozaika

Broń używana przez powstańców z getta warszawskiego to prawdziwa mozaika typów i wzorów. Jest to charakterystyczne dla większości formacji nieregularnych. Z broni strzeleckiej najwięcej było oczywiście pistoletów i rewolwerów, które łatwiej jest ukryć i przenieść. Poza tym były dość tanie w porównaniu do broni długiej, a zwłaszcza maszynowej. Oczywiście, w warunkach walki miejskiej ich przydatność bojowa jest mocno ograniczona, co wiąże się z małym zasięgiem skutecznym (do 50 m) i niewielką siłą rażenia. 23 kwietnia Mordechaj Anielewicz, opisując w liście do Icchaka Cukiermana walki w getcie, twierdził wręcz: „broń krótka nie ma dziś dla nas żadnego znaczenia; potrzeba granatów, karabinów, karabinów maszynowych i materiałów wybuchowych”.

Za najefektywniejsze należy uznać pistolety kal. 9 mm, a więc m.in. polskie visy (w tym egzemplarze produkowane przez Niemców podczas okupacji) i niemieckie P08 Parabellum, których musiało być dość dużo. Poza tym żydowscy powstańcy używali „efenek”, czyli browningów produkowanych w belgijskiej fabryce Fabrique Nationale d'Armes (różne kalibry: 6,35, 7,65 i 9 mm), niemieckich waltherów (PP, PPK, P38), mauserów (np. wz. 1896), starych austriackich steyrów wz. 1912

Ze względu na



(kal. 9 mm) i rewolwerów – np. naganatów produkowanych przed wojną przez radomską Fabrykę Broni. W sumie można mówić o co najmniej kilkunastu różnych wzorach i kilku kalibrach, co oczywiście musiało powodować kłopoty choćby z amunicją.

Bronią znacznie skuteczniejszą od pistoletów były karabiny powtarzalne; zwłaszcza w początkowej fazie walk w getcie, kiedy to powstańcy zajmowali

pozycje na wysokich piętrach kamienic, skąd mieli doskonałe pole ostrzału nawet na dalszych dystansach. Przeważały polskie przedwojenne karabiny i karabinki systemu Mauser kal. 7,92 mm. O przewadze liczebnej polskich mauserów nad innymi typami karabinów w czasie walk w getcie świadczy pośrednio także raport Stroopa, który wymienia łącznie dziewięć karabinów, w tym siedem polskich. Poza bronią polską powstańcy żydow-

scy używali też mauserów niemieckich (o identycznych parametrach jak polskie), a także zdobycznych radzieckich mosinów wz. 1891/30 kal. 7,62 mm, w które byli uzbrojeni członkowie kolaboranckich formacji wschodnich. Prawdopodobnie kilkadziesiąt pistoletów maszynowych używanych przez bojowników z getta pochodziło z zakupów i ze zdobyczy, była to zapewne w większości broń niemiecka w kal. 9 mm (MP 18/28, MP 38/40).

Wśród kilku erkaemów użytych przez obrońców getta nie zabrakło z pewnością polskich browningów wz. 28 kal. 7,92 mm. Poza tym mogły występować niemieckie ukaemy MG 34 lub elkaemy Maxim MG 08/15. Nie można wykluczyć czeskich zbrojovek wz. 26 i 30. Z nielicznych (dwóch, może trzech) cekaemów należy wymienić polskiego browninga wz. 30.

Ważną część uzbrojenia Żydów stanowiły granaty. Wykorzystywano przede wszystkim przedwojenne polskie granaty obronne i zaczepne wz. 24 oraz konspiracyjne ET-40, czyli „filipinki”, które wymieniano w kilku relacjach. Z dostarczonego przez AK szedytu produkowano granaty także na terenie getta. Jednym z najbardziej efektywnych i prostych w produkcji środków bojowych były butelki zapalające, do których dostarczono zza muru benzynę. To właśnie za ich pomocą unieszkodliwiano w pierwszym dniu powstania niemieckie pojazdy (liczba i rodzaje zniszczonych wozów są przedmiotem spekulacji). Plastik wykorzystywano m.in. w produkcji min i wspomnianych przez Stroopa „machin piekielnych”. Ich wybuch inicjowano m.in. lontami oraz elektrycznie – za pomocą akumulatorów.

Chociaż broń zgromadzona przez żydowskich bojowców okazała się niewystarczająca, to mocno dała się Niemcom we znaki. 🇺🇸

**Michał Mackiewicz** – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historycznowojaskowej, współautor książki *Kircholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)



Fot. MWPP

► Powstanie w getcie, obraz Stefana Garwatowskiego



Fot. FilMOTEKA Narodowa

# Zwycięstwo

Jerzy Eisler

6 maja 1975 roku, tuż przed trzydziestą rocznicą zakończenia II wojny światowej w Europie, a ściślej rzecz ujmując – jak to wtedy nazywano – zwycięstwa nad faszyzmem, miała miejsce premiera filmu Jerzego Passendorfera pod wszystko mówiącym tytułem: *Zwycięstwo*. Był to nader rzadki w historii polskiego kina przypadek, gdy zorganizowano premierę filmu, który trudno byłoby uznać za dzieło nowe, świeżo zrealizowane. W rzeczywistości bowiem Passendorfer swój obraz zmontował z dwóch wcześniejszych filmów: *Kierunek Berlin* oraz *Ostatnie dni*.

**P**ierwsza część tej dylogii miała premierę 17 stycznia 1969 roku, druga – kilka miesięcy później i w równie symbolicznym momencie – 9 maja. Trzeba zresztą podkreślić, że przy montażu *Zwycięstwa* reżyser zdecydował się na duże skróty. O ile bowiem *Kierunek Berlin* trwał 81 minut, a *Ostatnie dni* 77 – łącznie zatem było to 158 minut projekcji – o tyle *Zwycięstwo* liczyło zaledwie 91 minut. Można by sądzić, że wyszło mu to na korzyść. Należy też jednak zaznaczyć, że w porównaniu z innymi omawianymi już przeze mnie obrazami wojennymi, takimi jak np. *Do krwi ostatniej...*, *Potem nastąpi cisza* czy *Jarzębina czerwona*, dylogia Jerzego Passendorfera ustępowała im rozmachem realizatorskim i realizmem scen batalistycznych. Nie oznacza to, że widza w ogóle nie porywają zrealizowane na poligonie drawskim sceny forsowania Odry w *Kierunku Berlin* czy walki uliczne nakręcone w Aleksan-

drowie pod Łodzią w monumentalnej miejskiej dekoracji, którą wzniesiono wokół zbudowanej na potrzeby *Ostatnich dni* kopii Bramy Brandenburskiej. Nawiasem mówiąc, tę ostatnią dekorację wykorzystano także w trakcie realizacji jednego z odcinków popularnego serialu telewizyjnego *Cztery pancerni i pies*.

## Bohaterstwo i „bohaterszczyzna”

Nie od rzeczy będzie też tutaj przypomnieć, że obydwa filmy Passendorfera zostały nakręcone w klimacie politycznych rozrachunków po Marcu '68 i cieszyły się silnym poparciem prominentnych działaczy partyjno-państwowych, związanych z tzw. grupą partyzancką, skupioną wokół gen. Mieczysława Moczara. Obrazy te zdecydowanie wychodziły naprzeciw jej dość koniunkturalnym oczekiwaniom. Wyraźnie bowiem zmieniły się polityczne i artystyczne preferencje ludzi władzy. Mieli oni już dość – jak mawiali z lekceważeniem – „bohaterszczyzny” symbolizowanej przez wiele obrazów tzw. polskiej szkoły filmowej. Uważali, że nadszedł czas na afirmację polskiego oręża zamiast koncentrowania się na narodowej martyrologii i paśmie niekończących się klęsk.

W tym miejscu pojawiał się jednak pewien istotny, sygnalizowany już kiedyś przeze mnie („Pamięć.pl” 3/2015) problem, sprowadzający się do pytania, czy z punktu widzenia peerełowskiej racji stanu – niezależnie od historycznych realiów – lepiej było pokazywać, że to my, Polacy, wygraliśmy wojnę z hitlerowskim Niemcami, czy też jedynie – zgodnie ze stanem faktycznym – ukazywać nas jako sojuszników i, co tu dużo mówić, mniej ważnych pomocników Armii Czerwonej. Naturalnie, ta pierwsza wersja była miła odczuciom wielu Polaków, w tym także narodowych komunistów z PZPR, ale była raczej trudna do zaakceptowania przez „towarzyszy radzieckich”. Ta druga była oczywiście do przyjęcia przez Sowieców, lecz nie zaspokajała polskich ambicji. W PRL zdawano sobie jednak sprawę z tego, że bez decydującego udziału Armii Czerwonej nie byłoby możliwe żadne „zwycięstwo nad faszyzmem”, i dlatego miejsce żołnierza polskiego już na zawsze

miało pozostać u boku radzieckiego sojusznika. Filmoznawca Piotr Zwierzchowski podkreślał, że „wysilek wojenny żołnierza polskiego miał być nierozzerwalnie związany z wysiłkiem żołnierza radzieckiego. Mamy więc do czynienia z jednoczesnym odtwarzaniem i konstruowaniem pewnej wizji przeszłości”.

To „odtworzenie i konstruowanie” sprawiało zresztą niekiedy znaczne problemy. Pojawiała się na przykład kwestia ukazania bitwy o Berlin we właściwych proporcjach. W lutym 1969 roku w czasie posiedzenia komisji kolaudacyjnej filmu *Ostatnie dni* zastanawiano się nad tym, dlaczego „nie zostały zachowane proporcje pomiędzy udziałem w walkach o Berlin armii polskiej i radzieckiej. [...] Chyba nie jest dobrze, że z ekranu nie pada nazwisko Koniewa, natomiast słyszy się nazwiska Popławskiego, Świerczewskiego, Maczka”. Z punktu widzenia ówczesnych władz zbędne było zwłaszcza to ostatnie nazwisko. Kontrowersje wywoływał zresztą sam fakt zawieszenia w filmie na Bramie Brandenburskiej flagi biało-czerwonej, a nie tylko czerwonej, radzieckiej. Konsultant historyczny wszystkich trzech filmów Jerzego Passendorfera, płk Zbigniew Załuski, wyjaśniał, że „sprawa flagi na Bramie Brandenburskiej jest zgodna z aktem dwustronnym, znajdującym się w archiwach polskich i radzieckich, że Bramę zdobyli wspólnie żołnierze frontu ukraińskiego, białoruskiego oraz jednostka polska”.

Wspominałem też przy innej okazji, że cytowany powyżej prof. Zwierzchowski, znawca „kina nowej pamięci”, trafnie wskazywał, iż filmy tego nurtu „głosiły militarną chwałę wojsk polskich przybyłych ze wschodu. Co ważne, na ekranie pojawiała się armia umundurowana, a przeprawa przez Odrę i marsz na Berlin, jak również walki o Kołobrzeg, pozwalały pokazać wojsko uzbrojone, z ciężkim sprzętem. Z jednej strony wpisywało się to w polską tradycję militarną i kult munduru, z drugiej działania te ukazywano jako swoiste zaprzeczenie sytuacji z września 1939 roku. Kino miało pełnić również funkcję terapeutyczną, kołować polskie kompleksy. Chwalebny wizerunek polskiego żołnierza, który doszedł do Berlina i odniósł ostateczne zwycięstwo, nie wynikał rzecz jasna jedynie z potrzeb politycznych, ale był również odpowiedzią na oczekiwania przynajmniej części widzów”.

### Śmierć założycielska PRL

Twórcy „wyjściowych” filmów – Jerzy Passendorfer oraz współscenarzysta Wojciech Żukrowski – przy opracowywaniu scenariusza wykorzystywali materiały archiwalne, dokumenty, wspomnienia, pamiętniki, a także pewne wątki z nowel Czesława Leżeńskiego i Ryszarda Liskowackiego. Ich ambicją było stworzenie epickiej panoramy walk 1. Armii Wojska Polskiego wiosną 1945 roku, a zarazem – podobnie jak w *Jarzębinie czerwonej* – ukazanie losów żołnierskich z poziomu jednej kompanii. Dodatkowo autorzy *Kierunku Berlin* i *Ostatnich dni*, a tym samym pośrednio *Zwycięstwa*, starali się ukazać plebejski charakter ludowego Wojska Polskiego. Pod tym względem wymiar prawdziwie symboliczny ma kreowana przez Wojciecha Siemioną postać kaprała Wojciecha Naroga. Jest to zresztą

bohater, który pojawiał się we wcześniejszych filmach Passendorfera. Ponieważ w pochodzącym z 1964 roku obrazie *Skapani w ogniu*, którego akcja rozgrywała się na Śląsku po II wojnie światowej, Naróg był kapralem, niezależnie od dokonań na polu walki, nie mógł już zostać awansowany w *Zwycięstwie*.

Wydaje się, że elementów biografii kaprała Naroga można się też doszukiwać u partyzanta Armii Ludowej – „Eleganta” w *Barwach walki* z 1964 roku. Byłby to więc życiorys na swój sposób dość eklektyczny, ale godny uznania komunistycznych decydentów: partyzant AL, następnie żołnierz 1. Armii WP, wreszcie „utrwalacz władzy ludowej”. Na podkreślenie zasługuje to, że znakomita obsada aktorska zawsze była mocną stroną filmów Passendorfera. Nie inaczej było w dylogii, którą wykorzystał przy montowaniu *Zwycięstwa*. Obok Siemiona na ekranie pojawiają się więc m.in. tak znakomici aktorzy jak: Janusz Bylczyński, Krzysztof Chamiec, Zbigniew Józefowicz, Janusz Kłosiński, Waław Kowalski, który w latach sześćdziesiątych stał się wręcz specjalistą od ról pochodzących z kresów żołnierzy IWP, Marian Łącz, Stanisław Miński, Bolesław Płotnicki czy Michał Szewczyk. Wykorzystywanie popularnych aktorów w filmach takich jak na przykład *Zwycięstwo* miało poza czyisto komercyjnym dodatkowe znaczenie. Wydaje się, że zabieg ten mógł sprzyjać ocieplaniu wizerunku postaci niekoniecznie miłych naszemu sercu, gdy patrzemy na to z dzisiejszej perspektywy. W tym kontekście najbardziej chyba znanym przykładem była kreacja Stanisława Mikulskiego w roli Hansa Klossa w popularnym serialu *Stawka większa niż życie*. Kłos przecież nie tylko był oficerem Abwehry, lecz także współpracownikiem radzieckiego wywiadu, a mimo to cieszył się ogromną popularnością wśród polskich widzów. ➤



Piotr Zwierzchowski wskazywał na nieco inne w filmie Pasendorfera – w porównaniu z dziełami polskiej szkoły filmowej – znaczenie żołnierskiej śmierci. Polegli byli bowiem żołnierzami, których celem było zwycięstwo w Berlinie. „Śmierć polskiego żołnierza nie ma w tym przypadku wymiaru tragicznego. Staje się śmiercią założycielską, jest ofiarą złożoną w drodze do Berlina, zapowiadającą nową Polskę. Śmiercią stanowiącą pomnik pamięci opartej na dumie narodowej i godności. [...] Dodatkowy argument stanowiło zwycięstwo. Koszty, które nieuchronnie musiały towarzyszyć tym działaniom, były ceną, którą warto zaakceptować. [...] W jakimś sensie nie ma mowy o stracie, ponieważ ostatecznym efektem wojny było zwycięstwo, sukces, wreszcie – już w innej perspektywie – objęcie władzy przez nowy reżim. Wojna jest aktem chwalebnym, również dlatego, że staje się mitem założycielskim nowej Polski. Skoro tak, to wojna, pamięć o niej, legitymizowały ustrój. Pamięć o wojnie musiała być zatem nieustannie podtrzymywana i to o wojnie zwycięskiej, na tym zwycięstwie został bowiem ufundowany nowy system polityczny i społeczny. Żołnierze ginący w walce czy rozstrzeliwani cywile umierają właśnie za ów nowy świat. Przelana krew wzmacnia jego fundament”.

### Czyje to zwycięstwo?

Na koniec tych rozważań trudno powstrzymać się od refleksji, że ich istota jest dla nas dzisiaj mało zrozumiała i bardzo daleka od współczesnych sporów, sprowadzających się do dylematów:

czy rok 1945 oznacza wyzwolenie czy nowe zniewolenie, zwycięstwo czy klęskę? A jeżeli mieliśmy do czynienia ze zwycięstwem, to czy było to zwycięstwo polskich komunistów i ich stronników skupionych w uznawanym niemal wyłącznie przez Związek Radziecki Rządzie Tymczasowym Edwarda Osóbki-Morawskiego? Czy może także było to zwycięstwo żołnierzy 1. i 2. Armii Wojska Polskiego u boku wojsk radzieckich marszerujących na Berlin? Ale już trudniej byłoby odpowiedzieć na pytanie, czy w maju 1945 roku było to faktycznie zwycięstwo dla szerokich kręgów społeczeństwa polskiego, żyjących w wyniszczonym przez wojnę i okupację kraju, w którym szalał terror NKWD i jego polskich współpracowników. A czy było to także zwycięstwo dla wiernych przysiędze wojskowej i lojalnych wobec władz polskich na uchodźstwie żołnierzy Armii Krajowej oraz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie? Czy było to wreszcie zwycięstwo w oczach – uznawanego niemal wszędzie za jedyną legalną i prawną władzę – rządu Rzeczypospolitej Polskiej na emigracji?

Trudno także nie zauważyć, że kontrowersje z czasów PRL w tym zakresie są równie odległe od toczonych pięć i dziesięć lat temu sporów o to, kto (Aleksander Kwaśniewski, Lech Kaczyński, Bronisław Komorowski czy Wojciech Jaruzelski) i czy w ogóle ktokolwiek powinien w imieniu Polski jechać do Moskwy na organizowane przez Władimira Putina uroczystości rocznicowe Dnia Zwycięstwa. W roku 2015 już takich dylematów nie tylko w Polsce nie mamy... ❄️

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL oraz najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008), *Siedmiu „wspaniałych”. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)





# NKWD kontra polskie podziemie

W morzu komercjalizującej się w szybkim tempie literatury poświęconej Żołnierzom Wyklętym coraz trudniej o solidne prace historyczne, wolne od nadmiernego patosu i beletrystyki. Na tym tle wyróżnia się niewątpliwie najnowsza książka Grzegorza Motyki *Na białych Polaków oblawa. Wojska NKWD w walce z polskim podziemiem 1944–1953*. Jednym z jej atutów jest baza źródłowa. Historia zwalczania podziemia polskiego przez formacje sowieckie została napisana na podstawie materiałów pochodzących z archiwów polskich, rosyjskich, białoruskich, litewskich i ukraińskich. Jakość lektury gwarantują nie tylko bogate archiwalia, lecz także przystępny język, syntetyczność przekazu, a zarazem spora dawka nowych informacji, składających się na panoramę losów Polski w latach 1944–1953.

Relacje międzynarodowe i wielka polityka stanowią tło tragicznej sytuacji, w której znaleźli się pod koniec wojny żołnierze konspiracji. Autor nie powiela sporu o sens ich dalszej walki. Piśze wprost: „Polskie podziemie i partyzantka nie mogły w 1944 roku uzyskać dużo więcej, niż to, co im się ostatecznie udało. Wobec potęgi wojskowej ZSRS wszelki polski opór był skazany na niepowodzenie. Można było jedynie zmanifestować wolę walki z Niemcami i jednocześnie niezgodę na zaprowadzenie w Polsce siłą komunistycznych porządków. I to zdołano osiągnąć”. Lektura książki prowadzi czytelnika przez wszystkie najważniejsze wydarzenia związane z działalnością podziemia: od akcji „Burza” przez Oblawę Augustowską, walki mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”, por. Franciszka Jaskulskiego „Zagończyka”, akcje sowieckie przeciwko podziemiu poakowskiemu i narodowemu, zwycięskie bitwy żołnierzy polskich pod Kuryłówką, Miodusami i w Lesie Stockim, po opór stawiany po roku 1944 na Kresach.

Ostatni wątek jest wart szczególnej uwagi. Temat sowietyzacji ziem polskich włączonych w skład Białoruskiej czy Ukraińskiej SRR jest mało znany. Towarzyszyły jej szeroko zakrojone oblawy wojsk NKWD/NKGB, mające na celu „doczystkę” terenu z resztek polskich grup oporu. Na podstawie dokumentów z archiwów wschodnich autor rekonstruuje ostatnie walki i śmierć takich postaci, jak: Czesław Zajęczkowski „Ragner”, Mieczysław Niedziński „Morski”, Anatol Radziwonik „Olech” czy uznawani za ostatnich polskich partyzantów walczących na terenie BSRR – zabici w 1953 roku – żołnierze z grupy Alfonsa Kopacza „Alfonka”, operującej na terenie byłego obwodu AK Grodno.

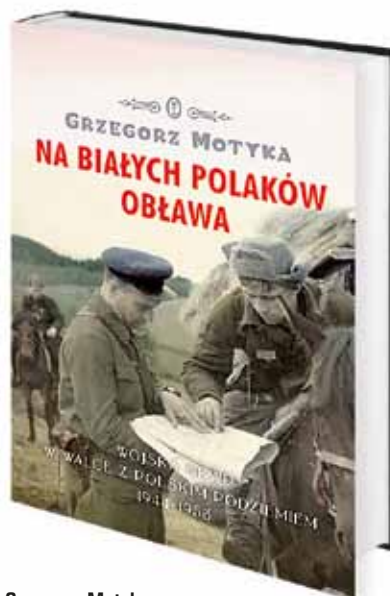
Ważne, że opisując działalność polskiego podziemia niepodległościowego, autor zwraca uwagę na to, iż nie było ono tworem jednolitym. Istniały przecież istotne różnice programowe między podziemiami poakowskim i narodowym (np. stosunek do mniejszości narodowych). Wszystkich łączył wspólny mia-

nownik walki o wolną Polskę, jednak jej przyszły kształt wyobrażano sobie różnie. Dziś wszystkich partyzantów walczących po 1944 roku nazywa się Żołnierzami Wyklętymi, co zdaje się tę różnicę – wyrosłe przecież jeszcze z okresu międzywojennego – zacierać. O solidności pracy prof. Motyki świadczy także unikanie bezkrytycznych ocen zjawiska. Książka pokazuje zarazem, że różne postawy i wybory osób walczących w podziemiu ani trochę nie ujmują im heroizmu. Wręcz przeciwnie: z lękami, wahaniem czy osamotnioną, straceńczą śmiercią, wymiar ich heroizmu pozostaje bardzo ludzki. Jak pisze autor: „Choć partyzanci popełniali błędy, a w jednym szeregu obok ludzi mężnych i rozumnych często stali bojaźliwi lub niezbyt rozsądni, to przecież w tamtych okolicznościach starali się zrobić tyle, ile się tylko dało, aby ocalić wolność Polski”.

Kolejny wątek książki to opis funkcjonowania aparatu Smiersz/NKWD/NKGB na terenie Polski. A także dane statystyczne pochodzące wprost z archiwów rosyjskich i przykłady przestępstw popełnianych przez część żołnierzy Armii Czerwonej: gwałtów, mordów i kradzieży. Czyny te krwią bardzo mocno w pamięci mieszkańców wyzwolanych terenów, a mimo to do dziś pozostają – jak czytamy w książce – „białą plamą” rosyjskiej historii. Zdaje się, że autor właśnie do Rosjan adresuje treść zakończenia, w którym, odwołując się do dziewiętnastowiecznych obrazów Francisca Goi i Wasilija Wierieszczagina, pokazuje uniwersalny dramat tych, którzy odważyli się przeciwstawić agresorowi. Poza wyzwoleniem spod niemieckiej okupacji, marsz Armii Czerwonej na zachód niósł ze sobą także przemoc i nowe zniewolenie. Niestety, dla wielu Rosjan nadal jest to nie do przyjęcia. Działania formacji sowieckich uznają oni za konieczną ochronę tyłów frontu, atakowanych przez kolaborujące z Niemcami formacje lokalnego podziemia, a odstępowanie od tej fałszywej interpretacji są postrzegane jako atak nie tylko na sowieckie dziedzictwo

*pobedy*, lecz także na samą Rosję. Taką wersję potwierdził ostatnio szef *Rosarchiwu* Andriej Artizow, który, przy okazji publikacji w Internecie dokumentów mających rzekomo zdyskredytować polskie podziemie, skrytykował najnowszą pracę Grzegorza Motyki. Książkę otwiera motto – fragment piosenki Jacka Kaczmarskiego *Oblawa* z 1974 roku. Jej pierwowzorem była pieśń rosyjskiego barda, Władimira Wysockiego, zatytułowana *Ochota na wilkow* („Polowanie na wilki”). Kilkadziesiąt lat temu po obu stronach granicy miliony ludzi odczytywały słowa obu utworów bardzo osobiście: „To polowanie, to na wilki trwa oblawa, śmiertelny bieg, skrwa-wiony śnieg, nadziei brak. Charkoczą wściekle psy, a my nie mamy prawa granicy przejść czerwonych rozwieszonych flag”. Zdumiewające, że polityka historyczna Rosji przekuwa dziś podobne doświadczenia w zupełnie odmienną narrację historyczną. ■

Magdalena Semczyszyn



Grzegorz Motyka, *Na białych Polaków oblawa. Wojska NKWD w walce z polskim podziemiem 1944–1953*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014, 514 s.

# Antyutopia dla najmłodszych

Czy należy rozmawiać z dziećmi o totalitaryzmie? Pisarz i wykładowca akademicki Marek Kochan odpowiada na to pytanie twierdząco, a propozycję – czy raczej inspirację – jak taką rozmowę zagaici, prezentuje w opowiadaniu *Martynika i Biała Wyspa*.

Tytułowa bohaterka – dziewięcioletnia jedynaczka obrażona na rozpieszczających ją rodziców – przenosi się w magiczny sposób do krainy, w której niemal wszystko jest zrobione z mleka i białego sera. Dlaczego akurat z nich? Zanim Martynika zostanie przeniesiona na Białą Wyspę, odbywa z rodzicami rozmowę. Narzeka, że kupują jej kolejne zabawki, zamiast sprezentować wymarzonego psa. Mama i tata zachęcają dziewczynkę, żeby się cieszyła lalkami, maskotkami i klockami, które dostaje, bo oni w jej wieku (tak, tak – pojawia się ta nieśmiertelna fraza międzypokoleniowych konwersacji!) nie mieli takich atrakcji – musieli się zadowolić byle drobiazgiem, bo wszystko wokół było szare, bure i brzydkie. Jedyne, co dobrze wspominają z dzieciństwa, to mleko dostarczane codziennie rano pod drzwi.

Martynika ląduje więc na wyspie pełnej mleka i jego przetworów (nawet trawa smakuje jak mleko). Początkowo jest zachwycona egzotycznym otoczeniem, w którym jedzenie rośnie na łące. Błyskawicznie okazuje się jednak, że zwykły śmiertelnik nie może ot tak po prostu częstować się trawą z łąki należącej do króla Sergiusza (Ser-giusza, imię nieprzypadkowe!), trzeba bowiem mieć pozwolenie na wypas. Ale naprawdę groźnie się robi, kiedy dziewczynce przedstawia się pierwszy napotkany człowiek: Mozzarella 1963. Numer, który jest częścią jego tożsamości, mieszkaniec wyspy ma wypisany na wnętrzu dłoni. Do Martyniki prawdopodobnie ta groza nie dociera, ale czytelnikowi, który choć raz słyssał o cokolwiek niemieckich obozach koncentracyjnych, ciarki przejdą po plecach.

Mamy zatem w *Martynice...* elementy obu dwudziestowiecznych totalitaryzmów, choć przeważają skojarzenia z siermiężnym, peerelowskim komunizmem. Są więc bary mleczne, przydziały żywności (deputaty serowe) i unosząca się centralnie nad wyspą biała kula, która może przywoływać na myśl czy to Pałac Kultury i Nauki, czy to „misia na skalę naszych możliwości” z nieśmiertelnej komedii Stanisława Barei. Skandowany zaś przez tłum okrzyk „Go-mól-ka!” (chodzi o gomółkę twarogu) kojarzy się z nazwiskiem (choć i pisanym przez „u”, a nie przez „ó”) towarzysza „Wiesława”. Na każdym kroku czają się funkcjonariusze Białej Służby, napawający strachem mieszkańców wyspy. Przybyła z nieznanego świata dziewczynka przykuwa uwagę tubylców swą odmiennością („Czy tam, skąd przyleciałaś, wszystko jest tak kolorowe jak ty?” – pyta Mozzarella 1963) – wypisz wymaluj jak cudzoziemcy

z Zachodu budzili ciekawość mieszkańców smutniejszej strony żelaznej kurtyny.

Zabieg zastosowany przez Kochana – podróż w czasie i przestrzeni – jest znany z wielu utworów dla dzieci i młodzieży, choćby z klasycznej *Alicji w Krainie Czarów* Lewisa Carrolla czy niezwykle popularnej w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku *Godziny Pąsowej Róży* Marii Krüger. W tej powieści dla młodzieży główna bohaterka, Anda, przenosi się z drugiej połowy XX wieku w końcówkę poprzedniego stulecia. Zachowuje jednak świadomość i stan wiedzy naukowej właściwy człowiekowi AD 1960. Podobnie Martynika, choć obrażona na skomercjalizowany świat, w którym się wychowała, jest przesiąknięta jego standardami. Dlatego np. próbuje protestować, kiedy funkcjonariusze wyspiarskiej bezpieki bez pytania biorą ją na ręce i przenoszą do króla. Zastanawia ją pokrętna argumentacja Sergiusza, który przekonuje, że obywateli jego kraju trzeba skutecznie chronić przed emigracją do innych państw, by obronić ich przed cierpieniem życia poza przeszczęśliwą Białą Wyspą. Momentami jednak mała bohaterka przejawia naiwność właściwą zachodnim intelektualistom odwieczającym w latach trzydziestych Związek Radziecki: liczy, że od króla Sergiusza dostanie upragnionego pieska, którego nie może się doprosić u rodziców. Aby osiągnąć swój cel, jest nawet gotowa wystąpić w roli eksponatu w planowanym muzeum dzieciństwa (w krainie sera i mleka ludzie od razu stają się dorośli). Czy dziewięcioletka w porę się zorientuje, jakie są prawdziwe zamiary władcy?

*Martynika i Biała Wyspa*, choć skonstruowana jak opowiadanie dla najmłodszych, jest w istocie antyutopią – opowieścią

obnażającą mechanizmy państwa totalitarnego. O ile jednak większości dziesięcio- czy dwunastolatków trudno by było przebrnąć przez *Rok 1984* George’a Orwella czy *Nowy, wspaniały świat* Aldousa Huxleya, o tyle śledzenie przygód Martyniki to propozycja w sam raz dla uczniów szkoły podstawowej, najlepiej wspólnie z rodzicami. Dorośli bez trudu bowiem odnajdą elementy świata przedstawionego idealnie pasujące do wspomnień z własnego dzieciństwa. Może to być świetny początek rozmowy z dziećmi. Samym zaś dorosłym lektura może niekiedy pomóc uświadomić sobie, że wspomnienia z dzieciństwa, jak choćby to o mleku co dzień dostarczanym pod drzwi, często zamieniają się w wyidealizowane obrazy, za którymi kryły się zjawiska dużo straszniejsze niż bieda i wszechobecna szarzyzna. ■



Marek Kochan,  
*Martynika i Biała Wyspa*,  
Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2014, 88 s.



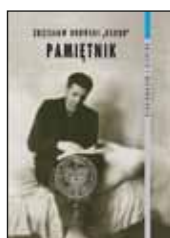
■ *Archeologia totalitaryzmu. Ślady represji 1939–1956*, red. O. Ławrynowicz, J. Żelazko, IPN, Łódź 2015, 457 s.



■ Przemysław Benken, *Ofensywa Tet 1968. Studium militarno-polityczne*, IPN, Szczecin 2014, 238 s. + 12 s. wkł. ilustr.



■ Elżbieta Borkowska, Urszula Dylong, Aniela Jonderko, „*Mieli wrócić za czternaście dni*”. *Mieszkańcy Ostropy w obozach pracy przymusowej w Związku Sowieckim (1945–1949)*, wstęp, oprac. naukowe D. Węgrzyn, IPN, Katowice – Gliwice 2014, 202 s.



■ Zdzisław Broński „Uskok”, *Pamiętnik (wrzesień 1939 – maj 1949)*, wstęp, red. naukowa, oprac. dokumentów S. Poleszak, edycja tekstu A. Filipek, S. Poleszak, M. Sobieraj, wyd. 2, IPN, Lublin – Warszawa 2015, 383 s.



■ Krzysztof Busse, *Utopia i rzeczywistość. Stowarzyszenie PAX w życiu politycznym, społecznym i gospodarczym PRL i III RP na przykładzie województwa radomskiego (1975–1993)*, IPN, Lublin – Radom 2014, 380 s. + 16 s. wkł. ilustr.



■ *Duszpasterstwa środowiskowe w latach 1945–1989. Archidiecezja krakowska*, IPN, red. C. Kuta, ks. J. Marecki, Kraków 2014, 272 s.



■ Mieczysław Marcinkowski, *Wbrew losowi. Z partyzantki i tułaczki 1939–1945*, oprac. G. Ostasz, M. Nalepa, IPN, Politechnika Rzeszowska, Uniwersytet Rzeszowski, Rzeszów 2014, 376 s.



■ Łucja Marek, Monika Bortlik-Dźwierżyńska, *Za Marksem bez Boga. Laicyzacja życia społecznego w Polsce w latach 1945–1989*, IPN, Katowice 2014, 376 s.



■ „*Nie umieram bohatersko, ale żyję w pracy i trudzie*”. *Listy ks. Stanisława Żuka z lat 1944–1983. Wybór źródeł*, wstęp i oprac. E. Chranowska, ks. A. Szot, IPN, Białystok 2014, 745 s. + 16 s. wkł. ilustr.



■ Wojciech Paduchowski, *Nowa Huta nieznaną i tajną. Obraz miasta w materiałach Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i Milicji Obywatelskiej (1949–1956)*, IPN, Kraków 2014, 471 s.



■ *Rzeczpospolita wolnych ludzi. Janusz Kurtyka w mediach – wybór wywiadów, artykułów, oświadczeń z lat 2000–2010*, wybór i oprac. A. Arseniuk, F. Musiał, IPN, Warszawa 2015, 645 s.



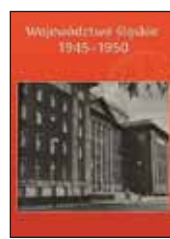
■ Zbigniew Stanuch, *Walka o religię. Katechyzacja szkolna i pozaszkolna na Pomorzu Zachodnim w latach 1945–1961*, IPN, Szczecin 2014, 236 s.



■ Piotr Szopa, *W imieniu Rzeczypospolitej. Wymiar sprawiedliwości Polskiego Państwa Podziemnego na terenie Podokręgu AK Rzeszów*, IPN, Rzeszów 2014, 616 s.



■ *Tragedia w cieniu „wyzwolenia”. Górny Śląsk w 1945 roku. Materiały edukacyjne*, IPN, Katowice 2015, 80 s.



■ *Województwo śląskie 1945–1950. Zarys dziejów politycznych*, red. A. Dziurok, R. Kaczmarek, wyd. 2, IPN, Katowice 2014, 654 s.



■ *Wojsko w Polsce „ludowej”*. red. R. Klementowski, J. Nowosielska-Sobel, P. Piotrowski, G. Strauchold, IPN, Wrocław 2014, 310 s.



■ Mariusz Zajączkowski, *Ukraińskie podziemie na Lubelszczyźnie w okresie okupacji niemieckiej 1939–1944*, IPN, ISP PAN, Lublin – Warszawa 2015, 504 s.

Institut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu  
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:  
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki  
PRZYSTANEK HISTORIA, ul. Marszałkowska 21/25,  
00-628 Warszawa, tel. 22 576 30 05  
i w księgarni IPN, ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa,  
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79.

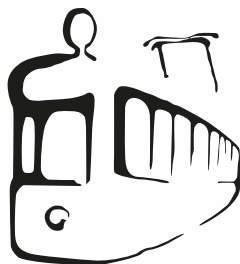
#### Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie [www.pamiec.pl](http://www.pamiec.pl) przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej.

#### Sprzedaż wysyłkowa publikacji

zamówienia można składać telefonicznie:  
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79;  
22 581 86 96; faks 22 581 89 40  
pocztą zwykłą na adres Instytutu  
pocztą elektroniczną: [joanna.pamula@ipn.gov.pl](mailto:joanna.pamula@ipn.gov.pl);  
[joanna.pszczola@ipn.gov.pl](mailto:joanna.pszczola@ipn.gov.pl); [danuta.wierzman@ipn.gov.pl](mailto:danuta.wierzman@ipn.gov.pl)  
lub w księgarni internetowej: [www.ipn.poczytaj.pl](http://www.ipn.poczytaj.pl)

# PRZYSTANEK HISTORIA



Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki

ul. Marszałkowska 21/25  
00-628 Warszawa

faks (22) 576 30 02

[www.ipn.gov.pl](http://www.ipn.gov.pl)

[przystanek.historia@ipn.gov.pl](mailto:przystanek.historia@ipn.gov.pl)  
[facebook.com/przystanek.historia](https://facebook.com/przystanek.historia)

[przystanekhistoria.ipn.gov.pl](http://przystanekhistoria.ipn.gov.pl)

## ● 4–30 maja

Wystawa „Wojna się skończyła – nie dla wszystkich” prezentuje prace wykładowców i studentów Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. To artystyczna wizja wydarzeń sprzed 70 lat – zakończenia II wojny światowej, które Polakom nie przyniosło wyzwolenia. Kuratorem wystawy jest prof. Gabriel Kołat prowadzący pracownię Rysunku, Ilustracji i Komiksu.

## ● 11 maja (poniedziałek), godz. 17:00

Spotkanie **Klubu Historycznego im. gen. Stefana Roweckiego „Grota”**: projekcja filmu Jacka Petryckiego *A może tego nie wolno mówić* poświęconego największej zbrodni komunistycznej w powojennej Polsce – Obławie Augustowskiej.

## ● 12 maja (wtorek), godz. 17:30

Prezentacja polskiego wydania książki Alfreda Rejscha *Nieznany front zimnej wojny. Tajny program dystrybucji książek za żelazną kurtyną*. W spotkaniu wezmą udział: dr Małgorzata Choma-Jusińska, badaczka historii opozycji w PRL, dr Łukasz Kamiński, prezes IPN, Andrzej Mietkowski, redaktor naczelny portalu [Polskieradio.pl](http://Polskieradio.pl), Marek Rudzki, redaktor sekcji polskiej Radia Wolna Europa. Prowadzenie: dr János Tischler (Węgierski Instytut Kultury).

## ● 13 maja (środa), godz. 17:30

Spotkanie z cyklu **Oblicza PRL** prezentującego różne aspekty życia w powojennej Polsce. Majową odsłonę poświęcimy kulturze, sztuce i rozrywce w PRL. Naszym gościem będzie dr Daniel Przystek, politolog i znawca teatru, pracownik Instytutu Nauk Politycznych UW.

## ● 14 maja (czwartek), godz. 17:30

Seminarium dla nauczycieli i studentów **Świat totalitarny w literaturze i sztuce**. Zajęcia prowadzi dr Łukasz Michalski z Biura Edukacji Publicznej IPN. Obowiązują zapisy: [wieslawa.mlynarczyk@ipn.gov.pl](mailto:wieslawa.mlynarczyk@ipn.gov.pl).

## ● 16 maja (sobota), godz. 19:00

**V Nocny Festiwal Planszowych Gier Historycznych** w ramach Europejskiej Nocy Muzeów. IPN oraz zaprzyjaźnione wydawnictwa pokażą różnorodne gry o tematyce historycznej – zarówno tytuły z czołówek światowych rankingów, jak i te mniej znane. W bezpłatnej wypożyczalni będą dostępne planszówki dla osób w każdym wieku i o różnym stopniu zaawansowania. Wolontariusze pomogą w wyborze odpowiedniego tytułu i wyjaśnią zasady rozgrywki. Nie zabraknie też turniejów, konkursów z nagrodami oraz rozgrywek wielkoformatowych. Zabawa potrwa do godz. 1:00 w nocy.

## ● 18 maja (poniedziałek), godz. 17:00

Seminarium **Polskie kino powojenne: twórcy i filmy**. Profesor Piotr Zwierzchowski z Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, historyk filmu, autor licznych prac o dziejach kinematografii, wygłosi wykład poświęcony dorobkowi Janusza Zaorskiego.

## ● 20 maja (środa), godz. 17:30

**Promocja pomników Zdzisława Brońskiego „Uskoka”** – Żołnierza Wyklętego. W spotkaniu wezmą udział: dr Łukasz Kamiński, prezes IPN, dr Sławomir Poleszak, naczelnik OBEP IPN w Lublinie, Eliza Dzwonkiewicz, prezes Zarządu Fundacji Banku Zachodniego WBK, Grzegorz Wąsowski, członek zarządu Fundacji „Pamiętamy”. Prowadzenie: dr Tomasz Łabuszewski, naczelnik OBEP IPN w Warszawie.

## ● 21 maja (czwartek), godz. 13:00

Spotkanie **Klubu Historycznego im. gen. Stefana Roweckiego „Grota”**.

## ● 23 maja (sobota), godz. 11:00

Spotkanie z cyklu *Rodzinną sobota. Historia oczami dzieci*, którego celem jest ukazanie historii Polski z lat 1939–1989 roku z perspektywy dzieci. Zajęcia będą poświęcone latom osiemdziesiątym. Zapraszamy dzieci w wieku 6–9 lat wraz z rodzicami.

Obowiązują zapisy: [magdalena.bogdan@ipn.gov.pl](mailto:magdalena.bogdan@ipn.gov.pl).

## ● 25–29 maja (poniedziałek–piątek)

Finał IX edycji projektu edukacyjnego **Opowiem ci o wolnej Polsce. Spotkania młodzieży ze świadkami historii**, realizowanego przez Instytut Pamięi Narodowej, Centrum Edukacji Obywatelskiej i Muzeum Powstania Warszawskiego.

## ● 25 maja (poniedziałek), godz. 18:00

Spotkanie z cyklu **„Pod sierpem i młotem” – państwa komunistyczne na świecie**, który przybliży historię ruchu komunistycznego w państwach afrykańskich, azjatyckich czy południowoamerykańskich. Wykład poświęcony komunizmowi w Afganistanie wygłosi dr hab. Joanna Modrzejewska-Leśniewska ze Szkoły Głównej Handlowej.

## ● 27 maja (środa), godz. 17:30

W cyklu **Krakowska Łoża Historii Współczesnej w Warszawie** dyskusja o książce Moniki Litwińskiej *WiP kontra PRL. Ruch Wolność i Pokój 1985–1989*. W spotkaniu wezmą udział: Piotr Niemczyk, jeden z założycieli Ruchu Wolność i Pokój, Bartłomiej Sienkiewicz, działacz WiP, były minister spraw wewnętrznych, Monika Litwińska (IPN Kraków), autorka publikacji. Prowadzenie: Roman Graczyk (IPN Kraków).

MAJ